



„NESBØ
STRACIŁ Z TRONU
LARSSONA”

gazeta.pl

JO NESBØ ŁOWCY GŁÓW

Trzeba iść
po trupach



Norweska Nagroda Czytelników 2008

Wydawnictwo Dolnośląskie

JO NESBØ

ŁOWCY GŁÓW

Tytuł oryginału: *Hodejegerne*

PROLOG

Kolizja dwóch pojazdów to prosta fizyka. Wszystko jest pozostawione przypadkom, ale przypadki dają się sprowadzić do równania siła razy czas równa się masa razy zmiana prędkości. Po wstawieniu przypadków w miejsce zmiennych otrzymujesz opowieść, która jest prosta, prawdziwa i bezlitosna. Na przykład o tym, co się dzieje, kiedy wyładowany tir o wadze dwudziestu pięciu ton, jadący z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, zderzy się z samochodem osobowym o wadze tysiąca ośmiuset kilogramów, jadącym z taką samą prędkością. W zależności od przypadków, takich jak punkt zderzenia, rodzaj karoserii i położenie ciał w stosunku do siebie, istnieje nieskończenie wiele wariantów tej opowieści. Mają one jednak dwie wyraźne cechy wspólne: wszystkie kończą się tragicznie. I samochód osobowy zawsze przegrywa.

Jest dziwnie cicho, słyszę szum wiatru w drzewach i toczącą wody rzekę. Rękę mam zdrętwiałą, wiszę głową w dół, wciśnięty między ciało i metal. Nade mną jest podłoga, z której kapie krew i benzyna. Pode mną, na podsufitce z wzorem szachownicy, leżą nożyczki do paznokci, urwana ręka, dwaj martwi ludzie i otwarta *beauty bag*. Na świecie brak piękna, jest jedynie *beauty*. Biała królowa ma skazę, ja jestem zabójcą, a

tutaj nikt nie oddycha. Ja też. Dlatego wkrótce umrę.
Zamknę oczy i się poddam. Cudownie jest się poddać.
Nie chcę już dłużej czekać. Dlatego tak mi się spieszy z
tą historią, z tym wariantem, z tą opowieścią o kącie
położenia ciał w stosunku do siebie.

Część I

PIERWSZE INTERVIEW

1. KANDYDAT

Kandydat był śmiertelnie przerażony.

Ubrał się w zbroję z markowego sklepu Gunnara Øye: szary garnitur Ermenegilda Zegny, ręcznie szytą koszulę od Borellego i bordowy krawat z wzorkiem w plemniki – obstawiałem, że to Cerruti 1881. Co do butów miałem pewność: ręcznie szyte Ferragamo. Sam takie nosiłem.

Według leżących przede mną papierów kandydat uzbroidł się też w dyplom Norweskiej Wyższej Szkoły Handlowej w Bergen z wysoką średnią, staż w parlamencie w partii Prawicy i czteroletnią, stanowiącą pasmo sukcesów karierę na stanowisku szefa norweskiej firmy przemysłowej w kategorii przedsiębiorstw średniej wielkości.

A mimo to Jeremias Lander był śmiertelnie przerażony. Górną wargę miał mokrą od potu.

Sięgnął po szklankę z wodą, którą moja sekretarka postawiła na rozdzielającym nas niskim stoliku.

– Chciałbym... – zacząłem i uśmiechnąłem się. Ale nie otwartym, bezwarunkowym uśmiechem, który zaprasza zupełnie obcą osobę do kręgu ciepła, nie tym niepoważnym uśmiechem, a uśmiechem uprzejmym, letnim, który według literatury fachowej sygnalizuje

profesjonalizm osoby przeprowadzającej interview, jej obiektywizm i analityczny sposób podchodzenia do problemu. To właśnie ten brak zaangażowania emocjonalnego wzbudza u kandydata wiarę w niezależność rozmówcy. Dzięki temu – również według literatury fachowej – kiedy kandydat poczuje, że wszelka gra zostanie przejrzana, przesada ujawniona, a wymyślona taktyka ukarana, przekaże mi podobną trzeźwą, obiektywną informację. Ale ja nie uśmiecham się w ten sposób ze względu na literaturę fachową. Gwiżdżę na nią, bo to stek bzdur różnego stopnia, a mnie potrzeba jedynie dziewięciostopniowego modelu przesłuchania, opracowanego przez Inbaua, Reida i Buckleya. Uśmiecham się tak, ponieważ taki j e s t e m: profesjonalny, analityczny i nieangażujący się emocjonalnie. Jestem łowcą głów. To niezbyt trudne. Ale to ja jestem królem.

– Chciałbym – powtórzyłem – aby opowiedział mi pan też trochę o swoim życiu poza pracą.

– A czy ono w ogóle istnieje? – zaśmiał się o półtora tonu wyżej, niż powinien. Poza tym po wygłoszeniu podczas rozmowy kwalifikacyjnej tak zwanego cierpkiego dowcipu nie należy samemu się z niego zaśmiewać ani spoglądać na rozmówcę, sprawdzając, czy go zrozumiał.

– Mam taką nadzieję – zauważyłem, a wtedy jego śmiech przeszedł w chrząknięcie. – Wydaje mi się, że zarząd tego przedsiębiorstwa kładzie duży nacisk na to,

by ich nowy dyrektor zachowywał w życiu równowagę. Chodzi im o kogoś, kto mógłby pozostać w firmie przez kilka lat, o typ długodystansowca umiejącego rozłożyć siły podczas biegu. Nie o kogoś, kto wypali się po czterech latach.

Jeremias Lander kiwnął głową, przełykając jeszcze jeden haust wody.

Był mniej więcej o czternaście centymetrów ode mnie wyższy i o trzy lata starszy. Miał więc trzydzieści osiem lat. Trochę za młody na to stanowisko. Wiedział o tym, dlatego prawie niezauważalnie ufarbował na siwo włosy przy skroniach. Widziałem już wcześniej takie rzeczy. Wszystko już wcześniej widziałem. Widziałem, jak kandydat, któremu pociły się ręce, wsuwał prawą do wypełnionej talkiem kieszeni marynarki, zapewniając sobie suchutki bielutki uścisk dłoni. Z gardła Landera wydobyło się mimowolne cmoknięcie. Na formularzu interview zanotowałem: ZMOTYWOWANY. POSZUKUJĄCY ROZWIĄZAŃ.

– A więc mieszka pan w Oslo? – spytałem.

Kiwnął głową.

– Tak, na Skøyen.

– I pańską żoną jest...

Przerzuciłem jego dokumenty i lekko zirytowaną miną dałem mu do zrozumienia, że inicjatywy spodziewam się po kandydatach.

– Camilla. Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat.

Mamy dwoje dzieci. Chodzą do szkoły.

– A jak pan scharakteryzuje swój związek? – spytałem, nie podnosząc głowy. Dałem mu dwie długie sekundy, a ponieważ nie zebrał się w sobie na tyle, by odpowiedzieć, ciągnąłem: – Sądzi pan, że wciąż jesteście małżeństwem, skoro nie licząc snu, od sześciu lat spędza pan dwie trzecie życia w pracy?

Podniosłem wzrok. W oczach Landera zobaczyłem zdezorientowanie – takie, jakiego się spodziewałem. Wiedziałem, że jestem niekonsekwentny. Równowaga w życiu. Wymóg, by dużo z siebie dawać. Jedno nie łączyło się z drugim. Upłynęły cztery sekundy, zanim odpowiedział, czyli co najmniej o jedna za dużo.

– Mam taką nadzieję.

Spokojny, wyćwiczony uśmiech. Ale nie dość wyćwiczony. Nie dla mnie. Obrócił przeciwko mnie moje własne słowa. Zanotowałem to jako plus, gdyby to była zamierzona ironia. Wiedziałem jednak, że w tym wypadku to tylko podświadome papugowanie słów człowieka, którego uważa się za posiadającego wyższy status. Zapisałem: NISKIE POCZUCIE WŁASNEJ WARTOŚCI. W dodatku on „miał nadzieję”. Nie wiedział, nie dawał wyrazu swoim wizjom, nie czytał z kryształowej kuli, nie pokazał, że ma świadomość, iż od każdego szefa bezwzględnie wymaga się umiejętności sprawiania wrażenia, że jest jasnowidzem.

NIE JEST IMPROWIZATOREM. ANI PILOTEM PANUJĄCYM NAD CHAOSEM.

– Żona pracuje?

– Tak. W kancelarii adwokackiej w centrum.

– Codziennie od dziewiętej do czwartej?

– Tak.

– A kto zostanie w domu, jeśli któreś z dzieci się rozchoruje?

– Żona. Ale Niclas i Anders na szczęście bardzo rzadko...

– Nie macie żadnej pomocy domowej, kogoś, kto w ciągu dnia jest w domu?

Zawahał się, tak jak zwykle wahają się kandydaci, kiedy nie mają pewności, jaka odpowiedź będzie korzystniejsza. Mimo to kłamią rozczarowująco rzadko. Jeremias Lander pokręcił głową.

– Wygląda na to, że utrzymuje pan formę, Lander.

– Owszem. Regularnie ćwiczę.

Tym razem nawet cienia wahania. Wszyscy wiedzą, że przedsiębiorstwom zależy na dyrektorach, którzy nie padną na zawał serca za pierwszym razem, gdy będą mieli pod górkę.

– Zapewne jogging i bieganie na nartach?

– Oczywiście. Cała rodzina lubi biegać po lesie. Mamy domek w Norefjell.

– No właśnie. I pewnie psa?

Pokręcił głową.

– Nie? Alergia?

Energiczne kręcenie głową. Zanotowałem: MOŻLIWE, ŻE NIE MA POCZUCIA HUMORU.

Odchyliłem się, oparłem na krzesło i złączyłem dłonie koniuszkami palców. To oczywiście przesadnie arogancki gest, ale taki już jestem i tyle.

– Jak pan myśli, ile jest warta pana renoma, Lander? I jak ją pan ubezpieczył?

Zmarszczył spocone już czoło, wysilając się, by zrozumieć pytanie. Po dwóch sekundach odparł z rezygnacją:

– Co pan ma na myśli?

Westchnąłem, dając do zrozumienia, że to powinno być oczywiste. Rozejrzałem się, jakby w poszukiwaniu pedagogicznej alegorii, której nie wykorzystałem wcześniej. I jak zawsze znalazłem ją na ścianie.

– Interesuje się pan sztuką, Lander?

– Trochę. W każdym razie interesuje się nią moja żona.

– Moja również. Widzi pan ten obraz? – Wskazałem na *Sara gets undressed*, ponaddwumetrowej wysokości dzieło na lateksie, przedstawiające kobietę w zielonej spódnicy, która skrzyżowanymi rękami ściąga przez głowę czerwoną bluzkę. – To prezent od mojej żony. Artysta nazywa się Julian Opie, a obraz jest wart ćwierć miliona koron. Posiada pan jakieś dzieło sztuki w tym przedziale cenowym?

- Owszem. Rzeczywiście posiadam.
- Gratuluję. Widać po nim, ile jest warte?
- No...

– No właśnie. Ten obraz składa się z kilku kresek, głowa kobiety to kółko, zero bez twarzy, a kolor jest jednostajny i nie ma faktury. Dzieło powstało na komputerze i przyciśnięciem jednego klawisza można wydrukować miliony kopii.

– Ojej.

– Jedyna – naprawdę jedyna – rzecz, która sprawia, że ten obraz jest wart ćwierć miliona, to renoma artysty. Plotka mówiąca, że Opie ma talent. Zaufanie rynku do jego geniuszu. Bo geniuszu trudno dotknąć palcem. Nie można mieć żadnej pewności. Podobnie jest z dyrektorami, Lander.

– Rozumiem. Renoma. Chodzi o zaufanie, jakie wzbudza szef.

Zanotowałem: NIE JEST IDIOTĄ.

– Otóż to – potwierdziłem. – Wszystko wiąże się z renomą. Nie tylko pensja szefa, lecz również wartość spółki na giełdzie. Jakiego dzieła sztuki jest pan właścicielem? I na ile je wyceniono?

– To litografia Edvarda Muncha. *Broszka*. Dokładnej ceny nie znam, ale...

Pogoniłem go zniecierpliwionym machnięciem ręki.

– Kiedy ostatnio była wystawiana na aukcji, cena

wyniosła około trzystu pięćdziesięciu tysięcy – dokończył.

– A jak zabezpieczyliście tak wartościową rzecz przed kradzieżą?

– W domu jest niezły system alarmowy – odparł. – Tripolis. Wszyscy w sąsiedztwie korzystają z ich usług.

– Tripolis to dobra firma, ale droga. Sam z niej korzystam. Mniej więcej za osiem tysięcy rocznie. A ile zainwestował pan w zabezpieczenie swojej osobistej renomy?

– O co panu chodzi?

– Dwadzieścia tysięcy? Dziesięć? Mniej?

Wzruszył ramionami.

– Ani jednego øre – powiedziałem. – Ma pan CV i doświadczenie warte dziesięć razy tyle co obraz, o którym pan mówił. Rocznie. A mimo to nikt tego nie pilnuje, nie ma pan żadnego ochroniarza. Dlatego że nie uważa pan tego za konieczne. Wydaje się panu, że wyniki spółki, którą będzie pan kierował, mają mówić same za siebie, prawda?

Lander się nie odezwał.

– No cóż. – Nachyliłem się i zniżyłem głos, jakbym zamierzał zdradzić mu tajemnicę. – Tak nie jest. Wyniki to takie obrazy Opiego. Kilka prostych kresek plus kilka zer bez twarzy. Obraz jest niczym, renoma – wszystkim. I właśnie to możemy panu zaproponować.

– Renomę?

– Siedzi pan przede mną jako jeden z sześciu dobrych kandydatów na kierownicze stanowisko. Sądzę, że go pan nie obejmie. Ponieważ do takiej pracy brakuje panu renomy.

Lander otworzył usta jakby do protestu, który jednak nie nastąpił. Cofnąłem się tak gwałtownie na krześle z wysokim oparciem, że aż jęknęło.

– Boże, człowieku, przecież starasz się o tę pracę! Powinien pan nakłonić jakiegoś figuranta, żeby podrzucił nam cynk o panu, i udawać, że nic pan o tym nie wie, kiedy kontaktowalibyśmy się z panem. Na głowę dyrektora należy polować. Złowić ją. Nie może sam się pojawiać, ustrzelony i rozczłonkowany.

Widziałem, że moja przemowa odniosła zamierzony skutek. Lander był głęboko wstrząśnięty. Nie stosowałem żadnego zwykłego narzędzia badania profilu osobowości, żadnego Cuté, Disc czy któregoś z innych idiotycznych i do niczego się nienadających testów, które wykluły się w głowach mniej lub bardziej pozbawionych słuchu psychologów i specjalistów od *human resources*. Znów zniżyłem głos.

– Mam nadzieję, że pańska żona nie będzie zbyt rozczarowana, kiedy po południu powie jej pan, że wymarzone stanowisko przeszło panu koło nosa. Że jeśli chodzi o karierę, to czeka pana *stand by* również w tym roku. Tak jak i w zeszłym...

Drgnął gwałtownie. Trafiony, zatopiony. Oczywiście.

Bo przecież to mówił Roger Brown w akcji, aktualnie największa gwiazda na nieboskłonie headhunterów.

– W... zeszłym roku?

– A co, coś się nie zgadza? Ubiegał się pan o stanowisko dyrektora w Denja. Majonezy i pasztety. To nie pan?

– Sądziłem, że tego rodzaju informacje są poufne – zauważył Jeremias Lander słabym głosem.

– Owszem, są. Ale moja praca polega na ich pozyskiwaniu. Więc je pozyskuję. Dostępnymi mi metodami. Głupio ubiegać się o stanowiska, których się nie dostaje, zwłaszcza z pańską pozycją, Lander.

– Z moją pozycją?

– Pańskie papiery, wyniki w pracy, testy i wrażenie osobiste mówią mi, że ma pan to, czego potrzeba. Brakuje panu jedynie renomy. A głównym filarem przy jej budowaniu jest ekskluzywność. Szukanie pracy na chybił trafił tę ekskluzywność podkopuje. Pan jest menedżerem, który nie szuka wyzwań, tylko wyzwania. Tego jednego jedyne stanowiska. I musi ono zostać panu zaoferowane. Na srebrnej tacy.

– Doprawdy? – bąknął, znów wypróbowując swój śmiały, nieco krzywy uśmiech. Ale to już nie działało.

– Chcę pana mieć w naszej stajni. Nie wolno panu szukać innych stanowisk. Nie może pan przyjmować z pocałowaniem ręki propozycji, kiedy będą do pana dzwonić inne firmy rekrutacyjne z pozornie ciekawymi

ofertami. Musi pan trzymać się nas. Musi pan być ekskluzywny. Umożliwić nam zbudowanie panu renomy. I pilnować jej. Pozwolić, abyśmy stali się dla pańskiej renomy tym, czym Tripolis jest dla pańskiego domu. W ciągu dwóch lat wróci pan do domu, do żony, z o wiele lepszą posadą niż ta, o której teraz mówimy. To obietnica.

Jeremias Lander pogładził dwoma palcami swoje świeżo ogolone szczęki.

– Hm. Ta rozmowa przybrała zupełnie inny obrót, niż się spodziewałem.

Przeigrana go uspokoiła. Nachyliłem się do niego. Otworzyłem ramiona. Dłonie obróciłem wnętrzem do góry. Poszukałem jego spojrzenia. Badania naukowe wykazują, że podczas interview na pierwsze wrażenie w siedemdziesięciu ośmiu procentach składa się mowa ciała, a w zaledwie ośmiu – to, co się faktycznie mówi. Reszta wynika z ubrania, zapachu spod pach i z ust, z tego, co wisi na ścianach. Ja fantastycznie opanowałem mowę ciała. Akurat teraz moja pozycja świadczyła o otwartości i zaufaniu. Nareszcie zaprosiłem go do kręgu ciepła.

– Niech pan posłucha, Lander. Prezes zarządu i dyrektor finansowy klienta przyjdą tu jutro, żeby spotkać się z jednym z kandydatów. Chciałbym, żeby spotkali się również z panem. Czy godzina dwunasta panu odpowiada?

– Oczywiście.

Nawet nie udawał, że musi się naradzić z kalendarzem. Od razu bardziej go polubiłem.

– Chciałbym, żeby pan posłuchał, co mają do powiedzenia, a następnie uprzejmie wypunktował, dlaczego nie jest pan już zainteresowany propozycją. Proszę wyjaśnić, że to nie jest wyzwanie, o jakie panu chodzi, i życzyć im powodzenia.

Jeremias Lander przekrzywił głowę.

– A czy taka rezygnacja nie będzie uznana za niepoważną?

– Raczej za ambitną – stwierdziłem. – Będą pana postrzegać jako osobę, która zna swoją wartość. Taką, której usługi są ekskluzywne. To będzie początek historii nazywanej przez nas... – Pokręciłem ręką jak korbką.

Uśmiechnął się.

– Renomą?

– Renomą. A więc umowa stoi?

– W ciągu dwóch lat?

– Gwarantuję.

– Jak pan może to zagwarantować?

Zanotowałem: SZYBKO WRACA DO OFENSYWY.

– Ponieważ zamierzam pana polecić na jedno z tych stanowisk, o których mówię.

– I co z tego? To nie pan podejmuje decyzję.

Przymknąłem oczy. Taki wyraz twarzy przywodził na myśl mojej żonie, Dianie, rozleniwionego lwa, nasyconego władcę. Lubiłem to.

– Moja rekomendacja jest decyzją klienta, Lander.

– Co pan przez to rozumie?

– Tak jak pan nie powinien nigdy więcej ubiegać się o pracę, nie mając pewności, czy ją dostanie, tak ja nigdy nie napisałem rekomendacji, której klient by nie zaakceptował.

– Naprawdę? Nigdy?

– W każdym razie nikt takiej sytuacji nie pamięta. Jeśli nie mam stuprocentowego przekonania, że klient zatrudni polecaną przeze mnie osobę, to nie rekomenduję nikogo, a zlecenie wolę przekazać konkurencji. Nawet wtedy, gdy mam trzech świetnych kandydatów i dziewięćdziesiąt procent pewności.

– Dlaczego?

– Odpowiedź zaczyna się na literę „r”. – Uśmiechnąłem się. – Opiera się na tym cała moja kariera.

Lander ze śmiechem pokręcił głową.

– Mówią, że jest pan ostry, Brown. Już rozumiem, o co chodzi.

Uśmiechnąłem się ponownie i wstałem.

– Proponuję, żeby poszedł pan teraz do domu i powiedział swojej pięknej żonie, że nie zamierza

przyjmować tego stanowiska, ponieważ zdecydował się pan mierzyć wyżej. Założę się, że czeka pana miły wieczór.

– Dlaczego pan to dla mnie robi, Brown?

– Ponieważ prowizja, jaką zapłaci nam pański pracodawca, wyniesie jedną trzecią pańskiej rocznej pensji brutto. Słyszał pan, że Rembrandt chodził na aukcje, żeby podbijać cenę własnych obrazów? Dlaczego miałbym sprzedawać pana za dwa miliony rocznie, skoro po zbudowaniu pewnej renomy możemy pana sprzedać za pięć? Żądamy jedynie, żeby trzymał się pan nas. Więc jak, umowa stoi? – Wyciągnąłem rękę.

Złapał ją pożądliwie.

– Mam wrażenie, że to była opłacalna rozmowa, Brown.

– Zgadzam się – odparłem, jednocześnie notując w pamięci, że przed jutrzejszym spotkaniem z klientem muszę udzielić Landerowi kilku rad na temat właściwego uścisku dłoni.

Ferdinand wsunął się do mojego gabinetu zaraz po wyjściu Jeremiasa Landera.

– Fu! – skrzywił się, machając ręką. – *Eau de camouflage!*

Pokiwałem głową i otworzyłem okno, żeby wywietrzyć. Ferdinand od razu wyczuł, że kandydat

uperfumował się zbyt mocno, by zakamufłować zapach nerwowego potu, który wypełnia pokoje przesłuchań w tej branży.

– Ale to był przynajmniej Clive Christian – zauważyłem. – Kupiony przez żonę. Tak samo jak garnitur, buty, koszula i krawat. I to ona wpadła na pomysł ufarbowania mu skroni na siwo.

– Skąd wiesz? – Ferdinand usiadł na krześle, na którym przed chwilą siedział Lander, ale poderwał się jak oparzony, z miną pełną obrzydzenia, kiedy poczuł lepkie ciepło ciała wciąż tkwiące w obiciu.

– Zbladł jak prześcieradło, kiedy wcisnąłem guzik „żona” – odparłem. – Powiedziałem mu, jaka będzie rozczarowana, kiedy jej przekaże, że nie dostanie tej pracy.

– Guzik „żona”! Skąd ty to bierzesz, Roger? – Ferdinand przysunął sobie inne krzesło. Położył nogi na stole – całkiem niedrogiej kopii stolika kawowego projektu Noguchiego – sięgnął po pomarańczę i zaczął ją obierać. Prawie niewidzialny prysznic soku pokrył jego świeżo wyprasowaną koszulę. Ferdinand był niewiarygodnie flejtuchowaty jak na homoseksualistę. I niewiarygodnie homoseksualny jak na łowcę głów.

– Inbau, Reid i Buckley – stwierdziłem.

– Już to mówiłeś. Ale co to dokładnie jest? Coś lepszego niż Cuté?

Roześmiałem się.

– To dziewięciostopniowy model przesłuchania stosowany przez FBI. Karabin maszynowy w świecie proc. Narzędzie, które toruje drogę, nie bierze jeńców, a przynosi szybkie, konkretne rezultaty.

– A jakie to rezultaty, Roger?

Wiedziałem, o co Ferdinandowi chodzi, i nie miałem nic przeciwko temu. Chciał wiedzieć, na czym polega moja przewaga, dlaczego jestem najlepszy, a on – na razie – nie. I dawałem mu to, czego potrzebował, żeby stać się najlepszym. Takie bowiem są zasady. Umiejętnościami trzeba się dzielić. A on i tak nigdy nie będzie lepszy ode mnie, bo zawsze i wszędzie będzie się pojawiał w koszulkach śmierdzących cytrusami i dociekał, czy ktoś ma jakiś lepszy schemat, metodę, tajemnicę.

– Poddanie się – powiedziałem. – Przyznanie się do winy. Prawda. Schemat opiera się na bardzo prostych zasadach.

– Czyli?

– Czyli zaczynasz wypytywać podejrzanego o rodzinę.

– Phi! – skrzywił się Ferdinand. – Ja też tak robię. Dzięki temu czują się bezpieczni, bo mogą mówić o czymś, co znają, o czymś bliskim. No i to ich otwiera.

– Właśnie. Ale dzięki temu możesz również ustalić ich słabe punkty. Pięty achillesowe, które przydadzą ci się później podczas przesłuchania.

– Fúj! Co to za terminologia?

– Później podczas przesłuchania – kiedy będziecie mówić o tym, co bolesne, co się naprawdę wydarzyło, o zabójstwie, o które jest podejrzewany, o tym, dlaczego czuje się samotny i opuszczony przez wszystkich i dlaczego pragnie się ukryć – musisz zadbać o papierowy ręcznik na biurku, znajdujący się akurat w takiej odległości, żeby podejrzany nie mógł do niego dosięgnąć.

– Dlaczego?

– Ponieważ przesłuchanie osiągnęło swoje naturalne *crescendo* i nadszedł czas na wciśnięcie guzika „uczucia”. Musisz zadać pytanie o to, co sobie pomyślał jego dzieci, dowiadując się, że ojciec jest zabójcą. A kiedy jemu do oczu napłyną łzy, podasz mu ręcznik. Powinieneś być tym, który rozumie, który chce pomóc, osobą, której on może się zwierzyć ze wszystkich swoich krzywd. I z tego idiotycznego zabójstwa, które po prostu się wydarzyło. Właściwie samo z siebie.

– Zabójstwo? Do licha, nie rozumiem, o czym ty mówisz. Przecież my rekrutujemy ludzi do pracy, prawda? Nie chodzi nam o to, żeby zostali skazani za zabójstwo.

– Owszem, mnie chodzi o to. – Sięgnąłem po wiszącą na oparciu krzesła marynarkę. – Właśnie dlatego jestem najlepszym łowcą głów w mieście. A tak w ogóle chcę, żebyś poprowadził spotkanie Landera z klientem. Jutro o dwunastej.

– Ja?

Wyszedłem na korytarz z Ferdinandem depczącym mi po piętach. Mijaliśmy dwadzieścia pięć innych pokoi tworzących w sumie Alfę, średniej wielkości firmę rekrutacyjną. Zdołała ona przetrwać już piętnaście lat i osiągała roczny wynik wahający się od piętnastu do dwudziestu milionów, które po wypłaceniu najlepszym z nas nader skromnych bonusów wędrowały do kieszeni właściciela firmy w Sztokholmie.

– *Piece of cake*. Informacje są w komputerze. Okej?

– Okej – powiedział Ferdinand. – Pod jednym warunkiem.

– Pod warunkiem? To przecież ja robię ci przysługę.

– Ten wernisaż, który twoja żona urządza dziś wieczorem w galerii...

– O co chodzi?

– Mogę przyjść?

– A jesteś zaproszony?

– Właśnie w tym rzecz. Jestem?

– Raczej nie.

Ferdinand zatrzymał się gwałtownie i zniknął mi z pola widzenia. Szedłem dalej ze świadomością, że on tam stoi ze zwieszonymi rękami, patrzy na mnie i myśli, że również tym razem nie wzniesie szampanem toastu ze śmietanką towarzyską Oslo, z królowymi nocy, gwiazdami i bogaczami. Nie będzie mu dane

uczestniczyć w tej odrobinie *glamour* otaczającego wernisaże Diany. Nie nawiąże stosunków z potencjalnymi kandydatami na stanowisko, do łóżka czy do innych grzesznych kontaktów. Biedaczysko.

– Roger? – To odezwała się dziewczynka za kontuarem recepcji. – Dwa telefony. Jeden...

– Nie teraz, Oda – rzuciłem, nie zatrzymując się. – Nie będzie mnie trzy kwadranse. Nie przyjmuj żadnych wiadomości.

– Ale...

– Jeśli to coś ważnego, zadzwonią jeszcze raz.

Ładna dziewczyna, ale nie zaszkodziłoby jej jeszcze trochę przeszkolenia. Oda. A może Ida?

2. TRZECI SEKTOR GOSPODARKI

Świeży, słony smak spalin w jesiennym powietrzu skojarzył mi się z morzem, wydobyciem ropy naftowej i PKB. Ukośne promienie słońca błyszczały odbite w szybach biurowców, rzucających ostre prostokątne cienie na to, co dawniej stanowiło obszar przemysłowy, a teraz stało się czymś w rodzaju dzielnicy ze zbyt drogimi sklepami, zbyt drogimi mieszkaniami i zbyt drogimi biurami zbyt drogich konsultantów. Z miejsca, w którym stałem, widziałem trzy siłownie, wszystkie wypełnione od rana do wieczora. Jakiś młody facet w garniturze Corneliani i okularach nerdach pozdrowił mnie z szacunkiem, kiedy się mijaliśmy, a ja łaskawie skinąłem mu głową. Nie miałem pojęcia, kto to był. Wiedziałem jedynie, że musi być z innej firmy rekrutacyjnej, może z Edwarda W. Kelleya? Nikt oprócz łowców głów nie pozdrawia z szacunkiem innego łowcy głów. A raczej, mówiąc krótko, nikt inny nie pozdrawia mnie, bo nikt nie wie, kim jestem. Po pierwsze, nie licząc mojej żony Diany, utrzymuję ograniczone kontakty towarzyskie. Po drugie, pracuję w firmie, która – tak samo jak Kelley – zalicza się do ekskluzywnych, takich, które unikają błysku fleszy, a w związku z tym wydaje ci się, że nigdy o nich nie słyszałeś, dopóki nie uzyskasz kwalifikacji umożliwiających zajęcie najwyższych stanowisk w kraju. Pewnego dnia telefonujemy do ciebie, a tobie w głowie coś dzwoni: Alfa, gdzie ja już słyszałem tę

nazwę? Czy to było na zebraniu dyrekcji koncernu w związku z mianowaniem nowego szefa oddziału? A więc jednak o nas słyszałeś. Ale nic nie wiesz. Dyskrecja to nasza najważniejsza cnota. I jedyna. Reszta bowiem to oczywiście kłamstwo z dolnej półki, na przykład to, które słyszysz, kiedy kończę drugie interview swoją stałą mantrą: „Jest pan człowiekiem, którego poszukiwałem do tej pracy. Nie tylko wierzę, ale wiem, że nadaje się pan idealnie. A to oznacza, że ta praca jest idealna dla pana. Proszę mi wierzyć”.

No cóż. Proszę mi nie wierzyć.

Tak, tak, obstawiałem Kelleya. Albo Amrop. W takim garniturze z całą pewnością nie mógł pracować w jednej z tych wielkich nefajnych i nieekskluzywnych firm typu Manpower albo Adecco. Ale też nie w żadnej z mikroskopijnych i fajnych, takich jak Hopeland, bo wtedy wiedziałbym, kto to jest. Oczywiście mógł być z którejś z wielkich, średnio fajnych – Mercuri Urval czy Delphi – albo z małych, nefajnych, bezimiennych, które rekrutują średnią kadrę kierowniczą i tylko od czasu do czasu mają okazję konkurować z nami, wielkimi chłopakami. Przegrywają i wracają do szukania swoich kierowników sklepów i księgowych, ale z szacunkiem witają takich jak ja, bo mają nadzieję, że pewnego dnia przypomnimy sobie o nich i zaproponujemy im pracę.

Nie istnieją żadne oficjalne rankingi łowców głów. Na ma badań czy ocen jak u maklerów ani imprez z nagrodami dla guru roku jak w branży telewizyjno-

reklamowej. Ale my wiemy. Wiemy, kto jest królem, kto lubi wyzwania, a kto szykuje się do upadku. Wielkich czynów dokonuje się w ciszy, pogrzeby odbywają się w ciszy grobowej. Ale facet, który właśnie mnie pozdrowił, wiedział, że jestem Rogerem Brownem, łowcą głów, któremu klient nigdy nie odrzucił zarekomendowanego kandydata, który, jeśli to konieczne, manipuluje, zmusza, łamie i wciska na siłę, którego klienci ślepo wierzą w jego zdolności dokonywania oceny i bez wahania składają los firmy w jego – i tylko jego – ręce. Mówiąc wprost: to nie zarząd Portu Oslo zatrudnił w zeszłym roku dyrektora do spraw ruchu drogowego, to nie Avis zatrudnił dyrektora na Skandynawię i zdecydowanie nie urząd gminy zatrudnił dyrektorów elektrowni w Sirdal. Zrobiłem to ja.

Postanowiłem, że zanotuję sobie tego faceta. NIEZŁY GARNITUR. WIE, KOMU OKAZAĆ SZACUNEK.

Zadzwoiłem do Ovego z budki telefonicznej przy kiosku sieci Narvesen, jednocześnie sprawdzając komórkę. Osiem wiadomości. Wykasowałem wszystkie.

– Jest kandydat – powiedziałem, kiedy Ove wreszcie odebrał. – Jeremias Lander, Monolitveien.

– Sprawdzić, czy go mamy?

– Nie musisz. Wiem, że tak. Jest zaproszony na drugie interview, jutro. Od dwunastej do drugiej. Dwunasta zero zero. Daj mi godzinę. Zapamiętałeś?

– Jasne. Coś jeszcze?

- Klucze. Sushi & Coffee za dwadzieścia minut?
- Za pół godziny.

Poszedłem wybrukowaną ulicą w stronę Sushi & Coffee. Powodem, dla którego wybrano tę nawierzchnię – bardziej hałaśliwą, trudniejszą do utrzymania w czystości, a w dodatku droższą niż zwykły asfalt – jest prawdopodobnie potrzeba idylli, tęsknota za czymś pierwotnym, czymś, co istniało od zawsze. Za czymś prawdziwym. A w każdym razie prawdziwszym niż te kulisy tworzące dzielnicę, gdzie kiedyś w pocie czoła wytwarzano przedmioty, gdzie rzeczy rodziły się z syczącego ognia pod ciężkimi uderzeniami młotem. Echem tamtych dni był szum maszyn do espresso i podzwanianie żelaza w siłowniach. To był bowiem triumf trzeciego sektora gospodarki nad robotnikiem przemysłowym, triumf designu nad brakiem mieszkań, triumf fikcji nad rzeczywistością. A mnie się to podobało.

Zerknąłem na brylantowe kolczyki, które wcześniej widziałem na wystawie jubilera vis-à-vis Sushi & Coffee. Pasowałyby idealnie do uszu Diany. I byłyby katastrofą dla moich finansów. Odrzuciłem ten pomysł, przeciąłem ulicę i wszedłem do knajpy, w której w teorii przyrządza się sushi, a w praktyce serwuje zdechłą rybę. Za to kawie nie dało się nic zarzucić. W środku było sporo ludzi. Szczupłe platynowe blondynki tuż po zajęciach fitness, wciąż w strojach treningowych,

bo przecież nie przysłoby im do głowy brać prysznic w siłowni na oczach innych. W zasadzie to dziwne, skoro wydały fortunę na ciała, również świętujące triumf fikcji. Te kobiety także należały do trzeciego sektora gospodarki, a dokładnie do sztabu służby obsługującej bogatych mężów. Gdyby jeszcze były nieinteligentne. Ale one w ramach pielęgnacji urody studiowały prawo, informatykę i historię sztuki, pozwalały na finansowanie im przez społeczeństwo kilku lat na uniwersytecie jedynie po to, by po obronie dyplomu jako zbyt wysoko wykwalifikowane niepracujące zabawki siedzieć tutaj, wymieniając się zwierzeniami na temat sposobu utrzymania swoich *sugar daddies* na odpowiednim poziomie zadowolenia, zazdrości i napalenia. Dopóki nie przykują ich do siebie na stałe dzieckiem. Dziecko oczywiście wszystko zmienia. Szala władzy przechyla się na drugą stronę, mąż zostaje wykastrowany, dostaje mata. Dziecko...

– Podwójne cortado – powiedziałem i usiadłem na stołku przy barze.

Z zadowoleniem obserwowałem kobiety w lustrze. Mogłem mówić o szczęściu. Diana tak bardzo się różniła od tych przebiegłych bezmyślnych pasożytów. Miała wszystko to, czego brakowało mi. Troskliwość. Empatię. Lojalność. Wzrost. Krótko mówiąc, była piękną duszą w pięknym ciele. Ale jej uroda nie zaliczała się do idealnych, ze względu na zbyt osobliwe proporcje. Diana została zaprojektowana w stylu mangi, przypominała japońskie lalkowate postacie z komiksów.

Miała małą twarz z małymi wąskimi ustami, malusieńkim noskiem i wielkimi, trochę zdziwionymi oczami, które stawały się nieco wyłupiaste, kiedy była zmęczona. Ale według mnie właśnie odstępstwa od ideału wydobywały na wierzch całe piękno Diany i czyniły je zniewalającym. Dlaczego więc wybrała mnie? Syna kierowcy, studenta ekonomii, uzdolnionego odrobinę powyżej średniej, z widokami na przyszłość nieco poniżej średniej i o wzroście znacznie poniżej średniej. Pięćdziesiąt lat temu ze wzrostem metr sześćdziesiąt osiem nie kwalifikowałbym się do określenia „niski”, przynajmniej jeśli chodzi ogólnie o Europę. A gdy ktoś zagłębi się trochę w antropometrię historyczną, to dowie się, że zaledwie sto lat temu średni wzrost w Norwegii wynosił właśnie metr sześćdziesiąt osiem. Niestety, rozwój dokonał się na moją niekorzyść.

Zdumiewało już samo to, że Diana w chwilowym przypiływie pomieszania zmysłów wybrała właśnie mnie, ale jeszcze bardziej nie mieściło mi się w głowie, że taka kobieta jak ona – która mogła mieć absolutnie każdego, kogo zapragnęła – budziła się codziennie i chciała mnie zatrzymać na jeszcze jeden dzień. Cóż za tajemnicza ślepotą uniemożliwiła jej dostrzeżenie mojej żalności, mojej zdradzieckiej natury, mojej słabości w obliczu napotkanego oporu, mojej głupiej złośliwości w odpowiedzi na głupią złośliwość? Nie chciała tego widzieć? Czy też po prostu przebiegła zrzeczność z mojej strony sprawiła, że moje prawdziwe

ja znalazło się akurat w błogosławionym martwym polu widzenia miłości? No i oczywiście było dziecko, którego na razie jej odmawiałem. Jaką władzę miałem właściwie nad tym aniołem w ludzkiej postaci? Według Diany oczarowałem ją od pierwszej chwili zaskakującą mieszanką arogancji i sprzecznej z nią autoironii. Miało to miejsce podczas skandynawskiego wieczoru studenckiego w Londynie, a Diana na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie właśnie takiej jak jedna z tych, które teraz tu siedziały. Jasnowłosa skandynawska piękność z zachodnich dzielnic Oslo, studiująca historię sztuki w światowej metropolii, od czasu do czasu przyjmująca zlecenia jako modelka, przeciwna wojnie i ubóstwu, lubiąca imprezy i wszystko, co zabawne. Trzy godziny i pół tuzina guinnessów zajęło mi zrozumienie, że się pomyliłem. Po pierwsze, Diana interesowała się sztuką szczerze, wręcz na granicy manii. Po drugie, zdołała wyartykułować swoją frustrację wynikającą z faktu, że jest elementem systemu wszczynającego wojny z ludźmi, którzy nie chcą się stać częścią zachodniego kapitalizmu. To Diana wyjaśniła mi, że wykorzystywanie państw rozwijających się przez kraje rozwinięte minus pomoc humanitarna wychodzi na plus i nigdy nie było inaczej. Po trzecie, miała poczucie humoru, mojego humoru, co stanowi konieczny warunek tego, by tacy faceci jak ja mogli poderwać dziewczyny mierzące ponad metr siedemdziesiąt. A po czwarte – bez wątplenia punkt dla mnie decydujący – była słaba z języków, a dobra w logicznym myśleniu. Mówiła,

łagodnie rzecz ujmując, niezdarnie po angielsku i ze śmiechem przyznała, że nawet nie przyszło jej do głowy podjęcie próby nauczenia się francuskiego czy hiszpańskiego. Spytałem więc, czy ma może męski umysł i lubi matematykę. Wzruszyła tylko ramionami, ale ja się nie poddałem i opowiedziałem jej o testach dla przyszłych pracowników Microsoftu, podczas których kandydatom przedstawia się konkretny problem logiczny.

– Chodzi zarówno o to, by zobaczyć, w jaki sposób kandydat podchodzi do wyzwania, jak i o sprawdzenie, czy jest w stanie sobie z nim poradzić.

– No to mów – powiedziała.

– Liczby pierwsze...

– Chwileczkę... Co to są liczby pierwsze?

– Takie, które dzielą się tylko przez siebie i przez jeden.

– Aha. – Nadal nie miała tego dalekiego spojrzenia, jakie pojawia się u kobiet, kiedy tematem rozmowy stają się liczby. Mówiłem więc dalej:

– Liczbami pierwszymi są często dwie następujące po sobie liczby nieparzyste. Na przykład jedenście i trzynaście. Siedemnaście i dziewiętnaście. Dwadzieścia dziewięć i trzydzieści jeden. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Czy istnieją przykłady na to, żeby trzy następujące po sobie dwucyfrowe liczby nieparzyste były liczbami

pierwszymi?

– Oczywiście, że nie – odparła, podnosząc szklanke z piwem do ust.

– Nie? A dlaczego?

– Masz mnie za głupią? W szeregu pięciu następujących po sobie liczb jedna z liczb nieparzystych musi się dzielić przez trzy. Idź dalej.

– Dalej?

– No tak. Na czym polega ten problem logiczny? – Wypiła duży łyk piwa i popatrzyła na mnie ze szczerą, pełną oczekiwania ciekawością. W Microsoftcie kandydatom dawano trzy minuty na przeprowadzenie dowodu, który ona przedstawiła mi w ciągu trzech sekund. Średnio pięć osób na sto było w stanie tego dokonać. Wydaje mi się, że właśnie wtedy się w niej zakochałem. W każdym razie pamiętam, że na serwetce zanotowałem: ZATRUDNIONA.

Wiedziałem też, że muszę doprowadzić do tego, żeby i ona się we mnie zakochała, jeszcze wówczas, kiedy tam siedzieliśmy, bo w momencie, gdy wstanę, czar pryśnie. Mówiłem więc. I mówiłem. Mówieniem urosłem do metra osiemdziesięciu pięciu. Umiem mówić. Ale ona mi przerwała akurat w momencie, kiedy szło mi najlepiej: – Lubisz piłkę nożną?

– A... a ty? – wyjąkałem zaskoczony.

– QPR gra jutro z Arsenalem w Pucharze Ligi. Interesuje cię to?

– Oczywiście – odparłem, mając, rzecz jasna, na myśli ją, bo piłka nożna jest mi kompletnie obojętna.

Z szalikiem w niebieskie paski na szyi, zdarła sobie gardło w jesiennej londyńskiej mgle na Loftus Road, a jej malutka, ubożuchna drużyna, Queens Park Rangers, dostała straszliwe wciry od swojego starszego brata Arsenalu. Zafascynowany obserwowałem pełną namiętności twarz Diany i z całego meczu nie wyniosłem nic oprócz tego, że Arsenal miał wspaniałe czerwono-białe stroje, natomiast QPR niebieskie poprzeczne pasy na białym tle, przez co piłkarze wyglądali jak biegające lizaki.

W przerwie spytałem, dlaczego nie wybrała sobie dużej mocnej drużyny, takiej jak Arsenal, zamiast tego komicznego malucha QPR.

– Ponieważ oni mnie potrzebują – stwierdziła z powagą.

„Oni mnie potrzebują”. Wyczułem w tych słowach mądrość, której nie pojmowałem. Diana zaśmiała się tym swoim gardłowym śmiechem i opróżniła plastikowy kubek z piwem.

– Są jak bezradne niemowlę. Spójrz na nich. Są tacy słodcy.

– W dziecięcych kostiumach – dodałem. – A więc to tak. „Pozwólcie maluczkiem przychodzić do mnie”. To jest twoje życiowe motto?

– Hm – mruknęła, przechylając głowę i patrząc na

mnie z góry z szerokim uśmiechem. – Może się nim stać.

Śmialiśmy się. Głośno i swobodnie.

Nie pamiętam, jaki był wynik tego meczu. A raczej dobrze go pamiętam: pocałunek pod surowym ceglanyim pensjonatem dla dziewcząt na Shepherd's Bush. I samotna bezsenna noc z dzikimi snami na jawie.

Dziesięć dni później patrzyłem na twarz Diany w migotliwym blasku świecy wetkniętej w butelkę po winie i ustawionej na jej nocnym stoliku. Kochaliśmy się pierwszy raz. Miała zamknięte oczy, na czole nabrzmiała jej żyła, a wyraz twarzy przechodził od gniewu do bólu, podczas gdy biodra wściekle uderzały o moje. Taka sama namiętność jak wtedy, gdy patrzyła na swoich QPR odpadających z Pucharu Ligi. Później powiedziała, że kocha moje włosy. To był refren mojego życia, a mimo to miałem wrażenie, że słyszę go po raz pierwszy.

Minęło sześć miesięcy, zanim wyznałem jej, że to, iż mój ojciec pracuje w dyplomacji, wcale nie musi oznaczać, że jest dyplomata.

– Kierowca – zgadła. Przyciągnęła moją głowę do siebie i pocałowała. – Czy to znaczy, że będzie mógł pożyczyć limuzynę ambasadora, żeby zabrać nas z kościoła?

Nie odpowiedziałem, ale wiosną pobraliśmy się w St. Patrick's Church w Hammersmith raczej ze świetnością niż z pompą. Brak pompy spowodowany był tym, że namówiłem Dianę na ślub bez rodziny i

przyjaciół. Bez ojca. Tylko my dwoje, czyści i niewinni. O świetność zadbała Diana, bo promieniała jak dwa słońca i księżyc razem wzięte. Przypadek chciał, że tego samego popołudnia QPR podskoczyli w tabeli, więc taksówka wlokła się do jej pensjonatu na Shepherd's Bush wśród radosnego pochodu lizakowych sztandarów i flag. Wszystko było jedną wielką radością. Dopiero kiedy sprowadziliśmy się z powrotem do Oslo, Diana po raz pierwszy wspomniała o dziecku.

Spojrzałem na zegarek. Ove już powinien tu być. Podniosłem oczy na lustro nad barem i napotkałem wzrok jednej z blondynek. Nasze spojrzenia skrzyżowały się akurat na tyle długo, żebyśmy mogli źle się zrozumieć, gdybyśmy chcieli. Uroda z filmów pornograficznych, dobra robota chirurga. Nie chciałem. Przesunąłem wzrok dalej. Właśnie tak się zaczęła moja jedyna wstydliwa przygoda: nieco zbyt długim spojrzeniem. Pierwszy akt miał miejsce w galerii. Drugi tutaj, w Sushi & Coffee. Trzeci w małym mieszkanku na Eilert Sundts gate. Ale ta Dunka, Lotte, była już zamkniętym rozdziałem i nigdy, przenigdy nie miała się powtórzyć. Mój wzrok dalej omiatał lokal, aż wreszcie się zatrzymał.

Ove siedział przy stoliku tuż obok drzwi.

Udawał, że czyta wiadomości gospodarcze w „Dagens Næringsliv”. Komiczny pomysł. Ove Kjikerud był totalnie niezainteresowany kursami akcji i większością spraw dziejących się w tak zwanym

społeczeństwie, a w dodatku ledwie czytał. I ledwie pisał. Wciąż pamiętam jego podanie o przyjęcie go na stanowisko szefa ochrony. Tyle tam było błędów, że serdecznie się uśmieiałem.

Zsunąłem się ze stołka i podszedłem do jego stolika. Już zdążył złożyć „Dagens Næringsliv”. Skinieniem głowy wskazałem gazetę. Uśmiechnął się na znak, że jest wolna. Wziąłem ją bez słowa i wróciłem na swoje miejsce przy barze. Minutę później usłyszałem odgłos otwieranych drzwi i kiedy znów spojrzałem w lustro, Ovego Kjikeruda już nie było. Przerzuciłem na stronę z kursami akcji. Dyskretnie zacisnąłem dłoń na leżącym tam kluczu i schowałem go do kieszeni marynarki.

Kiedy wróciłem do biura, w telefonie czekało sześć SMS-ów. Pięć skasowałem bez czytania. Otworzyłem tylko ten od Diany:

Pamiętaj o wieczornym wernisazu, kochany. Jesteś moją maskotką i przynosisz mi szczęście.

Dodała buźkę w ciemnych okularach, jedną z finezyjnych zabawek, w jakie zaopatrzony był aparat od Prady, który podarowałem jej latem na trzydzieste drugie urodziny. „Akurat to, co najbardziej chciałam mieć!”, powiedziała, rozpakowując prezent. Ale oboje wiedzieliśmy, czego naprawdę pragnęła najbardziej, a czego ja nie chciałem jej dać. Mimo to skłamała i ucałowała mnie mocno. Czego więcej można żądać od kobiety?

3. WERNISAŻ

Metr sześćdziesiąt osiem. Nie potrzebuję psychologa cierpiącego na śmierć mózgową, by mi powiedział, że to trzeba sobie kompensować, że niski wzrost stanowi siłę napędową do działania. Jak wiadomo, zaskakująco dużo wielkich światowych dzieł zostało stworzonych przez niewysokich mężczyzn. Podporządkowywaliśmy sobie imperia, wysnuwaliśmy najoryginalniejsze teorie, podbijaliśmy serca najpiękniejszych kobiet na ekranie filmowym, krótko mówiąc, stale wypatrywaliśmy butów na najwyższych koturnach. Wielu idiotów odkryło, że niektórzy niewidomi są dobrymi muzykami, a niektórzy chorzy na autyzm potrafią obliczać w pamięci pierwiastki kwadratowe, co doprowadziło do konkluzji, że wszelka niepełnosprawność jest ukrytym błogosławieństwem. Po pierwsze, to bzdura. Po drugie, mimo wszystko nie jestem karłem, a mój wzrost jest jedynie nieco poniżej przeciętnego. Po trzecie, ponad siedemdziesiąt procent ludzi zajmujących najwyższe stanowiska kierownicze ma wzrost powyżej średniej w swoim kraju. Wzrost bywa również pozytywnie kojarzony z inteligencją, dochodami i powszechną sympatią. Kiedy kieruję kogoś na wysokie stanowisko w gospodarce, wzrost jest jednym z moich najważniejszych kryteriów. Wzrost oznacza szacunek, zaufanie i autorytet. Wysocy są widoczni i nie mogą się ukryć, są masztami, z których wiatr zwiął wszelkie nieczystości, i muszą odpowiadać za to, czym są. Niscy poruszają się wśród mętów na dnie, mają ukryty plan, ich kalendarz koncentruje się na niewielkim wzroście.

Oczywiście, że to banialuki. Ale kiedy rekomenduję jakiegoś kandydata na stanowisko, robię to nie dlatego, że ta osoba będzie najlepiej wykonywać swoją pracę, tylko dlatego, że klienci ją zatrudnią. Ofiarowuję im głowę, która jest wystarczająco dobra, a w dodatku umieszczona na ciele, jakiego pragną. W tej pierwszej kwestii klienci nie posiadają odpowiednich kwalifikacji, by w ogóle mieć jakieś zdanie, w tej drugiej widzą to na własne oczy. Tak jak ci bogacze, tak zwani znawcy sztuki na wernisażach Diany: nie posiadają kwalifikacji, by mieć jakieś zdanie o portrecie, potrafią natomiast przeczytać podpis artysty. Świat jest pełen ludzi gotowych słono płacić za złe obrazy dobrych artystów. I za przeciętne głowy na wysokich ciałach.

Prowadziłem swoje nowe volvo S80 przez zakręty na drodze wspinającej się do naszego pięknego, nieco zbyt drogiego domu na Voksenkollen. Kupiłem go, ponieważ kiedy przyszliśmy go oglądać, na twarzy Diany ukazał się ów wyraz namiętności. Na czole nad jej migdałowymi oczami zaczęła wyraźnie pulsować niebieska żyła, która zwykle nabrzmiwała, kiedy się kochaliśmy. Diana podniosła prawą rękę i założyła miękkie włosy koloru słomy za ucho, jakby chciała lepiej słyszeć; sprawdzić słuchem, czy oczy mają rację: że to dom, którego szukała. Nie musiała nic mówić, bym wiedział, że tak jest. I nawet kiedy żar w jej oczach zgasł, ponieważ agent nieruchomości powiedział nam, że już wpłynęła oferta przewyższająca sugerowaną cenę

o półtora miliona, wiedziałem, że muszę go dla niej kupić. To był jedyny dar ofiarny, który mógł wszystko naprawić po tym, jak nakłoniłem ją do zrezygnowania z tego dziecka. Nie pamiętam już dokładnie argumentów za dokonaniem aborcji, którymi się posłużyłem, wiem tylko, że żaden nie był prawdziwy. Bo prawda była taka, że chociaż mieszkaliśmy tylko we dwoje na trzystu dwudziestu piekielnie drogich metrach kwadratowych, nie mieliśmy miejsca dla dziecka. To znaczy nie mieliśmy go dla dziecka i dla mnie. Znałem Dianę. Ona, w przeciwieństwie do mnie, była wprost perwersyjnie monogamiczna. Znienawidziłbym to dziecko już od pierwszego dnia. Dlatego zamiast dziecka ofiarowałem jej nowy początek. Dom. I galerię.

Skręciłem na podjazd. Brama garażu już dawno rozpoznała samochód i otworzyła się automatycznie. Volvo wjechało w chłodną ciemność, silnik zgasł akurat wtedy, gdy brama zaczęła się zamykać. Wyszedłem z garażu bocznymi drzwiami i ruszyłem wyłożoną płytami ścieżką prowadzącą do domu, wspaniałego budynku z roku 1937, zaprojektowanego przez Ovego Banga, funkcjonalistę, którego zdaniem koszty należało podporządkować estetyce. Pod tym względem był zatem bliźniaczą duszą Diany.

Często myślałem o tym, że moglibyśmy sprzedać ten dom, przeprowadzić się do czegoś mniejszego, zwyczajniejszego, trochę nawet bardziej praktycznego. Jednak za każdym razem, gdy wracałem do domu i widziałem to co teraz – kontury budynku, takie wyraźne

w niskim popołudniowym słońcu, grę świateł i cieni, jesienny las na tyłach domu zdający się żarzyć żywym złotem – miałem świadomość, że to niemożliwe. Że nie jestem w stanie tego uciąć. Całkiem po prostu dlatego, że ją kocham, więc nie mogę tego zrobić. A za tym szło wszystko inne – nie tylko dom, lecz również pożerająca pieniądze galeria, nieprzydatne Dianie kosztowne dowody miłości i styl życia, na który nie było nas stać. Wszystko, byle tylko zagłuszyć jej tęsknotę.

Wszedłem do domu, zrzuciłem buty i w ciągu dwudziestu sekund wyłączyłem alarm, żeby nie zaczął dzwonić w Tripolis. Długo dyskutowaliśmy z Dianą na temat hasła, zanim osiągnęliśmy zgodę. Ona chciała, żeby brzmiało „DAMIEN”, od imienia jej ulubionego artysty Damiena Hirsta, ale ja wiedziałem, że takie imię nadała po cichu naszemu usuniętemu dziecku, dlatego uparłem się na przypadkową kombinację liter i cyfr, której nie dało się odgadnąć. Diana ustąpiła. Jak zawsze, gdy twardością reagowałem na twardość. A raczej na miękkość. Bo Diana była miękka; nie słaba, tylko miękka i elastyczna. Jak glina, w której nawet najmniejszy nacisk zostawia ślad. Dziwiło jedynie, że im bardziej się poddawała, tym stawała się większa i silniejsza. Za to ja słabłem. W końcu górowała nade mną jak gigantyczny anioł, jak niebo utkane z poczucia winy, długów i wyrzutów sumienia. Bez względu na to, jak się męczyłem, ile głów złowiłem, jak dużą część puli bonusów z głównej siedziby w Sztokholmie zdołałem zgarnąć dla siebie, i tak nie wystarczało tego

na odpuszczenie grzechów.

Wszedłem na górę do salonu z kuchnią, ściągnąłem krawat, otworzyłem lodówkę Sub-Zero i wyjąłem butelkę san miguela. Nie zwykłego especiała, tylko 1516, wyjątkowo łagodnego piwa, które Diana preferowała, ponieważ warzono je z czystego jęczmienia. Z okna salonu patrzyłem na ogród, garaż i sąsiadów. Oslo, fiord, Skagerrak, Niemcy, świat. I nagle odkryłem, że już opróżniłem butelkę.

Wziąłem więc jeszcze jedną i zszedłem na parter, żeby się przebrać na wernisaż.

Mijając Zakazany Pokój, zauważyłem, że drzwi do niego są uchylone. Pchnąłem je i od razu zobaczyłem, że Diana ułożyła świeże kwiaty przy maleńkiej kamiennej figurce na niskim, przypominającym ołtarz stoliku pod oknem. Stolik był jedynym meblem w całym pokoju, a figurka wyglądała jak dziecko-mnich z zadowolonym uśmiechem Buddy. Przy kwiatkach stała para maleńkich dziecinnych buczków, leżała też żółta grzechotka.

Wszedłem do środka, wypłem łyk piwa, przykucnąłem i przesunąłem palcami po gładkiej nagiej czaszce figurki. To był *mizuko jizō*, posążek, który w tradycji japońskiej chronił poronione płody zwane *mizuko* – „wodne dzieci”. Sam przywiozłem tę figurkę do domu po nieudanym polowaniu na głowy w Tokio. Było to w pierwszych miesiącach po aborcji, kiedy Diana wciąż jeszcze nie wyszła z załamania, pomyślałem więc, że może znajdzie w tym jakąś

pociechę. Sprzedawca zbyt słabo mówił po angielsku, bym mógł uchwycić wszystkie szczegóły, ale japońska idea polega, zdaje się, na tym, że po śmierci płodu jego dusza wraca do swego pierwotnego płynnego stanu, staje się wodnym dzieckiem. Takie dzieci – po domieszczeniu do tego buddyizmu japońskiego – czekają na powtórne narodziny, a zanim to nastąpi, należy odprawiać tak zwane *mizuko kuyō*, ceremonię złożenia prostych ofiar, które chronią duszę nienarodzonego, a jednocześnie bronią rodziców przed zemstą wodnego dziecka. Nigdy nie wspomniałem Dianie o tym ostatnim. Początkowo nawet cieszyłem się ze swojego pomysłu, bo wyglądało na to, że Diana rzeczywiście znalazła pociechę w kamiennym posążku, ale kiedy *jizō* z czasem ją opętało i nawet chciała trzymać je w sypialni, byłem zmuszony tupnąć nogą. Zapowiedziałem, że od tej chwili obowiązuje zakaz modlenia się i składania ofiar posążkowi. Mimo że akurat w tej kwestii nigdy nie zareagowałem twardością na miękkość. Wiedziałem bowiem, że Dianę można stracić. A na to nie mogłem sobie pozwolić.

Poszedłem do swojego gabinetu, włączyłem komputer i zacząłem szukać w sieci, aż w końcu znalazłem wysokiej rozdzielczości zdjęcie obrazu Edvarda Muncha *Broszka*, nazywanego też *Eva Mudocci*. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy na legalnym rynku. Nie więcej niż dwieście tysięcy na moim. Pięćdziesiąt procent dla pasera, z reszty dwadzieścia procent dla Kjikeruda. Osiemdziesiąt tysięcy dla mnie.

Tak było zazwyczaj. Prawie nie warto sobie zawracać głowy, a już na pewno ryzykować. Litografia była czarno-biała, 58×45 centymetrów. Da się wcisnąć na kartkę formatu A2. Osiemdziesiąt tysięcy. Za mało, żeby zapłacić następną kwartalną ratę kredytu na dom. I nawet nie ma co mówić o pokryciu ubiegłorocznej straty, jaką przyniosła galeria. A przecież obiecałem księgowemu, że ją spłacę w listopadzie. Z jakiegoś powodu coraz rzadziej też pojawiały się przyzwoite obrazy. Ostatni, *Modelka na wysokich obcasach* Sørensa Onsagera, trafił się ponad trzy miesiące temu i nawet on przyniósł mi niespełna sześćdziesiąt tysięcy. Coś musi się wkrótce wydarzyć. QPR strzelą bramkę fuksem, od niechcenia kopną piłkę w samo okienko, co – wszystko jedno, zasłużenie czy nie – pośle ich na Wembley. Słyszałem, że takie rzeczy się zdarzają. Z westchnieniem posłałem *Evę Mudocci* na drukarkę.

Miał być szampan, zamówiłem więc taksówkę. Kiedy do niej wsiadłem, jak zwykle rzuciłem tylko nazwę galerii. Było to coś w rodzaju testu na prowadzony przez nas marketing. Ale – również jak zwykle – taksówkarz tylko pytająco spojrział na mnie w lusterku.

– Erling Skjalgssons gate – westchnąłem.

Długo dyskutowaliśmy o lokalizacji, zanim Diana dokonała wyboru. Mnie chodziło przede wszystkim o to, by galeria znajdowała się na osi Skillebekk–Frogner,

ponieważ to tam są zdolni do szastania pieniędzmi klienci, a także inne galerie na poziomie. Dla nowej galerii umiejscowienie poza stadem może oznaczać przedwczesną śmierć. Diana za wzór uważała Serpentine Gallery koło Hyde Parku w Londynie. Była zdania, że galeria nie może się mieścić przy dużej ruchliwej ulicy, takiej jak Bygdøy allé czy Gamle Drammensvei, tylko przy cichym zaułku umożliwiającym kontemplację. Położenie na uboczu podkreślało ponadto jej ekskluzywność, sygnalizowało, że to miejsce dla wtajemniczonych, dla znawców.

Przyznałem, że się z nią zgadzam, myśląc jednocześnie, że może dzięki temu czynsz nas nie zrujnuje.

Sądziłem tak aż do chwili, gdy Diana dodała, że wobec tego będzie mogła sobie zafundować dodatkową powierzchnię na salon przeznaczony na nocne imprezy po wernisażach. Wypatrzyła już bowiem wolny lokal przy Erling Skjalgssons gate, który idealnie się do tego nadawał, tyle że był ogromny. To ja wymyśliłem nazwę: Galeria E. „E” jak Erling Skjalgssons gate. Był to w dodatku ten sam typ nazwy, który nosiła najlepiej prowadzona galeria w mieście, Galeria K. Mieliśmy więc nadzieję, że samo to pokazuje, iż zwracamy się do ludzi zasobnych, świadomych jakości i zorientowanych w trendach.

Umowa najmu została zawarta, szeroko zakrojone prace remontowe ruszyły i zaczęła się ruina.

Taksówka zatrzymała się przed galerią; zauważyłem, że wzdłuż chodników parkuje więcej jaguarów i lexusów niż zwykle. Dobry znak, choć oczywiście mógł być rezultatem przyjęcia organizowanego w którejś z okolicznych ambasad albo party urządzanego przez Celinę Midelfart w jej twierdzy, dawnej rezydencji ambasadora NRD.

Kiedy wszedłem, z głośników płynęła muzyka ambient z lat osiemdziesiątych z przewagą basów, ale na przyjemnym poziomie głośności. Później miały być *Wariacje Goldbergowskie*. Osobiście wypaliłem CD dla Diany.

Było już sporo ludzi, mimo że dochodziło dopiero wpół do dziewiątej. Dobry znak, bo zazwyczaj klientela Galerii E nie pojawiała się przed wpół do dziesiątej. Diana wyjaśniła mi, że zatłoczone wernisaże uważa się za wulgarne, natomiast takie, na które przychodzi sporo ludzi, ale nie ma tłoku, podkreślają ekskluzywność. Doświadczenie mówiło mi jednak, że im więcej ludzi, tym więcej sprzedanych obrazów. Kiwając głową na prawo i lewo, przy czym nikt mi nie odpowiadał, skierowałem się do baru na kółkach. Stały barman Diany, Nick, podał mi wysmukły kieliszek z szampanem.

- Drogi? – spytałem, próbując gorzkich bąbelków.
- Sześć stów – odparł Nick.
- Trzeba sprzedać trochę obrazów. Który to artysta?
- Atle Nørum.

– Wiem, jak on się nazywa, Nick, tylko nie wiem, jak wygląda.

– Stoi tam. – Nick swoją wielką, czarną jak heban głową wskazał na prawo. – Obok twojej żony.

Dotarło do mnie jedynie, że artysta to niski korpulentny facet z brodą. Obok bowiem stała ona.

W białych skórzanych spodniach, opinających długie szczupłe nogi, wydawała się jeszcze wyższa niż w rzeczywistości. Proste włosy zwisały po obu stronach przyciętej równo grzywki. To obramowanie z kątami prostymi jeszcze wzmocniało wrażenie japońskiego komiksu. W świetle punktowych reflektorów luźna biała jedwabna bluzka lśniła niemal błękitem, spływając ze szczupłych, ale umięśnionych ramion, a piersi z profilu tworzyły zarys idealnie kształtnej fali. Na Boga, naprawdę pięknie by jej było w tych brylantowych kolczykach!

Niechętnie oderwałem od niej wzrok i omiotłem nim dalszą część lokalu. Publiczność uprzejmie konwersowała przed obrazami. Przyszli ci co zwykle. Bogaci ludzie sukcesu, finansisci (garnitury z krawatami) i gwiazdy (garnitury z designerskimi T-shirtami) właściwego gatunku, takie, które naprawdę zdołały coś osiągnąć. Kobiety (stroje od znanych projektantów) były aktorkami, pisarkami albo politykami. No i oczywiście bukiet młodych, tak zwanych obiecujących i – jak twierdzono – niezamożnych zbuntowanych artystów (dziurawe dzinsy,

T-shirty z napisami), ci, których w duchu nazywałem QPR. Gdy początkowo marszczyłem nos, widząc te elementy na listach zapraszanych gości, Diana twierdziła, że potrzebujemy „przypraw”, życia, czegoś nieco bardziej niebezpiecznego niż mecenas sztuki, kalkulujący inwestorzy i ci, którzy przychodzili tu wyłącznie po to, by pielęgnować swój kulturalny image. W porządku, ale wiedziałem, że obdartusy przysły tutaj, ponieważ pięknie prosiły Dianę o zaproszenie. Ona również rozumiała, że zjawili się, by wyłowić kupców dla siebie, ale powszechnie wiadome było, że Diana nigdy nie potrafi odmówić, gdy ktoś poprosi ją o przysługę. Zauważyłem, że wiele osób – głównie mężczyźni – regularnie na nią zerka. Nic dziwnego. Była piękniejsza od kobiet, które kiedykolwiek będą mieć. To żadne przypuszczenie, tylko niepodważalny, wynikający z logiki fakt: ponieważ ona była najpiękniejsza. I moja. Starłem się nie zadręczać myślą, na ile i ten fakt był niepodważalny. Na razie uspokajałem się tym, że Diana wydaje się permanentnie ślepa.

Zacząłem liczyć mężczyzn w krawatach. Z reguły to oni kupowali. Cena metra kwadratowego prac Nøruma kształtowała się ostatnio na poziomie pięćdziesięciu tysięcy. Przy pięćdziesięciu pięciu procentach marży dla galerii nie trzeba było wielu transakcji, by ten wieczór stał się lukratywny. A raczej powinien taki być, bo Nørumy były całkiem spore.

Teraz przez drzwi wlewał się już strumień ludzi. Musiałem się przesunąć, żeby umożliwić im dostęp do

tacy z szampanem.

Podszedłem do mojej żony i Nøruma, żeby mu powiedzieć, że wielbię go bez pamięci. Oczywiście była to przesada, ale nie bezczelne kłamstwo, bo facet niewątpliwie miał talent. Już wyciągałem rękę, gdy nagle artysty dopadł strzykający śliną mężczyzna, najwyraźniej znajomy, i pociągnął go w stronę chichoczącej kobiety, która przestępowała z nogi na nogę, jakby musiała iść do toalety.

– Nieźle to wygląda – powiedziałem, stając obok Diany.

– Cześć, kochanie – uśmiechnęła się do mnie i skinęła na bliźniaczki, żeby zrobiły rundę z przekąskami, do których niepotrzebne są sztucce. Sushi wyszło już z mody, więc zaproponowałem nowy catering z Algierii, północnoafrykański, ale inspirowany kuchnią francuską, bardzo *hot*. W podwójnym znaczeniu tego słowa. Zobaczyłem jednak, że Diana znów zamówiła jedzenie z Bagatelle. Również bardzo dobre, oczywiście. I trzy razy droższe.

– Mam świetną wiadomość, kochany. – Wsunęła dłoń w moją rękę. – Pamiętasz to wolne stanowisko w firmie z Horten, o której mi opowiadałeś?

– Pathfinder. A co?

– Znalazłam idealnego kandydata.

Popatrzyłem na nią lekko zaskoczony. Jako łowca głów korzystałem, rzecz jasna, od czasu do czasu z

portfela klientów Diany i jej znajomych, wśród których było wiele czołowych postaci norweskiej gospodarki. Robiłem to bez wyrzutów sumienia, przecież to ja finansowałem ten pochłaniacz pieniędzy. Ale niezwykle było to, że Diana sama zaproponowała konkretnego kandydata na konkretne stanowisko.

Ujęła mnie pod ramię, nachyliła się i szepnęła:

– Nazywa się Clas Greve. Ojciec Holender, matka Norweżka. Albo odwrotnie, wszystko jedno. Trzy miesiące temu rzucił pracę i właśnie przeniósł się do Norwegii, żeby wyremontować mieszkanie, które dostał w spadku. Był w Rotterdamie dyrektorem jednej z największych w Europie firm zajmujących się technologią GPS. I jej współwłaścicielem, dopóki wiosną nie wykupili ich Amerykanie.

– Rotterdam – powtórzyłem i wypilem łyk szampana.

– A jak się nazywa ta firma?

– HOTE.

Zakrztusiłem się.

– HOTE? Jesteś pewna?

– Najzupełniej.

– I ten hrabia¹ był dyrektorem? Dyrektorem jak dyrektor?

– On się nazywa Greve. Nie sędzę, by rzeczywiście był...

– Wiem, wiem. Masz numer telefonu do tego

hrabiego?

– Nie.

Jęknąłem. HOTE. Pathfinder wymienił tę firmę jako ich wzór w Europie. Podobnie jak Pathfinder, HOTE było kiedyś niedużym przedsiębiorstwem specjalizującym się w dostawach technologii GPS dla przemysłu obronnego w Europie. Jeden z ich wcześniejszych dyrektorów nadawałby się wprost idealnie. I trzeba się było spieszyć. Firmy rekrutacyjne twierdzą, że przyjmują jedynie zlecenia, na które mają wyłączność, ponieważ gwarantuje im to możliwość poważnej i systematycznej pracy. Ale jeśli tylko marchewka jest dostatecznie duża i dostatecznie pomarańczowa, kiedy roczna pensja brutto zaczyna się zbliżać do wartości siedmiocyfrowych, wszyscy zaczynają gwizdać na reguły. A dyrektorskie stanowisko w Pathfinderze stanowiło bardzo duży, bardzo pomarańczowy i bardzo łakomy kąsek. Zlecenie złożono w trzech firmach rekrutacyjnych: Alfa, ISCO i Korn/Ferry International. W trzech najlepszych. Dlatego nie chodziło jedynie o pieniądze. Kiedy pracujemy na zasadzie *no cure, no pay*, dostajemy najpierw jednorazową kwotę na pokrycie kosztów, a następnie pewną sumę, jeśli zaprezentowany przez nas kandydat spełni wymogi ustalone z klientem. Jednak abyśmy otrzymali prawdziwą zapłatę, klient musi naprawdę zatrudnić tego, kogo mu polecimy. Jest więc o co walczyć. Ale w tej sytuacji tak naprawdę, ale to n a p r a w d ę, chodziło o rzecz prostą: o to, żeby wygrać.

Zostać królem. Zdobyć buty na koturnach.

Nachyliłem się do Diany.

– Posłuchaj, kochanie, to ważne. Czy masz w ogóle pojęcie, jak go mogę złapać?

Roześmiała się.

– Jesteś taki słodki, kiedy się czymś przejmiesz, kochany.

– Czy wiesz, gdzie...

– Oczywiście.

– No to gdzie? Gdzie?

– Stoi tam. – Pokazała palcem.

Przed jednym z ekspresyjnych obrazów Nøruma, przedstawiającym krwawiącego mężczyznę w masce sado-maso, stała szczupła wyprostowana postać w garniturze. W gładkiej opalonej czaszce odbijało się światło. Na skroni mężczyzna miał twarde nabrzmiałe żyły. Garnitur od krawca, prawdopodobnie z Savile Row. Koszula bez krawata.

– Mam go przyprowadzić, kochanie?

Kiwnąłem głową i śledziłem Dianę wzrokiem. Już się szykowałem. Zanotowałem sobie jego łaskawy ukłon, gdy Diana podeszła i coś mu pokazywała. Ruszyli w moją stronę. Uśmiechnąłem się, ale nie za szeroko, lekko wyciągnąłem rękę, jeszcze zanim do mnie podszedł, ale nie za wcześnie. Całym ciałem obróciłem się ku niemu, patrząc mu w oczy.

Siedemdziesiąt osiem procent.

– Roger Brown, bardzo mi przyjemnie. – I imię, i nazwisko wymówiłem z angielskim akcentem.

– Clas Greve, cała przyjemność po mojej stronie.

Z wyjątkiem nienorweskiego formalnego powitania jego norweski był niemal idealny. Ręka ciepła, sucha, uścisk mocny, ale bez przesady, trwający zalecane trzy sekundy. Spojrzenie spokojne, zaciekawione, bystre, uśmiech niewymuszenie przyjazny. Jedyne, co mogłem mu zarzucić, to wzrost – nie był tak wysoki, jak na to liczyłem. Mniej niż metr osiemdziesiąt, co trochę rozczarowywało, zważywszy że Holendrzy, przy średnim wzroście 183,4 centymetra, mają antropometryczne mistrzostwo świata.

Zabrzmiał akord gitarowy. A konkretnie G11sus4. Otwarcie *A Hard Day's Night* Beatlesów z albumu pod tym samym tytułem. Wiedziałem o tym, ponieważ to ja ustawiłem ten akord jako dzwonek w telefonie Diany, zanim jej go dałem. Przyłożyła smukły elegancki aparat do ucha, przeprosiła nas skinieniem głowy i odeszła.

– O ile dobrze zrozumiałem, właśnie się pan tu przeprowadził, panie Greve?

Sam słyszałem, że przez to „pan” i „panie” brzmię jak aktor w starym słuchowisku radiowym, ale w fazie wstępnej ważne jest dostosowanie się do rozmówcy i obniżenie swojej pozycji. Przemiana i tak nastąpi szybko.

– Odziedziczyłem po babci mieszkanie na Oscars gate. Dwa lata stało puste i wymaga remontu.

– Ach tak?

W uśmiechu uniosłem obie brwi, zaciekawiony, ale nie natrętny, tylko na tyle, żeby rozmówca mógł i chciał zastosować się do kodów zachowań – powinien teraz udzielić nieco bardziej wyczerpującej odpowiedzi.

– Owszem – powiedział Greve. – To przyjemna przerwa po wielu latach ciężkiej pracy.

Nie widziałem powodu, żeby nie spytać wprost:

– W HOTE, jak rozumiem?

Spojrzał na mnie lekko zaskoczony.

– Zna pan tę firmę?

– Klientem firmy rekrutacyjnej, dla której pracuję, jest konkurencja, Pathfinder. Słyszał pan o nich?

– O tyle o ile. Mieszczą się w Horten, jeśli dobrze pamiętam. Nieduzi, ale sprawni, prawda?

– Na pewno się rozwinęli, nawet w ciągu tych kilku miesięcy, kiedy pan oddalił się od branży.

– W tej dziedzinie rzeczy dzieją się szybko – przyznał Greve, obracając w dłoni kieliszek z szampanem. – Wszyscy myślą o ekspansji, a motto brzmi: „Rośnij albo giń”.

– Tak właśnie zrozumiałem. Może dlatego HOTE zostało wykupione?

Uśmiech Grevego sprawił, że ogorzała skórę wokół

bladoniebieskich oczu pokryła delikatna siateczka zmarszczek.

– Najszybszy sposób na to, by urosnąć, to jak wiadomo kupowanie. W opinii ekspertów ci, którzy za dwa lata nie znajdą się wśród pięciu największych firm z branży GPS, są skończeni.

– Mówi pan tak, jakby pan się z tym nie zgadzał.

– Uważam, że najważniejsze kryteria przeżycia to innowacyjność i elastyczność. I dopóki można liczyć na odpowiednie finansowanie, małe jednostka, którą da się szybko przestawić, jest ważniejsza niż wielkość. Muszę więc przyznać, że chociaż w wyniku zmiany właściciela HOTE stałem się bogatym człowiekiem, byłem przeciwny sprzedaży i zaraz potem złożyłem wypowiedzenie. Najwyraźniej nie dotrzymuję kroku obowiązującym trendom... – I znów ten przelotny uśmiech, zmiękczający twardą, ale wypielegnowaną twarz. – Być może po prostu odzywa się we mnie partyzant. Co o tym myślisz?

Przejdźcie na ty. Dobry znak.

– Wiem tylko, że Pathfinder szuka nowego dyrektora – odparłem, dając jednocześnie sygnał Nickowi, żeby przyniósł nam więcej szampana. – Kogoś, kto jest w stanie oprzeć się próbom wykupienia przez zagranicę.

– Ach tak?

– I wygląda mi na to, że możesz być dla nich bardzo ciekawym kandydatem. Jesteś zainteresowany?

Greve się roześmiał. To był przyjemny śmiech.

– Przykro mi, Roger, ale mam mieszkanie do wyremontowania.

Imię.

– Nie chodziło mi o to, czy jesteś zainteresowany tą pracą, Clas, tylko rozmową o niej.

– Nie widziałeś tego mieszkania, Roger. Stare. I ogromne. Wczoraj za kuchnią znalazłem jeszcze jeden pokój.

Przyjrzałem mu się uważniej. To nie tylko dzięki krawcom z Savile Row garnitur tak świetnie na nim leżał. Facet był po prostu znakomicie zbudowany. A właściwie na wskroś wyrzeźbiony ćwiczeniami. Nie miał żadnych wystających mięśni, tylko tę żyłą siłę, która dyskretnie ukazuje się w napięciu szyi i karku, w postawie, w niskiej częstotliwości oddechów, w niebieskich węzłach tlenowych – żyłach widocznych na grzbiecie dłoni. Mimo to nawet przez materiał garnituru dało się wyczuć twardość mięśni. Wytrzymały, pomyślałem. Bezlitośnie wytrzymały. Już podjąłem decyzję: muszę złowić tę głowę.

– Lubisz sztukę, Clas? – spytałem, podając mu kieliszek przyniesiony przez Nicka.

– Tak. I nie. Lubię sztukę, która coś pokazuje. Ale większość z tego, co widuję, głosi piękno albo prawdę, której tam nie ma. Możliwe, że istniały w zamiarze, ale zabrakło talentu, by je przekazać. Jeśli nie dostrzegam

piękna czy prawdy, to po prostu znaczy, że ich tam nie ma. Artysta, który twierdzi, że jest niezrozumiany, niemal zawsze jest złym artystą, którego, niestety, zrozumiano.

– No to myślimy tak samo – stwierdziłem, podnosząc kieliszek.

– Wybaczam większości ludzi brak talentu, może dlatego, że sam otrzymałem go tak niewiele – ciągnął Greve, ledwie mocząc wąskie wargi w szampanie. – Ale nie artystom. My, ludzie pozbawieni talentu, pracujemy w pocie czoła i płacimy za to, żeby oni mogli się bawić w naszym imieniu. To nawet fair, tak powinno być, ale wtedy, do cholery, muszą się bawić umiejętnie.

Już dawno to zauważyłem i wiedziałem, że wyniki testu i pogłębione interview tylko to potwierdzą: to był właściwy człowiek. Gdyby ISCO czy Mercuri Urval dostali na to nawet dwa lata, i tak nie zdołaliby znaleźć równie idealnego kandydata.

– Wiesz co, Clas? Musimy pogadać. Bo Diana sobie tego zażyczyła. – Podałem mu wizytówkę. Nie było na niej żadnego adresu, numeru faksu czy adresu strony internetowej, a jedynie moje nazwisko, numer komórki i napis „Alfa” maleńkimi literkami w rogu.

– Mówiłem już... – zaczął Greve, patrząc na wizytówkę.

– Posłuchaj – przerwałem mu. – Nikt, kto wie, co dla niego dobre, nie sprzeciwia się Dianie. Nie wiem, o czym mamy rozmawiać. Może o sztuce. Albo o

przyszłości. Albo o remoncie. Przypadkiem znam paru najlepszych i najtańszych rzemieślników w Oslo. Ale porozmawiać musimy. Co powiesz na spotkanie jutro o trzeciej?

Greve przez chwilę patrzył na mnie z uśmiechem. W końcu wąską dłonią potarł podbródek.

– Wydawało mi się, że pierwotną ideą wizytówek było zapewnienie odbiorcy odpowiednich informacji pozwalających na złożenie wizyty.

Wyjąłem z kieszeni pióro Conklin, zapisałem adres biura na odwrocie wizytówki i obserwowałem, jak karta znika w kieszeni Grevego.

– Cieszę się, że dłużej sobie pogadamy, Roger. Ale teraz muszę już wracać do domu i trochę się naładować, żeby móc zwymyślać stolarzy po polsku. Pozdrów swoją czarującą żonę. – Ukłonił się sztywno, niemal po wojskowemu, obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

Kiedy patrzyłem za nim, podeszła do mnie Diana.

– I jak poszło, kochanie?

– Fantastyczny egzemplarz. Spójrz tylko, jak się porusza. Jak kot. Jest idealny.

– Czy to oznacza...

– Umiał nawet udawać, że nie interesuje go ta praca. Boże, muszę mieć tę głowę na ścianie, wypchaną, z obnażonymi zębami!

Diana radośnie klasnęła w ręce jak mała dziewczynka.

– A więc pomogłam? Naprawdę w czymś pomogłam?

Wyciągnąłem się i objąłem ją ramieniem. Lokal był wulgarnie, cudownie pełen ludzi.

– Niniejszym otrzymujesz certyfikat łowcy głów, kwiatuszku. Jak tam sprzedaż?

– Dziś wieczorem nie sprzedajemy. Nie mówiłam ci? Przez moment miałem nadzieję, że się przesłyszałem.

– To tylko... wystawa?

– Atle nie chciał się rozstawać z obrazami – uśmiechnęła się jakby przepraszająco. – Rozumiem go. Ty chyba też nie chciałbyś stracić czegoś, co jest takie piękne.

Zamknąłem oczy i przełknąłem ślinę. Myślałem o oddziaływaniu miękkiego na miękkie.

– Uważasz, że to niemądre, Roger? – usłyszałem zatroskany głos Diany i własną odpowiedź:

– Ależ skąd.

Poczułem jej wargi na policzku.

– Jesteś taki dobry, kochanie. Przecież sprzedażą możemy zająć się później. A takie imprezy budują wizerunek i ekskluzywność. Sam mówiłeś, że to bardzo ważne.

Zmusiłem się do uśmiechu.

– Oczywiście, kochanie, ekskluzywność jest najważniejsza.

Diana się rozjaśniła.

– Wiesz co? Zamówiłam didżeja na nocną imprezę! Tego z Blå, który puszcza soul z lat siedemdziesiątych. Mówiłeś, że jest najlepszy w mieście. – Znów klasnęła w ręce, a ja miałem wrażenie, że mój uśmiech odrywa się od twarzy, upada i rozbija się na podłodze. Ale na odbiciu w jej uniesionym kieliszku szampana wciąż był na miejscu. Znów rozległ się akord G11sus4 Johna Lenona i Diana zaczęła szukać komórki w kieszeniach spodni. Obserwowałem, jak szczebiocze do kogoś, kto pytał, czy może przyjść.

– Oczywiście, że możecie, Mia! Ależ nie, po prostu weźcie małą. Będziecie mogli ją przewinąć u mnie w biurze. Jasne, że chcemy słuchać płaczu dziecka. To tylko ożywia atmosferę. Ale pozwolisz mi ją wziąć na ręce? Obiecujesz?

Boże, jak ja kochałem tę kobietę!

Znów przeniosłem wzrok na publiczność i gwałtownie zatrzymałem go na drobnej bladej twarzy. To mogła być ona. Lotte. Te same smutne oczy, które pierwszy raz zobaczyłem właśnie tutaj. To nie była ona. Zamknięty rozdział. Ale obraz Lotte prześladował mnie jak bezpański pies już do końca tego wieczoru.

4. ANEKSJA

– Spóźniłeś się – stwierdził Ferdinand, kiedy

przyszedłem do biura. – I masz kaca.

– Zdejmij nogi ze stołu – powiedziałem, obszedłem biurko, włączyłem komputer i pociągnąłem za sznurek żaluzji. Światło przestało być tak natrętne, więc zdjąłem ciemne okulary.

– To znaczy, że wernisaż się udał? – pisał Ferdinand tym tonem, który trafia wprost do ośrodka bólu w mózgu.

– Były tańce na stołach – odparłem, patrząc na zegarek. Wpół do dziesiątej.

– Dlaczego najlepsze imprezy to zawsze te, na których nas nie było? – westchnął Ferdinand. – Przyszli jacyś znani?

– Masz na myśli kogoś, kogo znasz?

– Znani ludzie. Gwiazdy, ty wariacie. – Machnął ręką w powietrzu, wyginając nadgarstek. Właściwie już przestałem się irytować tym, że koniecznie musiał robić z siebie aktora z kabaretu.

– Kilka – mruknąłem.

– Ari Behn?

– Nie. Wciąż masz być na spotkaniu Landera z klientem dzisiaj o dwunastej, prawda?

– Jasne. A był Hank von Helvete? Vendela Kirsebom?

– Wyjdź stąd. Muszę pracować.

Ferdinand zrobił urażoną minę, ale usłuchał. Kiedy

drzwi się za nim zamykały, już szukałem w Google Clasa Greve. Kilka minut później wiedziałem, że był szefem i współwłaścicielem HOTE przez sześć lat, czyli do czasu wykupienia firmy, że ma za sobą małżeństwo z belgijską fotomodelką, a w 1985 roku zdobył mistrzostwo Holandii w pięcioboju wojskowym. Właściwie zaskoczyło mnie, że nie było nic więcej. Nie szkodzi. O piątej będziemy już mieli za sobą łagodną wersję Inbaua, Reida i Buckleya, a ja dowiem się wszystkiego, czego mi potrzeba.

Wcześniej miałem robotę do wykonania. Drobną aneksję. Odchyliłem głowę i zamknąłem oczy. Uwielbiałem napięcie w czasie, gdy to trwało, ale nienawidziłem oczekiwania. Już teraz serce biło mi trochę szybciej niż normalnie. Do głowy zakradła się myśl: chciałbym, żeby biło tak z powodu czegoś, przez co biłoby jeszcze odrobinę szybciej. Osiemdziesiąt tysięcy. To mniej niż się wydaje. Mniej warte w mojej kieszeni niż udział Ovego Kjikeruda w jego. Czasami zazdrościłem mu tego prostego życia w samotności. Była to pierwsza rzecz, co do której się upewniłem, gdy przeprowadzałem z nim taką rozmowę kwalifikacyjną na stanowisko szefa ochrony. Musiałem wiedzieć, czy nie ma wokół siebie zbyt wielu uszu. A w jaki sposób zrozumiałem, że to mój człowiek? Po pierwsze, powiedziało mi o tym jego dziwne defensywno-agresywne zachowanie. A po drugie, odpieranie moich pytań w taki sposób, jakby znał technikę ich zadawania. Dlatego niemal się zdumiałem, kiedy później

sprawdzałem jego kartotekę i okazało się, że w oficjalnym rejestrze spraw karnych w ogóle go nie ma. Zadzwoiłem więc do pewnej znajomej, która jest na naszej nieoficjalnej liście płac. Pracuje na stanowisku umożliwiającym jej dostęp do SANSAK, Archiwum Sanacji, czyli uzdrowienia, obejmującego wszystkich, na których złożono doniesienie o popełnieniu przestępstwa, ale których wypuszczono. Zostali tam wpisani i – mimo wdzięcznej nazwy archiwum – nigdy ich nie wykreślono. Ta znajoma poinformowała mnie, że jednak się nie pomyliłem, bo Ove Kjikerud był przesłuchiwany przez policję tyle razy, że dziewięciostopniowy model znał na wylot. Nigdy nie został za nic skazany, co z kolei mi powiedziało, że facet wcale nie jest idiotą, tylko cierpi na silną dysleksję.

Kjikerud był stosunkowo niski i tak jak ja miał mocne ciemne włosy. Namówiłem go, żeby się ostrzygł, zanim zacznie pracować jako szef ochrony. Wyjaśniłem, że nikt nie będzie miał zaufania do faceta, który wygląda jak *roadie* z emerytowanego zespołu heavyrockowego. Ale z jego zębami, brązowymi od szwedzkiego snusu, nic nie mogłem zrobić. Ani tym bardziej z twarzą, wydłużoną jak pióro wiośła, i wysuniętą do przodu szczęką, która momentami budziła we mnie uczucie, że poplamiony tytoniem zestaw zębów zaraz wyskoczy i zacznie łapać przedmioty w powietrzu. Mniej więcej tak jak tamten cudowny stworek w filmach o Obcym. To oczywiście zbyt wysokie wymagania w stosunku do

osoby o tak ograniczonych ambicjach jak Kjikerud. Był leniwy, jednak chciał bogactwa. Marzenia Ovego Kjikeruda zderzały się niebezpiecznie z jego osobistymi cechami. Kryminalista i kolekcjoner broni, o skłonnościach do przemocy, tęsknił do życia w spokoju i błogim lenistwie. Pragnął, ba, wręcz błagał o przyjaciół, ale ludzie jakby wyczuwali, że coś jest nie tak, i woleli trzymać się od niego z daleka. Poza tym był szczerym, nieuleczalnym i rozczarowanym romantykiem, który w końcu zaczął szukać miłości u prostytutek. Obecnie beznadziejnie kochał się w ciężko pracującej rosyjskiej dziwce o imieniu Natasza, której nie zamierzał zdradzać, mimo że ona – przynajmniej na tyle, na ile zdołałem się zorientować – ani trochę się nim nie interesowała. Ove Kjikerud był jak swobodnie pływająca mina, człowiek bez kotwicy, pozbawiony woli czy siły napędowej, który pozwala unosić się z prądem ku nieodwracalnej katastrofie. Człowiek, którego może ocalić jedynie druga osoba – ktoś, kto rzuci mu linę i nada jego życiu kierunek i sens. Ktoś taki jak ja. Ktoś, kto będzie w stanie przedstawić go jako sympatycznego, nawykłego do ciężkiej pracy młodego człowieka z czystą kartoteką, idealnego na stanowisko szefa ochrony. Dalszy ciąg był nieskomplikowany.

Wyłączyłem komputer i wyszedłem.

– Będę za godzinę, Ida.

Na schodach poczułem, że to źle zabrzmiało. Zdecydowanie Oda.

O dwunastej wjechałem na parking przed sklepem Rimi, który według mojego GPS znajdował się dokładnie trzysta metrów od domu Landera. GPS był prezentem od Pathfindera, przypuszczam, że czymś w rodzaju nagrody pocieszenia, na wypadek gdyby nie udało nam się wygrać konkursu na zatrudnienie ich szefa. Zrobili mi też błyskawiczny kurs wprowadzający w to, czym tak naprawdę jest GPS – czyli Global Positioning System – i wyjaśnili, jak sieć dwudziestu czterech satelitów krążących po orbicie okołoziemskiej za pomocą sygnałów radiowych i zegarów atomowych jest w stanie zlokalizować ciebie i twój nadajnik GPS wszędzie na powierzchni Ziemi z dokładnością do trzech metrów. Jeśli sygnał przechwycą cztery satelity albo więcej, to są w stanie określić nawet wysokość, na jakiej się znajdujesz – czy siedzisz na ziemi, czy na drzewie. Cały system, podobnie jak Internet, został stworzony przez armię amerykańską, i tak jak Internet, między innymi po to, by sterować raketami Tomahawk, bombami z Pave Low i innymi spadającymi z nieba owocami, które miały trafiać w głowy właściwych osób. Pathfinder bardzo dobitnie dał do zrozumienia, że opracował nadajniki mające dostęp do tajnych lądowych stacji GPS, tworzące sieć, która działa przy każdej pogodzie, i będące w stanie sforsować nawet grube mury. Prezes zarządu Pathfindera wyjaśnił mi również, że pracując nad działaniem GPS, trzeba w obliczeniach brać pod uwagę to, że jedna sekunda na

Ziemi nie równa się jednej sekundzie dla satelity, mknącego w przestrzeni kosmicznej. Czas się zakrzywia. Tam, w górze, człowiek wolniej się starzeje. Satelity jednym słowem udowadniały teorię względności Einsteina.

Moje volvo ustawiło się w jednym rządku z autami tej samej klasy cenowej. Wyłączyłem silnik. Nikt nie zapamięta samochodu. Wziąłem ze sobą czarną teczkę i ruszyłem pod górę do domu Landera. Marynarka została w samochodzie. Miałem na sobie niebieski kombinezon bez żadnych napisów czy logo, bejsbolówka ukrywała włosy, a ciemne okulary nie mogły nikogo dziwić, bo był to jeszcze jeden z tych przepięknych jesiennych dni, którymi Oslo tak często może się cieszyć. Mimo wszystko jednak, gdy spotkałem jedną z filipińskich dziewczyn, które w tej okolicy wożą w wózkach dzieci klasy rządzącej, wbiłem wzrok w ziemię. Ale na krótkiej uliczce, przy której stał dom Landera, było pusto. Słońce lśniło w panoramicznych oknach. Zerknąłem na zegarek Breitling Airwolf, który Diana podarowała mi na trzydzieste piąte urodziny. Sześć po dwunastej. Minęło sześć minut od zdezaktywowania alarmu w domu Jeremiasa Landera. Odbyło się to po cichu w komputerze centrali operacyjnej firmy ochroniarskiej, przez kuchenne wejście do oprogramowania, dzięki czemu przerwa w pracy nie zostanie odnotowana w dzienniku awarii i wyłączeń prądu. Dzień, w którym zatrudniłem szefa ochrony w Tripolis, był doprawdy błogosławiony.

Podszedłem do głównych drzwi, słuchając świergotu ptaków i szczekających na nie psów. Lander podczas interview powiedział, że nie ma pomocy domowej, niepracującej żony, dużych dzieci ani psa. Ale nigdy nie można mieć stuprocentowej pewności. Zwykle zakładałem dziewięćdziesiąt dziewięć i pół procent, a pozostałe pół procent niepewności równoważył gwałtowny przyływ adrenaliny: dzięki niej lepiej widziałem, słyszałem i czułem zapachy.

Wyjąłem klucz przekazany mi przez Ovego w Sushi & Coffee – każdy klient musiał zdeponować w Tripolis zapasowy klucz na wypadek włamania, pożaru lub błędu w systemie, który pojawiłby się podczas nieobecności lokatorów. Klucz wszedł w zamek jak w masło i obrócił się z naoliwionym kliknięciem.

Byłem w środku. Dyskretny system alarmowy na ścianie spał ze zgaszonymi plastikowymi oczami. Włożyłem rękawiczki i przykleiłem je taśmą do rękawów kombinezonu, żeby żaden włoszek z ciała nie spadł na dywan. Czepek kąpielowy, który miałem pod bejsbolówką, naciągnąłem na uszy. Nie można zostawić żadnych śladów DNA. Ove spytał mnie kiedyś, czy nie byłoby lepiej, gdybym ogolił się na łyso.

Nie chciało mi się tłumaczyć, że zaraz po Dianie włosy były ostatnią rzeczą, z jaką gotów byłbym się rozstać.

Miałem dużo czasu, ale mimo to szybko przeszedłem przez korytarz. Na ścianie nad schodami prowadzącymi

do salonu wisiały portrety dzieci, najprawdopodobniej potomstwa Landera. Nie pojmuję, co skłania dojrzałych ludzi do wydawania pieniędzy na żalosne kiczowate wersje swoich najdroższych, malowane przez prostytutkiujących się artystów. Czyżby lubili patrzeć, jak goście się czerwienią? Salon był urządony kosztownie, ale nieciekawie, z wyjątkiem zaprojektowanego przez Gaetana Pesce jaskrawoczerwonego fotela – mebel przypominał cycatą kobietę, która właśnie urodziła dziecko: wielką piłkę, na której można oprzeć stopy. Na pewno nie był to pomysł Jeremiasa Landera.

Obraz wisiał za fotelem. Eva Mudocci, brytyjska skrzypaczka, którą Munch poznał tuż po poprzednim przełomie wieków, a jej portret wyrył w kamieniu. Widziałem już wcześniej inne egzemplarze tej litografii, ale dopiero teraz, w tym świetle, zobaczyłem, do kogo Eva Mudocci jest podobna. Do Lotte. Lotte Madsen. Twarz na obrazie miała tę samą bladość i melancholię w spojrzeniu co kobieta, którą z takim zdecydowaniem usunąłem z pamięci.

Zdjąłem obraz ze ściany i położyłem go na stole spodem do góry. Do cięcia użyłem nożyka Stanley. Litografia była wydrukowana na beżowym papierze, oprawiona w nowoczesne ramy, nie musiałem więc usuwać sztyftów czy staroświeckich gwoździów. Krótko mówiąc, robota z tych najprostszych.

Nagle ciszę bez ostrzeżenia przerwał hałas. Alarm. Uporczywe pulsowanie, które zmieniało się z

częstotliwości poniżej tysiąca herców do ośmiu tysięcy. Odgłos, który skutecznie przedziera się przez powietrze i wszelki hałas w tle, więc słyhać go z odległości kilkuset metrów. Zesztywniałem. Trwało to zaledwie kilka sekund i alarm ucichł. Najpewniej właściciel samochodu był po prostu nieuważny.

Wróciłem do pracy. Otworzyłem teczkę, schowałem do niej litografię, wyjąłem wydrukowaną w domu kartkę formatu A2 z panną Mudocci. W ciągu czterech minut znalazła się w ramach i zawisła na ścianie. Przekrzywiłem głowę i uważnie się jej przyjrzałem. Czasami mijały tygodnie, zanim nasze ofiary odkrywały komicznie proste fałszerstwa. Na wiosnę zastąpiłem olej Knuta Rose *Koń z małym jeźdźcem* obrazkiem, który zeskanowałem z albumu o sztuce i powiększyłem. Kradzież zgłoszono dopiero po czterech tygodniach. Panna Mudocci prawdopodobnie zostanie odkryta z uwagi na biel kartki A2, ale to też mogło potrwać. Do tej pory kradzieży nie da się umiejscowić w czasie, bo dom zostanie sprzątnięty dostatecznie wiele razy, by nikt nigdy nie znalazł żadnego DNA. A wiedziałem, że właśnie DNA szukają. W zeszłym roku, kiedy razem z Kjikerudem dokonaliśmy czterech skoków w czasie krótszym niż cztery miesiące, świrujący na punkcie mediów wysoki jasnowłosy komisarz Brede Sperre w wypowiedzi dla „Aftenposten” oświadczył, że na terenie Oslo grasuje szajka profesjonalnych złodziei dzieł sztuki. Wprawdzie nie chodzi o przedmioty ogromnej wartości, ale Wydział Napadów, aby zdusić w

zarodku rozwój grupy przestępczej, wykorzysta w śledztwie metody w zasadzie zastrzeżone dla zabójstw i poważnych spraw narkotykowych. Wszyscy mieszkańcy Oslo mogą nam ufać, oznajmił Sperre, pozwalając, by jego chłopięcą grzywkę rozwiał wiatr. Kiedy fotograf pstrykał, komisarz wbił mocne stalowoszare spojrzenie prosto w obiektyw. Oczywiście nie powiedział całej prawdy, a mianowicie tego, że priorytet został na policji wymuszony przez ludzi mieszkających w dzielnicach willowych, przez zamożne osoby posiadające wpływy w polityce oraz silną wolę chronienia siebie i swojej własności. Musiałem przyznać, że nieźle się przestraszyłem, kiedy Diana na początku jesieni powiedziała, że ten przystojny policjant z gazet zaglądał do galerii. Chciał wiedzieć, czy nikt nie wypytywał jej klientów o posiadane dzieła sztuki, wyglądało bowiem na to, że złodzieje doskonale się orientują, co u kogo wisi. Kiedy Diana spytała, co oznacza zmarszczka zmartwienia na moim czole, uśmiechnąłem się do niej krzywo i odparłem, że nie podoba mi się rywal o wzroście blisko dwóch metrów. Ku mojemu zdumieniu Diana zaczerwieniła się, zanim się roześmiała.

Szybko wróciłem do drzwi, ostrożnie zdjąłem czepek i rękawiczki, a potem starannie wytarłem klamki z obu stron. Na ulicy panował taki sam przedpołudniowy spokój i sucha kolorowa jesień w nieustającym blasku słońca.

Idąc do samochodu, spojrzałem na zegarek. Dwunasta czternaście. Rekord. Puls miałem wysoki, ale

pod kontrolą. Za czterdzieści sześć minut Ove znów włączy alarm w centrali operacyjnej. Mniej więcej właśnie wtedy Jeremias Lander w jednej z naszych sal konferencyjnych wstanie, z ostatnimi wyrazami głębokiego żalu poda rękę prezesowi zarządu, a potem opuści nasz lokal, znajdując się tym samym poza moją kontrolą. Ale trafi do mojej stajni kandydatów. Ferdinand będzie musiał – tak jak go poinstruowałem – tłumaczyć klientowi, że szkoda takiej okazji, lecz jeśli chcą złapać tak dobrego kandydata jak Lander, to powinni rozważyć podniesienie mu pensji o dwadzieścia procent. Jedna trzecia od większej kwoty to, jak wiadomo, większa kwota.

A to był dopiero początek. Za dwie godziny i czterdzieści sześć minut rozpoczynało się polowanie na grubego zwierza. Na hrabiego. Byłem źle opłacany, i co z tego? *Fucking Stockholm, fucking Brede Sperre*. I tak byłem królem.

Zacząłem gwizdać. Liście pod butami szeleściły.

5. PRZYZNANIE SIĘ DO WINY

Mówi się, że kiedy amerykańscy śledczy Inbau, Reid i Buckley w 1962 roku wydali *Criminal Interrogation and Confessions*, stworzyli podstawy techniki przesłuchań, która od tamtej pory zdominowała zachodni świat. Prawda oczywiście jest taka, że technika ta dominowała dużo wcześniej, a dziewięciostopniowy model Inbaua, Reida i Buckleya jedynie podsumowywał stuletnie doświadczenie FBI w

zmuszaniu podejrzanych, by przyznali się do winy. Technika okazała się niesamowicie skuteczna, działała zarówno na winnych, jak i na niewinnych. Odkąd metody ustalania DNA umożliwiły powtórne zbadanie spraw, w niedługim czasie ujawniono setki niewinnie skazanych. W samych tylko Stanach Zjednoczonych mniej więcej jedna czwarta błędnych wyroków opierała się na przyznaniu się do winy wyprodukowanym dzięki dziewięciostopniowemu modelowi. To pokazuje, jak fantastyczne jest to narzędzie.

Moim celem jest nakłonienie kandydata, aby przyznał się, że blefuje, że nie nadaje się do tej pracy. Jeśli zdoła przejść przez tych dziewięć stopni, nie przyznając się, można wierzyć, że kandydat naprawdę uważa się za posiadacza odpowiednich kwalifikacji. Właśnie takich ludzi szukam. Konsekwentnie mówię „on”, ponieważ model dziewięciostopniowy jest najsensowniejszy w wypadku mężczyzn. Moje wcale niemałe doświadczenie mówi, że kobiety rzadko szukają stanowisk, do których nie posiadają kwalifikacji, a często miewają je za wysokie. A nawet wtedy najprostszą rzeczą na świecie jest doprowadzenie ich do załamania i do wyznania, że udawały. Fałszywe przyznania się do winy zdarzają się również u mężczyzn, ale co to szkodzi? Przecież i tak nie trafiają do więzienia, najwyżej tracą możliwość zajęcia kierowniczego stanowiska, na którym tak istotna jest umiejętność opierania się naciskom.

Nie mam absolutnie żadnych skrupułów przed stosowaniem techniki Inbaua, Reida i Buckleya. Ta

metoda jest jak skalpel w świecie uzdrowiaczy, ziół i mglistego bredzenia.

Stopień pierwszy to bezpośrednia konfrontacja. Wiele osób przyznaje się już wtedy. Kandydatowi jasno daje się do zrozumienia, że wie się wszystko i posiada się mocne dowody na brak jego kwalifikacji.

– Możliwe, że trochę za szybko wyraziłem zainteresowanie twoją kandydaturą, Greve – stwierdziłem, odchylając się na krześle. – Trochę posprawdzałem i okazuje się, że zdaniem udziałowców HOTE zawiodłeś jako dyrektor. Byłeś słaby, brakowało ci instynktu *killera*, i to przez ciebie spółka została kupiona. Pathfinder obawia się właśnie wykupienia, z pewnością więc rozumiesz, że trudno sobie wyobrazić ciebie jako poważnego kandydata. Więc zamiast tego... – z uśmiechem podniosłem filiżankę – ...napijmy się kawy, porozmawiajmy o innych rzeczach. Jak idzie remont?

Clas Greve siedział po drugiej stronie podrabianego stolika Noguchiego wyprostowany, patrząc mi prosto w oczy. Roześmiał się.

– Trzy i pół miliona – powiedział. – Plus opcje akcji, oczywiście.

– Słucham?

– Jeżeli zarząd Pathfindera boi się, że opcje mogą mnie skłonić do lukrowanej prezentacji firmy wobec potencjalnych kupców, to uspokój ich, mówiąc, że możemy dodać klauzulę o przepadku opcji w razie

wykupienia firmy. Nie będę miał żadnego spadochronu. Dzięki temu intencje moje i zarządu będą zbieżne: zbudowanie mocnego przedsiębiorstwa, takiego, które samo zjada, a nie jest zjadane. Wartość opcji będzie skalkulowana według modelu Blacka-Scholesa i dodana do stałej pensji, od której zostanie obliczona twoja jedna trzecia.

Uśmiechnąłem się najszerszej, jak umiałem.

– Obawiam się, Greve, że przyjmujesz niektóre rzeczy za pewnik. Tu chodzi o coś więcej. Pamiętaj, że jesteś cudzoziemcem. A norweskie firmy wolą rodaków, którzy...

– Wczoraj w galerii swojej żony dosłownie się śliniłeś na mój widok, Roger. I miałeś rację. Usłyszawszy propozycję, postawiłem się w sytuacji twojej i Pathfindera. Szybko zrozumiałem, że chociaż jestem obywatelem holenderskim, będziecie mieć problem ze znalezieniem lepszego kandydata ode mnie. Wtedy problem polegał na tym, że to ja nie byłem zainteresowany. Ale w ciągu dwunastu godzin wiele rzeczy można sobie przemyśleć. Na przykład dojść do wniosku, że na dłuższą metę remont mieszkania jest interesujący w dość ograniczonym stopniu. – Clas Greve złożył opalone dłonie przed sobą. – Po prostu pora, żebym znów wyszedł na scenę. Pathfinder nie jest może najatrakcyjniejszą spółką, jaką mógłbym znaleźć, ale ma potencjał. A osoba posiadająca odpowiednie wizje, mając po swojej stronie zarząd, może ją

rozbudować i zrobić z niej coś naprawdę interesującego. Nie jest jednak wcale pewne, że zarząd i ja będziemy mieć wspólną wizję, więc właściwie twoim zadaniem jest skontaktowanie nas jak najszybciej, żebyśmy się przekonali, czy w ogóle jest sens robić coś dalej.

– Posłuchaj, Greve...

– Nie wątpię, że twoje metody działają na wielu ludzi, Roger. Ale jeśli chodzi o mnie, możesz sobie darować to przedstawienie. I wróć do mówienia mi po imieniu. Clas. To przecież miała być jedynie miła rozmowa, prawda?

Podniósł filiżankę jak do toastu. Wykorzystałem możliwość na *time out* i też podniosłem swoją.

– Sprawiasz wrażenie lekko zestresowanego, Roger. Macie jakąś konkurencję do tego zlecenia?

Odruch krtaniowy ma u mnie tendencję do buntu, kiedy coś mnie zaskoczy. Musiałem szybko przełknąć, żeby nie parsknąć kawą na *Sara gets undressed*.

– Dobrze rozumiem, że musisz naciskać – uśmiechnął się Greve i nachylił do mnie.

Poczułem ciepło jego ciała i lekki zapach, który przywiódł mi na myśl drewno cedrowe, wyprawioną skórę i cytrusy. *Déclaration Cartiera*? Albo coś innego w tym samym przedziale cenowym.

– Absolutnie nie czuję się urażony, Roger. Jesteś profesjonalistą, tak jak i ja. Oczywiście chcesz wykonać

dobrą robotę dla klienta. Przecież mimo wszystko za to ci płacą. A im ciekawszy jest kandydat, tym porządniej należy go przetestować. Ta zagrywka o niezadowolonych udziałowcach HOTE nie była głupia. Na twoim miejscu też bym spróbował czegoś podobnego.

Nie wierzyłem własnym uszom. Najpierw rzucił mi pierwszy stopień z powrotem w twarz, stwierdzając, że zostałem odkryty, że mam sobie darować przedstawienie. A teraz realizował stopień drugi, który Inbau, Reid i Buckley określają jako „sympatyzowanie z podejrzanym poprzez zminimalizowanie wagi czynu”. A najbardziej niewiarygodne było to, że chociaż dokładnie wiedziałem, co robi Greve, miałem też świadomość, że narasta we mnie to uczucie, o którym tyle czytałem: pragnienie podejrzanego, by wyłożyć karty na stół. Miałem ochotę wybuchnąć śmiechem.

– Nie bardzo rozumiem, o co ci teraz chodzi, Clas.

Mimo że próbowałem udawać rozluźnionego, słyszałem, że mój głos nabrał metaliczności, a myśli spowolniły, jakby poruszały się w syropie. Nie zdołałem zmobilizować się do kontrataku, zanim padło następne pytanie: – Pieniądze nie są właściwie dla mnie motywacją, Roger. Ale jeśli chcesz, możemy spróbować ponaciskać na wynagrodzenie. Trzecia część od większej kwoty...

...to większa kwota.

Teraz Greve całkowicie przejął przesłuchanie i

przeszedł bezpośrednio od stopnia drugiego do siódmego: przedstawienie alternatywy. W tym wypadku: dać podejrzanemu alternatywną motywację do przyznania się. Zostało to wykonane perfekcyjnie. Oczywiście mógł wciągnąć w to moją rodzinę, powiedzieć coś o tym, jak dumni byliby moi zmarli rodzice albo moja żona, słysząc, w jak przemyślny sposób udało mi się wycisnąć pieniądze, prowizję, podstawę do otrzymania bonusu. Ale Clas Greve miał świadomość, że posunąłby się za daleko. Oczywiście, że to wiedział. Po prostu spotkałem równego sobie.

– Okej, Clas – usłyszałem swój głos. – Poddaję się. Jest właśnie tak, jak mówisz.

Greve wyprostował się. Wygrał. Teraz oddychał z ulgą i uśmiechem. Nie był to uśmiech triumfalny, a jedynie wyrażający zadowolenie, że już po wszystkim. Zapisałem na kartce: PRYZWYCZAJONY DO ZWYCIĘSTWA, chociaż już wiedziałem, że później ją wyrzucę.

A najdziwniejsze było to, że nie miałem wcale poczucia klęski, tylko ulgi. Tak, czułem się wręcz pozytywnie naładowany.

– Mimo wszystko klient potrzebuje konkretnych informacji – powiedziałem. – Masz coś przeciwko temu, żebyśmy kontynuowali?

Clas Greve zamknął oczy, złączył koniuszki palców obu dłoni i pokręcił głową.

– To świetnie – stwierdziłem. – Wobec tego chcę,

żebyś mi opowiedział o swoim życiu.

Clas Greve opowiadał, a ja notowałem. Dorastał jako najmłodszy z trójki rodzeństwa. W Rotterdamie, brutalnym portowym mieście, ale rodzina należała do uprzywilejowanych. Ojciec zajmował wysokie stanowisko w Philipsie. Norweskiego Clas i jego dwie siostry uczyli się podczas długich wakacji spędzanych u dziadków w domku letniskowym w Son. Z ojcem, który uważał, że najmłodszy syn jest rozpieszczony i brakuje mu dyscypliny, łączyły Clasa napięte stosunki.

– Miał rację – uśmiechnął się Greve. – Przywykłem do osiągnięcia dobrych wyników w szkole i na boisku, wcale się o to nie starając. Ale gdy miałem około szesnastu lat, wszystko zaczęło mnie nudzić. Wpadłem w tak zwane złe towarzystwo, o jakie w Rotterdamie nietrudno. Nie miałem żadnych przyjaciół, nowych też nie znalazłem. Miałem za to pieniądze. Zacząłem więc systematycznie testować wszystko, co zakazane: alkohol, haszysz, prostytutkę, drobne włamania, a z czasem twardsze narkotyki. Ojciec wierzył, że trenuję boks, dlatego wracam do domu z zapuchniętą twarzą, ciekącym nosem i przekrwionymi oczami. A ja coraz więcej czasu spędzałem w tych miejscach, w których ludzie mi nie przeszkadzali, a przede wszystkim zostawiali mnie w spokoju. Nie wiem, czy odpowiadało mi to moje nowe życie. Otoczenie traktowało mnie jak dziwaka, samotnego szesnastolatka, którego nikt za

bardzo nie rozumiał. To akurat mi się podobało. Z czasem styl życia zaczął się odbijać na wynikach w szkole, ale mnie to nie obchodziło. Natomiast ojciec w końcu się ocknął i może nareszcie dostałem to, o co przez cały czas mi chodziło. Jego uwagę. Przemawiał do mnie spokojnie i poważnie, a ja w odpowiedzi wrzeszczałem. Czasami widziałem, że mało brakuje, aby stracił panowanie nad sobą. Uwielbiałem to. Wysłał mnie do dziadków do Oslo. Tu skończyłem dwie ostatnie klasy szkoły średniej. A jak tobie układały się stosunki z ojcem, Roger?

Zanotowałem: SKŁONNY DO ZWIERZEŃ.
PEWNY SIEBIE. PRZEKONANY O WŁASNEJ
WARTOŚCI.

– Mało ze sobą rozmawialiśmy – odparłem. –
Byliśmy bardzo różni.

– Byliście? To znaczy, że on nie żyje?

– Oboje z matką zginęli w wypadku samochodowym.

– Czym się zajmował?

– Pracował w dyplomacji. W ambasadzie brytyjskiej
w Oslo. Tutaj poznał matkę.

Greve przechylił głowę i bacznie mi się przyglądał.

– Tęsknisz za nim?

– Nie. A twój ojciec żyje?

– Raczej nie.

– Raczej?

Clas Greve wziął głęboki oddech i złączył dłonie.

– Zniknął, gdy miałem osiemnaście lat. Nie wrócił do domu na obiad. W pracy powiedzieli, że wyszedł jak zwykle o szóstej. Matka już po kilku godzinach powiadomiła policję, która natychmiast się tym zajęła, ponieważ było to w czasach, kiedy lewicowe grupy terrorystyczne w Europie porywały bogatych przedsiębiorców. Na autostradzie nie doszło do żadnego wypadku, do żadnego szpitala nie przywieziono nikogo, kto by się nazywał Bernhard Greve. Nazwiska nie było na żadnej liście pasażerów, samochodu też nikt nigdzie nie zauważył. Ojca nigdy nie odnaleziono.

– Jak myślisz, co się stało?

– Nic nie myślę. Mógł pojechać do Niemiec, zatrzymać się w jakimś motelu pod fałszywym nazwiskiem, ale ponieważ nie potrafił sam się zastrzelić, w środku nocy pojechał dalej, znalazł czarne jezioro w głębi lasu i wjechał do niego. Albo mógł zostać porwany z parkingu przed siedzibą Philipsa przez dwóch mężczyzn z pistoletami na tylnym siedzeniu. Mógł się opierać i dostać kulę w łeb. Jeszcze tej samej nocy samochód z nim w środku mógł zostać wywieziony na złomowisko, zgnieciony w naleśnik i pocięty na kawałki odpowiedniej wielkości. A może ojciec siedzi gdzieś przy drinku z kolorową parasolką w jednej ręce i z kupioną kobietą w drugiej.

Usiłowałem dojrzeć coś w twarzy Grewego, usłyszeć coś w jego głosie. Bez skutku. Albo myślał o tym

często, albo też był twardym jak kamień diabłem. Nie wiedziałem, co wolę.

– Masz osiemnaście lat i mieszkasz w Oslo – odezwałem się. – Twój ojciec zaginął. Jesteś młodym człowiekiem z problemami. Co się robi w takiej sytuacji?

– Skończyłem szkołę średnią z najlepszymi ocenami i zgłosiłem się do Dutch Royal Marine Commandoes.

– Commandoes. Brzmi jak elitarna jednostka macho.

– Zdecydowanie.

– Taka, do której dostaje się jeden na stu.

– Mniej więcej. Wezwano mnie na testy próbne, które trwają miesiąc i polegają na systematycznym łamaniu człowieka. Później, jeśli przeżyjesz, masz cztery lata na zbudowanie się od początku.

– Tak jakbym widział to na filmie.

– Uwierz mi, Roger, tego na filmie nie widziałeś.

Popatrzyłem na niego. Uwierzyłem.

– Później dostałem się do grupy antyterrorystycznej BBE w Dorn. Byłem tam osiem lat. Zwiedziłem cały świat. Surinam, Antyle Holenderskie, Indonezję, Afganistan. Zimowe ćwiczenia w norweskim Harstad i w Voss. Podczas antynarkotykowej kampanii w Surinamie uwięziono mnie i torturowano.

– Brzmi bardzo egzotycznie. Ale nie sypnąłeś.

Clas Greve uśmiechnął się.

– Nie sypnąłem? Nawijałem jak plotkara w maglu. Kokainowi baronowie nie bawią się w przesłuchania.

Nachyliłem się.

– Nie? A co robią?

Greve uniósł brew i długo przyglądał mi się w zamyśleniu.

– Wydaje mi się, że nie masz ochoty tego wiedzieć, Roger.

Byłem trochę rozczarowany, ale kiwnąłem głową i z powrotem usiadłem prosto.

– Więc twoich kolegów złapano, tak?

– Nie. Kiedy tamci uderzyli na pozycje, które zdradziłem, moi oczywiście już się przemieścili. Przesiedziałem dwa miesiące w piwnicy, żywiąc się zgniłymi owocami i wodą pełną jaj moskitów. Kiedy koledzy z BBE wreszcie mnie stamtąd wynosili, ważyłem czterdzieści pięć kilo.

Spojrzałem na niego. Próbowałem sobie wyobrazić, jak go torturowali. Jak to przyjmował. I jak wyglądała czterdziestopięciokilogramowa wersja Clasa Greve. Oczywiście inaczej. Ale właściwie nie tak bardzo.

– Nic dziwnego, że to rzuciłeś – stwierdziłem.

– Wcale nie dlatego. Tych osiem lat w BBE to był najlepszy okres mojego życia, Roger. Przede wszystkim to rzeczywiście są te rzeczy, które oglądasz na filmach. Koleżeństwo i poczucie wspólnoty. Ale poza tym

właśnie tam nauczyłem się tego, co się stało moim rzemiosłem.

– Mianowicie?

– Szukania ludzi. W BBE istniało coś, co się nazywało TRACK. Grupa specjalistów w tropieniu ludzi we wszystkich możliwych sytuacjach i miejscach na świecie. To oni odnaleźli mnie w tej piwnicy. Zgłosiłem się więc do nich, przyjęto mnie i tam nauczyłem się wszystkiego. Od prastarych indiańskich umiejętności czytania śladów po metody przesłuchania świadków. Poznałem też wszelkie najnowocześniejsze elektroniczne narzędzia do wykrywania śladów. Właśnie w ten sposób nawiązałem kontakt z HOTE. Stworzyli nadajnik wielkości guzika od koszuli. Pojawił się pomysł, by przyczepić go jakiejś osobie i za pośrednictwem odbiornika śledzić wszystkie jej ruchy. Coś takiego, co widziało się na filmach szpiegowskich już w latach sześćdziesiątych, ale nigdy nie działało w sposób zadowalający. Również guzik HOTE okazał się nieprzydatny. Nie tolerował potu, temperatur poniżej minus dziesięciu stopni, a sygnały były w stanie przeniknąć jedynie przez najcieńsze mury. Ale szef HOTE mnie polubił. Nie miał synów...

– A ty nie miałeś ojca.

Greve posłał mi wyniosły uśmiech.

– Mów dalej – poprosiłem.

– Po ośmiu latach w wojsku zacząłem studia inżynierskie w Hadze opłacane przez HOTE. W ciągu

pierwszego roku w HOTE stworzyliśmy narzędzie tropiące, które działało w ekstremalnych warunkach. Po pięciu latach byłem już numerem dwa na linii dowodzenia. Po ośmiu zostałem szefem firmy. Dalszy ciąg już znasz.

Oparłem się na krzesło i napiłem się kawy. Dotarliśmy już do celu. Mieliśmy zwycięzcę. Nawet to zapisałem. ZATRUDNIENIE. Może dlatego wahałem się przed następnym krokiem. Może coś mi podszeptywało, że już wystarczy. Może chodziło o coś innego.

– Wyglądasz tak, jakbyś chciał jeszcze o coś spytać – stwierdził Greve.

Znalazłem drogę ucieczki.

– Nie opowiedziałeś jeszcze o swoim małżeństwie.

– Miałem mówić o rzeczach ważnych. Chcesz usłyszeć o małżeństwie?

Pokręciłem głową. Postanowiłem zakończyć interview. Ale los sam zainterweniował. Objawił się pod postacią Clasa Greve.

– Ładny obraz – odezwał się, obracając głowę, żeby spojrzeć na ścianę nad sobą. – To Opie?

– *Sara gets undressed*. Prezent od Diany. Zbierasz dzieła sztuki?

– Ledwie zacząłem.

Coś we mnie wciąż protestowało, ale było już za

późno. Już zadałem pytanie:

– Co masz najlepszego?

– Olej. Właśnie go znalazłem w tym ukrytym pomieszczeniu za kuchnią. Nikt w rodzinie nie wiedział, że babcia miała ten obraz.

– Interesujące. – Poczułem, że serce w piersi dziwnie mi podskoczyło. To pewnie przez napięcie, jakie przeżyłem wcześniej tego dnia. – A co to za obraz?

Długo mi się przyglądał. W końcu na twarz wypełził mu lekki uśmiezek. Ułożył usta do odpowiedzi, a mnie ogarnęło dziwne przeczucie. Sprawilo, że żołądek mi się ścisnął. Tak jak bokserowi w przewidywaniu ciosu automatycznie napinają się mięśnie brzucha. Ale usta Grewego zmieniły kształt. I żadne przeczucie świata nie przygotowałyby mnie na odpowiedź, którą usłyszałem: – *Polowanie na dzika kalidońskiego.*

– *Polowanie...* – W ciągu dwóch sekund w ustach zaschło mi na wiór. – T o polowanie?

– Słyszałeś o nim?

– Jeśli masz na myśli obraz...

– Petera Paula Rubensa – odparł Greve.

Skupiłem się na jednej jedynej czynności. Na zachowaniu maski. Ale przede mną mrugało jak na tablicy świetlnej w londyńskiej mgłę na Loftus Road: QPR nieoczekiwanie strzelili gola. Świat stanął na głowie. Byliśmy w drodze na Wembley.

Część II

OKRĄŻANIE

6. RUBENS

– Peter Paul Rubens.

Przez moment wszelki ruch i dźwięki w pokoju jakby zamarły. *Polowanie na dzika kalidońskiego* Petera Paula Rubensa. Rozsądnie z mojej strony byłoby oczywiście założyć, że mowa o kopii. Fantastycznie dobrym i słynnym fałszerstwie, które samo w sobie mogłoby być spokojnie warte milion albo dwa. Ale coś w głosie, w nacisku na słowa, coś w samej osobie Clasa Grevego sprawiło, że nie miałem wątpliwości. Chodziło o oryginał. O motyw krwawego pościgu z mitologii greckiej, o fantastyczne zwierzę przebijane włócznią Meleagra. Obraz, który zaginął po splądrowaniu przez Niemców w roku 1941 galerii w Antwerpii, rodzinnym mieście Rubensa. Aż do końca wojny z nadzieją wierzono, że dzieło jest ukryte w jakimś bunkrze w Berlinie. Nie jestem wielkim znawcą malarstwa, ale z oczywistych przyczyn zdarzało mi się odwiedzać w Internecie strony z listami zaginionych dzieł sztuki. Od ponad sześćdziesięciu lat na topie dziesięciu najbardziej poszukiwanych królował właśnie ten obraz, z czasem traktowany niemal jak ciekawostka, gdyż tak naprawdę uznano, że musiał spłonąć wraz z połową niemieckiej stolicy. Językiem próbowałem wydobyć trochę wilgoci z gardła.

– Po prostu z n a l a z ł e ś obraz Petera Paula Rubensa w ukrytym pokoiku za kuchnią u twojej zmarłej

babci?

Greve ze śmiechem skinął głową.

– Słyszałem, że takie rzeczy się zdarzają. Z pewnością nie jest to jego najlepsza ani najśłynniejsza praca, ale trochę na pewno jest warta.

W milczeniu kiwnąłem głową. Pięćdziesiąt milionów? Sto? Co najmniej. Inny z odnalezionych obrazów Rubensa, *Rzeź niewiniątek*, zaledwie kilka lat temu sprzedano na aukcji za pięćdziesiąt milionów. Funtów. Ponad pół miliarda koron. Musiałem się napić.

– Zresztą ten obraz wcale nie wziął się znikąd – dodał Greve. – Widzisz, moja babcia w młodości była bardzo piękna, a podczas okupacji, podobnie jak niemal cała śmietanka towarzyska Oslo, pielęgnowała bliskie kontakty z najwyższymi niemieckimi oficerami. W szczególności z pewnym interesującym się sztuką pułkownikiem, o którym często mi opowiadała, kiedy tu mieszkałem. Mówiła, że przynosił jej obrazy na przechowanie. Zamierzał je odebrać po wojnie. Niestety, w ostatnich dniach wojny ruch oporu wykonał na nim egzekucję. Ironia losu sprawiła, że wśród jego zabójców znalazł się pewnie niejeden z tych, którzy pili z nim szampana, kiedy pozycja Niemców wydawała się mocniejsza. Jednak nie bardzo chciało mi się wierzyć w te opowieści babci. Przekonałem się, że mówiła prawdę, dopiero gdy polscy robotnicy znaleźli te drzwi za półkami w służbówce za kuchnią.

– To fantastyczne – szepnąłem mimowolnie.

– Prawda? Jeszcze nie sprawdziłem, czy to oryginał, ale...

Ale to jest oryginał, pomyślałem. Niemieccy pułkownicy nie gromadzili kopii.

– Ci twoi robotnicy widzieli obraz? – spytałem.

– Owszem, ale wątpię, by zrozumieli, co to jest.

– Nie mów tak. Czy w tym mieszkaniu jest alarm?

– Rozumiem, o co ci chodzi. Owszem, jest. Wszystkie mieszkania w kamienicy są objęte wspólną umową. A poza tym żaden z robotników nie ma kluczy, ponieważ pracują wyłącznie między ósmą a szesnastą, tego wymaga regulamin domu. A kiedy pracują, na ogół jestem z nimi.

– Myślę, że powinieneś dalej ich pilnować. Wiesz, z jaką firmą ochroniarską macie umowę?

– Tri... coś tam. Prawdę mówiąc, zamierzałem porozmawiać z twoją żoną – może zna kogoś, kto by mi pomógł ustalić, czy to na pewno oryginalny Rubens. Jesteś pierwszą osobą, której mówię o obrazie. Mam nadzieję, że nikomu nie wspomnisz.

– Oczywiście. Zapytam Dianę i do ciebie oddzwonię.

– Będę ci za to wdzięczny. Na razie wiem tylko, że nawet jeśli obraz jest prawdziwy, to i tak nie zalicza się do najsłynniejszych dzieł mistrza.

Uśmiechnąłem się przelotnie.

– Szkoda. Ale wróćmy do twojego zatrudnienia. Lubię działać szybko. Jak myślisz, kiedy mógłbyś się spotkać z przedstawicielami Pathfindera?

– W każdej chwili.

– Świetnie. – Zacząłem się zastanawiać, patrząc w kalendarz. Robotnicy od ósmej do szesnastej. – Myślę, że tym z Pathfindera najlepiej by pasował przyjazd do Oslo po godzinach pracy. Z Horten jedzie się niecałą godzinę, więc gdybyśmy wybrali jakiś dzień w tym tygodniu, powiedzmy około szóstej... Pasuje? – spytałem najswobodniej, jak umiałem, ale fałszywy ton aż zaświdrował w uszach.

– Oczywiście. – Greve jakby niczego nie zauważył. – Byle nie jutro – dodał, wstając.

– Jutro pewnie i tak by im nie odpowiadało. Za szybko. Zadzwoń do ciebie pod ten numer, który mi dałeś.

Odprowadziłem go do recepcji.

– Możesz zamówić taksówkę, Da?

Usiłowałem wyczytać z twarzy Ody albo Idy, czy akceptuje ten skrót, ale przerwał mi Greve: – Dziękuję, mam własny samochód. Pozdrów żonę. No i czekam na telefon od ciebie.

Podał mi rękę, ująłem ją z uśmiechem.

– Spróbuję zadzwonić jeszcze dziś wieczorem, bo z tego, co zrozumiałem, jutro jesteś zajęty, prawda?

– Tak.

Nie bardzo wiem, dlaczego nie zatrzymałem się w tym miejscu. Rytm konwersacji, wrażenie zakończenia rozmowy przemawiało za tym, żebym wystąpił z zamykającym: „No to się zdzwonimy”. Może to było jakieś przeczucie, a może już wtedy zrodził się we mnie strach, który nakazał mi wyjątkową ostrożność.

– No cóż. Remont pochłania cholernie dużo czasu – rzuciłem.

– Nie, nie o to chodzi. Lecę jutro porannym samolotem do Rotterdamu. Muszę zabrać psa, który przechodzi kwarantannę. Wracam dopiero wieczorem.

– Aha. – Puściłem jego rękę, żeby nie poczuł, jak sztywnieję. – A jakiego masz psa?

– To niether terrier. Tropiący. Ale agresywny jak pies bojowy. Dobrze mieć w domu takiego zwierzaka, kiedy ma się taki obraz, nie sądzisz?

– Jasne – odparłem. – Jasne.

Pies. Nienawidzę psów.

– Aha – usłyszałem głos Ovego Kjikeruda na drugim końcu linii. – Clas Greve, Oscars gate dwadzieścia pięć. Mam klucz. Dostawa w Sushi & Coffee za godzinę. Alarm zostanie wyłączony jutro o siedemnastej zero zero. Znajdę jakąś wymówkę, żeby pracować po południu. A dlaczego mam tak mało czasu?

– Ponieważ od pojutra w mieszkaniu będzie pies.

– No dobrze, ale dlaczego nie jak zwykle w godzinach pracy?

Młody człowiek w garniturze Cornelianiego i nerdach szedł chodnikiem w stronę budki telefonicznej. Odwróciłem się do niego tyłem, żebym nie musiał się z nim witać, i jeszcze mocniej przycisnąłem usta do słuchawki.

– Chcę mieć stuprocentową pewność, że tam nie będzie robotników. A ty natychmiast dzwoń do Göteborga i każ im zdobyć przyzwoitą kopię Rubensa. Jest ich sporo, ale wytłumacz, że musimy mieć naprawdę dobrą. I powiedz, że musi być gotowa, kiedy dzisiaj w nocy zjawisz się z litografią Muncha. Wiem, że to mało czasu, ale bardzo ważne, żebym miał ją na rano. Rozumiesz?

– Tak, tak.

– Możesz też powiedzieć Göteborgowi, że jutro w nocy przyjedziesz z oryginałem. Pamiętasz tytuł obrazu?

– Pewnie. *Polowanie na dzika katalońskiego*. Rubens.

– W każdym razie blisko. Masz stuprocentową pewność, że możemy ufać temu paserowi?

– O Jezu, Roger! Setny raz ci powtarzam, że tak.

– Po prostu pytam.

– No to posłuchaj mnie raz a dobrze. Facet wie, że

jeśli kogoś oszuka jeden jedyny raz, to dożywotnio wypada z gry. Nikt nie karze złodziejstwa surowiej niż złodzieje.

– No dobra.

– Tylko jedna sprawa. Ten drugi wyjazd do Göteborga muszę odłożyć o dobrę.

To nie był problem, robiliśmy tak już wcześniej. Rubens będzie bezpieczny pod podsufitką. Ale i tak poczułem, że włos mi się jeży.

– Dlaczego?

– Mam jutro gościa. Kobietę.

– No to przełoż tę wizytę.

– *Sorry*, ale się nie da.

– Nie da się?

– To Natasza.

Nie wierzyłem własnym uszom.

– Ta rosyjska dziwka?

– Nie mów tak o niej!

– A to nieprawda?

– Ja nie nazywam twojej żony *silicon babe*, prawda?

– Porównujesz moją żonę do prostytutki?

– Powiedziałem, że n i e nazywam twojej żony *silicon babe*.

– To masz szczęście. Diana jest w stu procentach naturalna.

– Łzesz.

– Ani trochę.

– Okej. Wobec tego szczerze podziwiam. Ale tak czy owak, wyjadę nie wcześniej niż jutro w nocy. Zapiisałem się na listę oczekujących do Nataszy już trzy tygodnie temu. Zamierzam sfilmować seans. Nagrać na wideo.

– Sfilmować? Żartujesz?

– Muszę mieć co oglądać do następnego razu. Bóg jeden wie, kiedy to będzie.

Roześmiałem się głośno.

– Oszalałeś.

– Dlaczego tak mówisz?

– Kochasz się w dziwce, Ove! Żaden prawdziwy mężczyzna nie może kochać dziwki.

– Co ty o tym wiesz?

Jęknąłem.

– A co zamierzasz powiedzieć swojej ukochanej, kiedy wyciągniesz jakąś cholerną kamerę?

– Przecież ona nie będzie nic o tym wiedziała.

– Ukryjesz kamerę w szafie?

– W szafie? Mój dom ma pełen monitoring, człowiku!

Nie dziwiło mnie już nic, co Ove opowiadał o sobie. Powiedział mi, że kiedy ma wolne, głównie ogląda

telewizję w swoim małym domku pod lasem na samym końcu Tonsenhagen. I że lubi strzelać do ekranu, kiedy coś naprawdę mu się nie podoba. Przechwalał się swoimi austriackimi pistoletami Glock, „dziewczynkami”, jak je nazywał, bo nie miały kurka, który by się podnosił przed ejakulacją. Przy strzelaniu do telewizora Ove używał ślepych nabojów, ale raz zapomniał, że załadował magazynek ostrą amunicją, i roztrzaskał na kawałki nowusienką plazmę Pioneer za trzydzieści kafli. Kiedy nie strzelał do telewizora, celował do budki dla sów, którą sam zawiesił na pniu drzewa za domem. A pewnego wieczoru, kiedy siedział przed telewizorem, usłyszał nagle jakiś hałas między drzewami. Otworzył okno i wypalił z remingtona. Kula trafiła dokładnie między oczy, a Ove musiał opróżnić zamrażarkę ze stosów mrożonej pizzy i przez następne pół roku żywił się pieczenią z łosia, mielonymi z łosia, gulaszem z łosia, klopsikami z łosia i kotletami z łosia. W końcu miał dość, znów opróżnił zamrażarkę i na nowo załadował ją grandiosą. Wszystkie te historie uznałem za wiarygodne. Ale ta...

- Pełen monitoring?
- Praca w Tripolisie też daje pewne bonusy, no nie?
- I możesz po prostu włączyć te kamery tak, żeby ona tego nie zauważyła?
- No. Pójdę po nią, wejdziemy do mieszkania. Jeśli nie wyłączę alarmu hasłem, po piętnastu sekundach w Tripolisie ruszają kamery.

– A u ciebie zaczyna wyc alarm?

– Nie. To alarm bezgłośny.

Oczywiście znałem ten koncept. Alarm odzywał się tylko w siedzibie Tripolis. Chodziło o to, żeby nie wystraszyć złodziei, powiadomić policję i stawić się na miejscu w ciągu piętnastu minut. Celem było ujęcie sprawców na gorącym uczynku, zanim znikną ze skradzionym towarem. Nie trzeba wtedy mieć nadziei, że dadzą się zidentyfikować na nagraniu.

– Zapowiedziałem chłopakom na dyżurze, żeby nie wyjeżdżali na wezwanie, no nie? Mogą się wygodnie rozsiąść i pooglądać sobie na monitorach.

– Chcesz powiedzieć, że twoi koledzy będą patrzeć na ciebie i na tę rus... Nataszę?

– Trzeba się dzielić radością, no nie? Ale zadbałem o to, żeby kamera nie obejmowała łóżka, bo to obszar prywatny. Każę się jej rozebrać przy nogach łóżka, w fotelu przy telewizorze. Ona zawsze sama zaczyna, właśnie to jest takie świetne. Powiem, że ma tam siedzieć i się ze sobą zabawiać. Kamera jest ustawiona pod idealnym kątem. Trochę też popracowałem nad ustawieniem świateł. Sam mogę walić konia poza kamerą, no nie?

Przekroczył granicę informacji, jakie chciałem uzyskać. Chrząknąłem.

– No to dziś w nocy przyjdiesz po Muncha. A po Rubensa pojutrze, w porządku?

– Jasne. Wszystko z tobą okej, Roger? Jesteś jakiś zdenerwowany.

– Wszystko okej. – Grzbietem dłoni wytarłem czoło.

– Wszystko jak najbardziej okej.

Odłożyłem słuchawkę i wyszedłem z budki. Zaczęło się chmurzyć, ale ledwie to zauważyłem. Bo przecież wszystko było okej. Będę multimilionerem. Wykupię się od wszystkiego. Świat i wszystko na nim, włącznie z Dianą, będzie moje. W oddali rozległ się grzmot, zabrzmiał jak głęboki śmiech. Spadły pierwsze krople deszczu, a moje buty zastukały wesoło na bruku, kiedy puściłem się biegiem.

7. CIAŻA

Była szósta. Deszcz przestał padać, a na zachodzie z nieba do Oslofjorden spływało złoto. Wstawiłem volvo do garażu, wyłączyłem silnik i czekałem. Kiedy drzwi się za mną zasunęły, zapaliłem światło w kabinie, otworzyłem czarną teczkę i wyciągnąłem dzisiejszą zdobycz. *Broszkę. Evę Mudocci.*

Przyjrzałem się jej twarzy. Munch musiał być w niej zakochany, inaczej nie byłby w stanie tak jej przedstawić. Narysował ją jak Lotte, uchwycił milczący ból, tłumione szaleństwo. Zakląłem cicho, nabrałem w płuca powietrza i z sykiem wypuściłem je przez zęby. Potem odchyliłem tapicerkę nad głową. To był mój własny wynalazek, obliczony na ukrywanie obrazów, które miały być przewożone przez granicę. Po prostu poluzowałem podsufitkę w miejscu, gdzie była

przymocowana do górnej części przedniej szyby. Potem od środka wkleiłem dwa kawałki taśmy z rzepem i po lekkim przycięciu wokół światła w kabinie miałem idealną kryjówkę. Problem z przewozem dużych obrazów, szczególnie starych suchych olei, polega na tym, że powinny być transportowane na płasko, a nie zwinięte w rulon, bo wtedy istnieje ryzyko, że farba popęka i obraz się zniszczy. Transport wymaga więc miejsca, a ładunek rzuca się w oczy. Przygotowując na suficie płaszczyznę o wielkości około czterech metrów kwadratowych, zrobiłem miejsce nawet na duże obrazy, ukryte przed wzrokiem zbyt gorliwych celników z psami, które na szczęście nie wywąchiwały farb i lakierów.

Wepchnąłem *Evę Mudocci* do środka, umocowałem tapicerkę na suficie rzepami, wysiadłem z samochodu i poszedłem do domu.

Na lodówce wisiała kartka od Diany z informacją, że wyszła razem ze swoją przyjaciółką Cathrine i w domu będzie około północy. Do tego czasu pozostawało blisko sześć godzin. Otworzyłem piwo San Miguel, usiadłem w fotelu przy oknie i zacząłem na nią czekać. Potem przyniosłem sobie jeszcze jedną butelkę i pomyślałem o czymś, co zapamiętałem z książki Johana Falkbergeta, którą Diana mi czytała, kiedy miałem świnkę. „Wszyscy pijemy w zależności od pragnienia, jakie odczuwamy”.

Leżałem wtedy w łóżku z gorączką i uszami

obolałymi aż po policzki, wyglądałem jak ryba rozdymka. Lekarz patrzył na termometr, mówiąc, że „to nic groźnego”, a ja rzeczywiście nie czułem, żeby coś mi groziło. Dopiero na wyraźne żądanie Diany doktor niechętnie wymienił paskudne słowa, takie jak *meningitis* i *orchitis*, które jeszcze bardziej niechętnie przetłumaczył na zapalenie opon mózgowych i zapalenie jąder. Zaraz jednak dodał, że „w tym przypadku to bardzo mało prawdopodobne”.

Diana robiła mi zimne okłady na czoło i czytała na głos. Wybrała *Czwartą straż nocną* Johana Falkbergeta, a ponieważ nie miałem żadnego innego zajęcia dla mojego zagrożonego zapaleniem mózgu, uważnie się wsłuchiwałem. Szczególną uwagę zwróciłem na dwie rzeczy. Po pierwsze, że pastor Sigismund tłumaczy pijaka, mówiąc: „Wszyscy pijemy w zależności od pragnienia, jakie odczuwamy”. Może dlatego, że w takim poglądzie na człowieka znajdowałem pociechę dla siebie: jeśli taka jest twoja natura, to w porządku.

Drugą rzeczą był cytat z komentarza Pontoppidana do katechizmu, w którym stwierdza, że człowiek może zabić duszę drugiego człowieka, zarazić ją, pociągnąć za sobą w grzech, uniemożliwiając jej tym samym zbawienie. W tym znalazłem mniejszą pociechę. Ale myśl, że miałbym zbrukać anielskie skrzydła, sprawiła, że nigdy nie wtajemniczyłem Diany w moje działania dla zdobycia dodatkowych dochodów.

Pielęgnowała mnie przez sześć dni. Sprawiało mi to

przyjemność, a zarazem niepokoiło. Wiedziałem, że ja bym dla niej tego nie zrobił, a już na pewno, gdyby chodziło o zwyczajną świnkę. W końcu ze szczerą ciekawością spytałem ją, dlaczego tak się poświęca. Odpowiedziała mi bardzo prosto: – Ponieważ cię kocham.

– Ale to tylko świnka.

– Może nigdy więcej nie będę już miała okazji ci tego okazać. Przecież jesteś taki zdrowy.

Zabrzmiało to jak wyrzut.

Dzień później rzeczywiście wstałem z łóżka, poszedłem na rozmowę kwalifikacyjną do firmy rekrutacyjnej, która nazywała się Alfa, i oświadczyłem im, że będą idiotami, jeśli mnie nie zatrudnią. Wiem, dlaczego mogłem im to powiedzieć z taką niezłomną pewnością siebie: nic nie pozwala mężczyźnie urosnąć ponad jego prawdziwy wzrost bardziej niż miłosne wyznanie kobiety. I bez względu na to, jak marna z niej kłamczyni, zawsze jakaś jego częśćka będzie jej za to wdzięczna i będzie ją przynajmniej trochę kochać.

Przyniosłem sobie jedną z książek Diany o sztuce i przeczytałem trochę o Rubensie, także ten króciutki fragment o *Polowaniu na dzika kalidońskiego*. Uważnie obejrzałem obraz. Potem odłożyłem książkę i usiłowałem przemyśleć jutrzejszą operację na Oscars gate, etap po etapie.

Mieszkanie w kamienicy oznaczało, rzecz jasna, ryzyko natknięcia się na sąsiadów na klatce. Na

potencjalnych świadków, którzy mogli przyjrzeć mi się z bliska. Ale tylko przez kilka sekund. Na razie jeszcze niczego by nie podejrzewali, więc nie zapamiętałiby twarzy, gdybym był w kombinezonie i otwierał sobie kluczem drzwi do mieszkania, w którym trwa remont. Czego więc się bałem?

Wiedziałem czego.

Podczas interview Greve czytał we mnie jak w otwartej księdze. Ale ile stron przeczytał? Czy to możliwe, że zaczął coś podejrzewać? Bzdura. Rozpoznał technikę przesłuchania, której sam nauczył się w wojsku. To wszystko.

Poszedłem po komórkę i zadzwoniłem do Grewego, by powiedzieć mu, że Diana wyszła, więc poznanie nazwiska ewentualnego eksperta, który mógłby potwierdzić oryginalność obrazu, musiało poczekać do jego powrotu z Rotterdamu. Nagrany na sekretarkę głos Grewego poprosił: *Please leave a message*, więc to zrobiłem. Butelka po piwie była pusta. Zacząłem się zastanawiać nad whisky, ale zrezygnowałem. Nie chciałem obudzić się rano z bolącą głową. Dobrze, wobec tego ostatnie piwo.

Byłem w połowie butelki, kiedy nagle uświadomiłem sobie, co robię. Odsunąłem komórkę od ucha i czym prędzej się rozłączyłem. Przed chwilą wcisnąłem numer Lotte, w książce telefonicznej dyskretnie zapisany jako „a”. To „a” wprawiało mnie w drżenie tych kilka razy, kiedy pojawiało się na wyświetlaczu, oznajmiając

połączenie przychodzące. Z zasady to ja dzwoniłem. Otworzyłem spis numerów w aparacie, odnalazłem „a” i wcisnąłem „Usuń”.

„Naprawdę chcesz usunąć?”, odparował telefon.

Zapatrzyłem się w opcje. W tchórzliwe, zdradzieckie „Nie” i w kłamliwe „Tak”.

Wcisnąłem „Tak”. Wiedziałem, że jej numer i tak wyrzył mi się w mózgu w sposób niepodlegający kasowaniu. Co to oznaczało, nie wiedziałem ani nie chciałem wiedzieć. Liczyłem jednak, że zblaknie. Zblaknie i zniknie. Powinien.

Diana wróciła do domu pięć minut przed północą.

– Co robiłeś, kochanie? – spytała, podchodząc do fotela. Przysiadła na podłokietniku i mocno mnie uściskała.

– Niewiele. Przeprowadziłem interview z Clasem Greve.

– Jak poszło?

– Nadaje się idealnie, oprócz tego, że jest cudzoziemcem. W Pathfinderze jasno oznajmili, że chcą szefa Norwega. Nawet ogłosili publicznie, że kładą nacisk na norweskość w każdym ogniwie. Trzeba więc będzie ich przekonać.

– Ale przecież ty jesteś w tym najlepszy na świecie!

– Pocałowała mnie w czoło. – Słyszałam nawet, że

ludzie mówią o twoim rekordzie.

– O jakim rekordzie?

– O człowieku, którego poręczenie zawsze gwarantuje stanowisko.

– Aha, o to chodzi – udałem zaskoczonego.

– Na pewno i tym razem sobie poradzisz.

– Jak się miewa Cathrine?

Diana przeczesła palcami moje gęste włosy.

– Fantastycznie. Jak zwykle. Albo jeszcze bardziej fantastycznie niż zwykle.

– Któregoś dnia umrze ze szczęścia.

Diana przyłożyła twarz do moich włosów i wyszeptała w nie:

– Właśnie się dowiedziała, że jest w ciąży.

– No to przez jakiś czas nie będzie tak fantastycznie.

– Nie wygłupiaj się – mruknęła. – Piłeś?

– Odrobinę. Napijemy się za zdrowie Cathrine?

– Ja idę spać. Jestem śmiertelnie zmęczona od gadania o całym tym szczęściu. Przyjdiesz?

Leżałem w sypialni przytulony do jej pleców, a kiedy ją objąłem, na piersi i brzuchu poczułem jej kręgosłup i nagle uświadomiłem sobie coś, o czym myślałem chyba od czasu rozmowy z Grevem. Że teraz mogę już zrobić jej dziecko. Że nareszcie dotarłem na ląd, na pewny grunt. Teraz dziecko z pewnością nie zabierze mi

miejsca, bo z Rubensem wreszcie będę tym lwem, tym władcą, o którym mówiła Diana. Niezastąpionym żywicielem. Nie chodziło o to, by Diana wcześniej w to wątpiła. To ja wątpiłem. Miałem wątpliwości, czy zdołam być opiekunem stada, na jakiego zasługiwała taka kobieta jak ona. I bałem się, że dziecko mogłoby ją uleczyć z tej błogosławionej ślepoty. Ale teraz równie dobrze będzie mogła zobaczyć mnie w całości. A już na pewno większość.

W ostrym chłodnym powietrzu wpadającym przez otwarte okno części ciała, które nie były pod kołdrą, pokryły się gęsią skórą i poczułem nadchodzącą erekcję.

Ale Diana już oddychała równo i głęboko.

Puściłem ją. Obróciła się na plecy, bezpieczna i bezbronna jak niemowlę.

Ostrożnie wstałem z łóżka.

Ołtarz *mizuko* wydawał się nietknięty od wczoraj, a zwykle nie było dnia, żeby Diana nie dokonała takiej czy innej widocznej zmiany, nie przyniosła świeżej wody, nie postawiła kolejnej świecy albo nowych kwiatów.

Poszedłem na górę do salonu i nalałem sobie whisky, trzydziestoletniego macallana, prezent od zadowolonego klienta. Weszli na giełdę. Pod oknem parkiet był chłodny. Spojrzałem na garaż skąpany w blasku księżycy. Ove na pewno jest już w drodze. Otworzy sobie garaż i wsiądzie do samochodu, do którego miał

zapasowe kluczyki. Wyjmie *Eve Mudocci*, włoży ją do teczki i pójdzie do swojego wozu, zaparkowanego w bezpiecznej odległości, dostatecznie daleko, by nikt go nie powiązał z naszym domem. Pojedzie do pasera w Göteborgu, dostarczy obraz i wróci o świcie. Ale *Eva Mudocci* przestała już być tak interesująca. Stała się irytującą chałturą, z którą po prostu należało się uporać. Trzeba liczyć, że Ove przywiezie z Göteborga niezłą kopię *Polowania na dzika*, którą umieści pod podsufitką volvo, jeszcze zanim wstaniemy albo zanim zrobią to sąsiedzi.

Wcześniej Ove jeździł do Göteborga moim samochodem. Nigdy nie rozmawiałem z paserem osobiście i miałem nadzieję, że oprócz Ovego ten człowiek nie wie o nikim innym zaangażowanym w tę działalność. Chciałem, żeby właśnie tak było. Jak najmniej punktów styecznych. Jak najmniej osób, które w jakimś momencie mogłyby wskazać palcem na mnie. Przestępców prędzej czy później łapano, chodziło więc o to, by dzielił mnie od nich jak największy dystans. Dlatego starałem się, żeby nigdy nie widziano mnie publicznie rozmawiającego z Ovem Kjikerudem, i dlatego korzystałem z budki telefonicznej, kiedy musiałem się z nim skontaktować. Nie chciałem, żeby któryś z moich numerów telefonów znalazł się w spisie połączeń Ovego. Dzielenie pieniędzy i bardziej strategiczne planowanie odbywało się w położonej na odludziu chacie w okolicach Elverum. Ove wynajmował ją od wieśniaka pustelnika, a my zawsze

przyjeżdżaliśmy tam oddzielnie, każdy swoim samochodem.

Właśnie po drodze do tej chaty uświadomiłem sobie, jak wiele ryzykuję, pozwalając, by Ove wykorzystywał mój samochód na jazdy do Göteborga. Minałem właśnie stanowisko kontroli prędkości, na którym zauważyłem jego starego mercedesa, czarnego i starannie wystylizowanego 280SE, zaparkowanego obok radiowozu policyjnego. Zdałem sobie wówczas sprawę, że Ove Kjikerud jest jednym z notorycznych piratów drogowych, niebędących w stanie dostosować się do ograniczeń prędkości. Wbiłem mu do głowy, że kiedy jedzie moim volvo, zawsze ma usuwać z przedniej szyby nalepkę do automatycznego pobierania opłat, bo przejazd przez bramki z takim identyfikatorem jest przecież rejestrowany, a ja nie miałem ochoty tłumaczyć policji, dlaczego jeździłem w jedną i drugą stronę drogą E6 nocą kilka razy w roku. Ale kiedy minąłem mercedesa Ovego podczas tamtej kontroli prędkości w drodze do Elverum, zrozumiałem, że największe ryzyko polega na czymś innym, a mianowicie na tym, że policja zatrzyma swojego starego znajomego, pirata drogowego Ovego Kjikeruda, w drodze do Göteborga i zacznie się zastanawiać, co on, na miłość boską, robi w samochodzie szanowanego, no właśnie, łowcy głów Rogera Browna. I że od tej pory czekają mnie tylko złe wiadomości. Bo konfrontacja Kjikeruda z Inbaudem, Reidem i Buckleyem mogła mieć tylko jeden rezultat.

Wydało mi się, że w ciemności przy garażu

dostrzegam jakiś ruch. Jutro D-day. Dzień Marzeń, Dzień Sądu, Dzień Przejścia do Cywila. Bo gdyby wszystko poszło według planu, byłby to ostatni skok. Dotarłbym do celu. Wolny. Byłbym tym, któremu się powiodło.

W dole miasto migotało obietnicami.

Lotte odebrała po piątym sygnale.

– Roger?

Delikatnie, ostrożnie. Jakby to ona mnie obudziła, a nie odwrotnie.

Odłożyłem słuchawkę.

I jednym łykiem opróżniłem szklanekę z whisky.

8. G11SUS4

Obudziłem się z potwornym bólem głowy.

Uniosłem się na łokciach i zobaczyłem zgrabny, okryty majteczkami, wypięty tyłek Diany. Przeszukiwała torebkę i kieszenie ubrania, które nosiła wczoraj.

– Szukasz czegoś? – spytałem.

– Dzień dobry, kochanie – odpowiedziała, ale słyszałem, że wcale nie jest dobry. I w pełni się z nią zgadzałem.

Z trudem podniosłem się z łóżka i poszedłem do łazienki. Przejrzałem się w lustrze i wiedziałem, że reszta dnia powinna być lepsza. Że będzie lepsza. Musiała. Odkręciłem prysznic i wszedłem pod lodowate strugi wody. Słyszałem, że Diana cicho klnie w sypialni.

– *And it's gonna be...* – zawyłem w czystym sprzeczynie – *PERFECT!*

– Wychodzę! – zawołała Diana. – Kocham cię.

– A ja ciebie! – odkrzyknąłem, ale nie wiem, czy zdążyła mnie usłyszeć, bo w tym momencie trzasnęły drzwi.

O dziesiątej siedziałem w biurze i próbowałem się skoncentrować. Miałem wrażenie, że moja głowa zmieniła się w przezroczystą pulsującą kijankę. Zauważyłem, że Ferdinand od kilku minut porusza

ustami, formułując, jak przypuszczałem, interesujące w różnym stopniu słowa. I nagle, chociaż usta wciąż były otwarte, przestał nimi poruszać i zamiast tego patrzył na mnie z miną, którą odczytałem jako wyczekującą.

– Powtórz pytanie – powiedziałem.

– Mówię, że zgadzam się wziąć drugie interview z Grevem i klientem, ale musisz mi najpierw opowiedzieć trochę o Pathfinderze. Przecież ja nic o nich nie wiem. Wyjdę na blondynkę!

Głos przeszedł w nieunikniony falset.

Westchnąłem.

– Produkują malusieńkie, prawie niewidoczne nadajniki, które można umocować na jakiejś osobie, a potem odnaleźć ją za pomocą odbiornika podłączonego do najbardziej zaawansowanego na świecie systemu GPS. Priorytetowa obsługa przez satelity, których są współwłaścicielami, i tak dalej. Technologia epokowa, zatem łakomy kąsek do wykupienia. Przeczytaj raport roczny. Coś jeszcze?

– Już go czytałem. Wszystko, co dotyczy produktów, jest ściśle tajne. A co z tym, że Clas Greve jest cudzoziemcem? Jak mam skłonić tego klienta nacjonalistę, żeby to przełknął?

– Tym nie zwracaj sobie głowy, wezmę to na siebie. Nie przejmuj się tak, Ferdy.

– Ferdy?

– Owszem. Trochę się nad tym zastanawiałem.

Ferdinand jest za długie. W porządku?

Patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Ferdy?

– Oczywiście nie przy klientach – uśmiechnąłem się szeroko i poczułem, że ból głowy już mi trochę przechodzi. – Skończyliśmy, Ferdy?

Skończyliśmy.

Do lunchu łykałem paralgin i patrzyłem na zegarek.

Podczas przerwy na lunch poszedłem do jubilera vis-à-vis Sushi & Coffee.

– Te – oświadczyłem, wskazując na brylantowe kolczyki na wystawie.

Miałem pokrycie na karcie. Ledwie. Ale ciemnoczerwony zamsz pudełka był delikatny jak skóra szczeniaka.

Po lunchu dalej łykałem paralgin i patrzyłem na zegarek.

Dokładnie o piątej zaparkowałem na chodniku przy Inkognitogata. Ze znalezieniem miejsca nie miałem kłopotów; i ci, którzy tu pracowali, i ci, którzy tu mieszkali, najwyraźniej byli w drodze do domu. Akurat spadł deszcz. Podeszwy butów cmokały po asfalcie. Teczka wydawała się lekka. Kopia była średniej jakości i oczywiście mocno przeplacona, kosztowała aż piętnaście tysięcy koron. Ale to akurat miało w tej

chwili małe znaczenie.

Jeśli w Oslo istnieje modna ulica, to jest nią Oscars gate. Kamienice to mieszanina rozmaitych stylów architektonicznych, głównie neorenesans. Fasady z neogotyckimi wzorami, frontowe ogródki. To tutaj w końcu dziewiętnastego wieku mieszkali dyrektorzy i wyżsi urzędnicy państwowi.

Z naprzeciwka nadszedł w moją stronę mężczyzna z pudłem na smyczy. Tu, w centrum, nie było psów myśliwskich. Mężczyzna patrzył przeze mnie. Centrum.

Podszedłem pod numer trzydzieści pięć. Według informacji w Internecie była to kamienica „w stylu średniowiecza w ujęciu hanowerskim”. Bardziej zainteresowała mnie informacja, że ambasada Hiszpanii już się tu nie mieści, mogłem więc liczyć na brak irytujących kamer. Kamienica powitała mnie w milczeniu ciemnymi oknami, przed nią nie było nikogo. Klucz, który dostałem od Ovego, miał pasować zarówno do bramy, jak i do drzwi do mieszkania. Z bramą przynajmniej się zgadzało. Szybko wszedłem po schodach. Zdecydowanie. Nie ciężko i nie lekko. Jak osoba, która wie, dokąd idzie, i nie ma nic do ukrycia. Klucz trzymałem w pogotowiu, żebym nie musiał przeszukiwać kieszeni przed drzwiami do mieszkania. Takie rzeczy słychać w starej akustycznej kamienicy.

Trzecie piętro. Żadnego nazwiska na drzwiach, ale wiedziałem, że to tutaj. Dwuskrzydłowe drzwi z mętnym szkłem. Nie byłem tak spokojny, jak sobie

wyobrażałem, bo serce tłukło mi się o żebra i nie trafiłem w dziurkę od klucza. Ove powiedział mi kiedyś, że pierwszą rzeczą, którą się traci, gdy człowiek czuje strach, jest motoryka mała. Przeczytał to w jakiejś książce o walce wręcz. Podobna znika zdolność załadowania pistoletu, kiedy człowiek staje naprzeciwko innej broni. Jednak za drugą próbą klucz trafił w dziurkę. I obrócił się bezszelestnie, gładko i idealnie. Nacisnąłem kławkę i pociągnąłem drzwi do siebie. Pchnąłem. Ale nie chciały się otworzyć. Jeszcze raz pociągnąłem. Jasna cholera! Czy Greve zamontował dodatkowy zamek? Czyżby wszystkie moje marzenia i plany legły w gruzach z powodu jakiegoś pieprzonego dodatkowego zamka? Z całej siły pociągnąłem za drzwi, bliski paniki. Oderwały się od futryny z trzaskiem, szkło zadrgało w oprawie, a jego dzwonienie echem rozniosło się po klatce. Wsunąłem się do środka, zamknąłem za sobą i wypuściłem powietrze. Myśl, która przysła mi do głowy wczoraj wieczorem, nagle wydała mi się idiotyczna. Czy nie będzie mi brakowało tego napięcia, do którego tak się przyzwyczailem?

Przy wdechu nos, usta i płuca wypełniły się rozpuszczalnikiem, farbami lateksowymi, lakierem i klejem.

Dałem krok nad wiadrami z farbą i rolkami tapety w przedpokoju, ruszyłem w głąb mieszkania. Szary papier na dębowym mozaikowym parkiecie, boazeria do wysokości piersi, pył, stare okna najwyraźniej do wymiany. Ciągące się w amfiladzie pokoje wielkości

niedużych sal balowych.

Na wprost ukończoną kuchnię odnalazłem za środkowym salonem. Surowe linie, metal i lite drewno. Bez wątpienia drogie. Obstawiałem Poggenpohl. Wszedłem do słuźbówki i zobaczyłem drzwi za półkami. Dopuszczałem myśl, że mogą być zamknięte na klucz, ale wiedziałem, że w mieszkaniu znajdę narzędzia, za pomocą których je wyważę.

Nie było to konieczne. Zawiasy jęknęły cicho, ostrzegawczo, kiedy drzwi się otworzyły.

Wszedłem do ciemnego pustego podłużnego pokoju, spod kombinezonu wyjąłem latarkę i powiodłem bladożółtym snopem światła po ścianach. Wisiały tu cztery obrazy. Trzy z nich były mi nieznane. Czwarty rozpoznałem.

Stałem naprzeciwko niego i poczułem tę samą suchość w ustach, co wtedy, gdy Greve podał mi tytuł obrazu.

Polowanie na dzika kalidońskiego.

Spod liczących blisko czterysta lat warstw farby zdawało się bić światło. Wraz z cieniami nadawało scenie z polowania zarysu i kształtu. Tego, co – jak wyjaśniła mi Diana – nazywa się *clair obscur*. Obraz oddziaływał niemal fizycznie. Posiadał magnetyzm wciągający widza do środka. Przypominało to spotkanie z charyzmatyczną osobą, którą wcześniej znało się jedynie z fotografii i opisów. Nie byłem przygotowany na takie piękno. Rozpoznałem kolory z młodszych i

słynniejszych obrazów Rubensa przedstawiających sceny z polowania, które widziałem w albumach Diany – *Polowanie na lwy*, *Polowanie na hipopotamy i krokodyle*, *Polowanie na tygrysy*. W książce, którą czytałem wczoraj, napisano, że to pierwsza scena z polowania namalowana przez Rubensa, punkt wyjścia do jego późniejszych arcydzieł. Dzik kalidoński został zesłany przez boginię Artemidę, aby pożerał ludzi i niszczył Kalidon w zemście za to, że jako bogini została zapomniana przez ludzi. Olbrzymie zwierzę zabił najlepszy myśliwy Kalidonu, człowiek, Meleager. Wpatrywałem się w nagie muskularne ciało Meleagra, w pełną nienawiści twarz, która kogoś mi przypominała, we włócznię wbijającą się w bok bestii. Jakież to dramatyczne, a jednak pełne nabożeństwa. Nagie, a zarazem tajemnicze. Takie proste. I takie cenne.

Zdjąłem obraz ze ściany, zaniósłem go do kuchni i położyłem na blacie. Stara rama, tak jak się tego spodziewałem, miała na odwrocie drugą ramę, na którą naciągnięte było płótno. Wydobyłem jedyne dwa narzędzia, które ze sobą przyniosłem i których potrzebowałem. Szydło i obcęgi. Obciąłem większość gwoździków, wyciągnąłem te, które zamierzałem wykorzystać po raz drugi, i zdjąłem luźną ramę, a szydła użyłem do wyjęcia sztyftów. Szło mi mniej sprawnie niż zazwyczaj. Może Ove miał jednak rację z tą małą motoryką. Ale dwadzieścia minut później kopia była już w ramie, a oryginał w teczce.

Odwiesiłem obraz na miejsce. Zamknąłem drzwi,

sprawdziłem, czy nie pozostały żadne ślady, i wyszedłem z kuchni, mocno ściskając teczkę w spoczonej dłoni.

Kiedy przechodziłem przez środkowy salon, zerknąłem za okno i dostrzegłem na poły ogołoconą z liści koronę drzewa. Zatrzymałem się. Żarzące się czerwienią liście, które jeszcze się trzymały na gałęziach, sprawiały, że drzewo zdawało się płonąć w ukośnych promieniach słońca sączących się zza chmur. Rubens. Kolory. To były jego kolory.

Magiczna chwila. Moment triumfu. Chwila przemiany. Chwila, podczas której człowiek widzi wszystko tak wyraźnie, że decyzje, które wcześniej wydawały się trudne, naraz okazują się oczywiste. Chciałem być ojcem. Zaplanowałem, że powiem jej to dopiero wieczorem, ale nagle poczułem, że właśnie teraz jest ten właściwy moment. Teraz, tutaj. Z Rubensem pod pachą, naprzeciwko tego pięknego majestatycznego drzewa. To była chwila, którą należało odlać w brązie. Wieczne wspomnienie, wspólne dla mnie i dla Diany, po które będziemy sięgać w deszczowe dni. Decyzja, którą ona, nieskalana, uzna za podjętą w przypiływie jasnowidzenia, bez żadnej innej przyczyny oprócz miłości do niej i naszego przyszłego dziecka. Tylko ja, lew, głowa rodziny, będę znał mroczną tajemnicę: że gardło zebry zostało przegryzione po ataku od tyłu. Że ziemia była zakrwawiona, jeszcze zanim położyłem zdobycz przed moimi czystymi niewiniątkami. Tak, naszą miłość należało potwierdzić.

Wyciągnąłem telefon, zdjąłem rękawiczkę i wybrałem numer na jej komórkę od Prady. Czekając na połączenie, próbowałem ułożyć sobie w głowie odpowiednie zdanie. „Najdroższa, chcę ci dać dziecko” albo „Moja najdroższa, pozwól, że ci dam..”.

Zabrzmiał akord G11sus4 Johna Lennona.

It's been a hard day's night... To prawda, to prawda, uśmiechnąłem się uradowany.

I nagle zrozumiałem.

Uświadomiłem sobie, że to usłyszałem.

Że coś było zupełnie nie tak.

Opuściłem telefon.

I rzeczywiście – z daleka, ale wyraźnie usłyszałem, że The Beatles zaczęli grać *A Hard Day's Night*. Jej dzwonek.

Nogi miałem jak przycementowane do szarego papieru na podłodze.

W końcu zaczęły się poruszać w stronę tego dźwięku, a serce waliło ciężko jak kotły.

Dźwięk dobiegał zza drzwi uchylonych na korytarz w głębi salonu.

Otworzyłem te drzwi. Sypialnia.

Łóżko na środku pokoju było zaścielone, ale najwyraźniej go używano. Od strony nóg leżała walizka, a przy niej stało krzesło, przez którego oparcie przewieszono kilka ubrań. Na wieszaku w otwartej

szafie wisiał garnitur. Ten sam garnitur, który Clas Greve nosił podczas interview. Lennon i McCartney śpiewali gdzieś na dwa głosy z taką energią, jakiej nigdy już nie mieli odnaleźć na późniejszych płytach. Rozejrzałem się. Ukłęknałem. Nachyliłem się. I wtedy go zobaczyłem. Telefon od Prady. Pod łóżkiem. Musiał się jej wyslizgnąć z kieszeni spodni. Prawdopodobnie wtedy, kiedy on je z niej ściągał. A ona zauważyła, że go zgubiła, dopiero... dopiero...

Przed oczami stanął mi jej kuszący tyłeczek dziś rano. Wściekle poszukiwania w ubraniu i w torebce.

Wstałem. Prawdopodobnie za szybko, bo pokój zaczął wirować. Oparłem się o ścianę.

Włączyła się sekretarka i ćwierkający głos.

– Cześć, tu Diana. Nie mogę teraz odebrać telefonu...

Rzeczywiście.

– Ale wiesz, co masz robić...

Tak. Jakieś miejsce w mózgu zarejestrowało, że oparłem się o ścianę ręką bez rękawiczki, dlatego muszę pamiętać, żeby ją wytrzeć.

– Życzę ci miłego dnia.

Z tym mogło być już znacznie trudniej.

Piip.

Część III

DRUGIE INTERVIEW

9. DRUGIE INTERVIEW

Mój ojciec Ian Brown był gorliwym, ale niezbyt dobrym szachistą. Grać nauczył się od swojego ojca, kiedy miał pięć lat. Czytał książki o szachach i studiował klasyczne partie. Mimo to zapoznał mnie z zasadami gry dopiero, kiedy skończyłem czternaście lat, a najlepsze lata na naukę już minęły. Miałem jednak głowę do szachów i w wieku lat szesnastu pokonałem go po raz pierwszy. Uśmiechnął się wtedy, jakby był ze mnie dumny, ale wiem, że tego nienawidził. Na nowo rozstawił figury i zaczęliśmy rewanż. Jak zwykle grałem białymi. Wmówił mi, że mam przez to fory. Po kilku ruchach przeprosił i wyszedł do kuchni. Wiedziałem, że po to, by pociągnąć z butelki łyk ginu. Zamieniłem w tym czasie dwa pionki, ale on się nie zorientował. Cztery ruchy później siedział z otwartymi ustami i patrzył na moją białą królową stojącą naprzeciwko jego czarnego króla. Widział, że w następnym ruchu dostanie mata. Wyglądał tak komicznie, że nie mogłem się powstrzymać i wybuchnąłem śmiechem. Poznałem po jego minie, że zrozumiał, co się stało. Podniósł się wtedy i zwałił wszystkie figury z szachownicy, potem zamierzył się na mnie. Kolana się pode mną ugięły, upadłem, bardziej ze strachu niż od siły ciosu. Nigdy wcześniej mnie tak nie uderzył.

– Przetawiałeś pionki! – syknął. – Mojemu synowi nie wolno oszukiwać!

Czułem w ustach smak krwi. Biała królowa leżała na podłodze tuż przede mną. Miała utracony kawałek korony. Nienawiść paliła mnie w gardle i w piersi jak żółć. Podniosłem zniszczoną królową i postawiłem ją na szachownicy. Później kolejne figury, jedną po drugiej. Ustawiłem pionki dokładnie tak, jak stały wcześniej.

– Twój ruch, tato.

Bo właśnie to robi gracz ogarnięty najzimniejszą nienawiścią, kiedy wygrywa, a przeciwnik nieoczekiwanie uderza go w twarz, trafia w miejsce, które boli, odkrywa jego strach. Nie traci panowania nad szachownicą, tylko ukrywa lęk i trzyma się planu. Oddycha, rekonstruuje, kontynuuje grę, inkasuje zwycięstwo. Wychodzi bez triumfalnych gestów.

Siedziałem przy końcu stołu i widziałem, jak usta Clasa Greve się poruszają. Widziałem, jak jego policzki napinają się i rozluźniają, formułując słowa najwyraźniej zrozumiałe dla Ferdinanda i dwóch przedstawicieli Pathfindera. W każdym razie wszyscy trzej z zadowoleniem kiwali głowami. Jakże ja nienawidziłem tych ust! Tych szaroróżowych dziąseł, tych zębów mocnych jak nagrobki, nawet samego kształtu tego ohydnego otworu w ciele, prostej szczeliny z dwoma uniesionymi w górę kącikami zapowiadającymi uśmiech. Taki sam wygrawerowany

uśmiech jak ten, którym Björn Borg oczarował świat, a którym teraz Clas Greve uwodził swego przyszłego pracodawcę, Pathfindera. Ale najbardziej nienawidziłem jego warg, tych warg, które dotykały ust mojej żony, skóry mojej żony, a najpewniej również jasnoróżowych brodawek i z całą pewnością wilgotnej, szeroko otwartej płci. Wydało mi się, że w pęknięciu mięsistej dolnej wargi dostrzegam jasny włos łonowy.

Siedziałem w milczeniu już od blisko pół godziny, podczas gdy Ferdinand z debilnym zaangażowaniem zadawał idiotyczne pytania z testu na osobowość, jakby sam je wymyślił.

Clas Greve na początku tej rozmowy zwracał się do mnie, z czasem jednak zrozumiał, że jestem tu tylko w roli niezapowiedzianego biernego obserwatora, a jego zadanie na dzisiaj polega na zbawianiu za pomocą Ewangelii według Grewego pozostałych trzech. Regularnie jednak słał mi przelotne pytające spojrzenia, jakby chciał się dowiedzieć, jaka jest moja rola.

Po pewnym czasie przedstawiciele Pathfindera, prezes zarządu i rzecznik prasowy, zaczęli zadawać własne pytania, które, rzecz jasna, dotyczyły jego pracy dla HOTE. A Greve opowiedział, jak on i HOTE walczyli o opracowanie TRACE, przypominającego lakier płynu czy też żelu, który zawierał około stu miniaturowych nadajników na mililitr. Przezroczysty lakier, którym można posmarować każdy obiekt, miał tę zaletę, że był prawie niewidzialny. Podobnie jak zwykły

lakier przylegał do obiektu na tyle silnie, że nie dało się go pozbyć bez użycia skrobaczki. Wadą nadajników był ich niewielki rozmiar. Nie potrafiły przez to wysyłać dostatecznie silnych sygnałów, które przebiłyby się przez substancję gęściejszą niż powietrze, gdyby je otoczyła. Taką na przykład jak woda, lód, błoto czy ekstremalnie gruba pokrywa pyłu, jaka może osiąść na pojazdach używanych w warunkach wojny na pustyni.

Natomiast ściany, nawet z grubego muru, nie stanowiły żadnego problemu.

– Doświadczyliśmy sytuacji, w których żołnierze z zamocowanymi TRACE znikali z naszych odbiorników, kiedy się dostatecznie zabrudzili – powiedział Greve. – Brakowało nam technologii pozwalającej na to, by mikroskopijne nadajniki zyskały dostateczną moc.

– Za to Pathfinder ją ma – stwierdził prezes zarządu, pięćdziesięcioletni mężczyzna z rzadziejącymi włosami, który od czasu do czasu poruszał karkiem, jakby się bał, że mu zeszywnieje, albo jakby połknął coś dużego, czego nie był w stanie przełknąć do końca. Domyślałem się, że to mimowolny skurcz spowodowany chorobą mięśni z rodzaju tych, które mogą się zakończyć tylko w jeden sposób. – Ale nie mamy technologii TRACE.

– Pod względem technologicznym HOTE i Pathfinder byłyby idealnym małżeństwem.

– Otóż to – rzucił ostro prezes. – Z Pathfinderem w roli niepracującej gospodyni domowej, otrzymującej kilka nędznych groszy z pensji męża.

Greve się roześmiał.

– Słuszna uwaga. Poza tym technologia HOTE jest łatwiejsza do przystosowania dla Pathfinderera niż odwrotnie. Dlatego uważam, że dla Pathfinderera jest tylko jedna droga. A mianowicie podróż na własną rękę.

Zobaczyłem, że przedstawiciele Pathfinderera wymieniają spojrzenia.

– Bez względu na wszystko pańskie CV jest imponujące, panie Greve – powiedział prezes. – Ale nam, w Pathfinderze, chodzi o to, żeby nasz dyrektor administracyjny został u nas na długo, żeby był... Jak wy to nazywacie w języku firm rekrutacyjnych?

– Chłopem – pospieszył z wyjaśnieniem Ferdinand.

– No właśnie, chłopem. Niezłe określenie. A więc kimś, kto dogląda wszystkiego, co już ma, i buduje dalej krok po kroku. Kto jest cierpliwy i wytrzymały. A pańska kartoteka jest... hm... spektakularna i dramatyczna. Nie wynika z niej jednak, by cechowały pana wytrzymałość i upór, niezbędne u szefa, którego szukamy.

Clas Greve z poważną miną wysłuchał prezesa zarządu, a teraz kiwnął głową.

– Po pierwsze, chciałbym powiedzieć, że podzielam pański pogląd na to, że właśnie takiego szefa powinien szukać Pathfinder. Po drugie, nie okazywałbym zainteresowania tym wyzwaniem, gdybym nie uważał, że jestem odpowiednim człowiekiem na to stanowisko.

– A jest pan? – wydusił z siebie ostrożnie drugi przedstawiciel Pathfindera, delikatny typ, którego, jeszcze zanim się przedstawił, sam zaklasyfikowałem jako rzecznika prasowego. Sporo ich zatrudniłem.

Clas Greve się uśmiechnął. Serdecznym uśmiechem, który nie tylko zmiękczył jego kamienną twarz, lecz totalnie ją odmienił. Miałem już okazję kilkakrotnie zaobserwować tę jego sztuczkę pokazującą, że może też być skłonny do żartów urwisem. Odnosiła ten sam skutek, co kontakt fizyczny zalecany przez Inbaua, Reida i Buckleya, intymna czynność, okazanie zaufania, oświadczenie: „Teraz się odsłaniam”.

– Opowiem panom pewną historię – powiedział Greve, nie przestając się uśmiechać. – Świadczy ona o czymś, do czego moim zdaniem trudno się przyznać. A mianowicie, jak bardzo nie umiem przegrywać. Zaliczam się do tych, którzy się złością, kiedy przegrają choćby w orła i reszkę.

Lekki śmiech pozostałych.

– Ale mam nadzieję, że historia ta mówi też coś o moim uporze i wytrzymałości – ciągnął. – Będąc w BBE, ścigałem kiedyś niewiele znaczącego przestępcę narkotykowego w Surinamie.

Zauważyłem, że przedstawiciele Pathfindera mimowolnie odrobinę się pochylają. Ferdinand dolał kawy, jednocześnie posyłając mi pewny zwycięstwa uśmiech.

Usta Clasa Greve dalej się poruszały, wysuwały się

do przodu, wgrzyzały się tam, gdzie nie miały prawa być. Czy ona krzyczała? Oczywiście, że krzyczała. Nie potrafiła się powstrzymać. Była tak łatwą ofiarą swego pożądania. Kiedy się kochaliśmy pierwszy raz, myślałem o rzeźbie Berniniego w kaplicy Cornaro. *Ekstaza świętej Teresy*. Częściowo skojarzyły mi się z nią rozchylone usta Diany, cierpiący, niemal bolesny wyraz twarzy, nabrzmiała żyła i zmarszczka skupienia na czole. Również dlatego, że Diana krzyczała, a zawsze myślałem, że ogarnięta ekstazą święta karmelitanka Berniniego krzyczy, gdy anioł wyciągnął strzałę z jej piersi i zamierza wbić ją ponownie. W każdym razie ja tak to widzę. Wejście-wyjście-wejście. Obraz boskiej penetracji. Pieprzenie w najbardziej wysublimowanej formie, ale wciąż bez wątplenia pieprzenie. Tyle że nawet święta nie potrafiła krzyczeć tak jak Diana. Krzyk Diany był bolesną rozkoszą, ostrzem strzały wbijającej się w bębunki uszu, od której ciarki przechodziły po całym ciele. Pełen skargi trwający krzyk, ton, który ledwie się wznosił i opadał, niczym model samolotu. Tak przenikliwy, że po pierwszym miłosnym akcie obudziłem się z szumem w uszach, a po trzech tygodniach kochania się wydawało mi się, że odczuwam pierwsze symptomy *tinnitus*, słyszę nieprzerwany szum wodospadu, jeśli nie na rzece, to przynajmniej na strumieniu, któremu akompaniował narastający i cichnący dźwięk fujarki.

Raz wyraziłem zaniepokojenie o swój słuch, oczywiście żartem, ale Diana wcale nie potraktowała

tego z humorem. Przeciwnie, przeraziła się i prawie rozplakała. A kiedy się kochaliśmy następnym razem, poczułem jej miękkie dłonie na uszach, co w pierwszej chwili wziąłem za dość niezwykłą pieśczętę. Gdy jednak się zorientowałem, że układają się w dwie miseczki, tworząc parę ciepłych nauszników, zrozumiałem, jaki to przejaw miłości. Efekt był ograniczony czysto sonicznie, bo krzyk wciąż wwiercał się w korę mózgową, lecz tym bardziej emocjonalny. Nie mam oczu na mokrym miejscu, lecz gdy to sobie uświadomiłem, zacząłem szlochać jak dziecko. Prawdopodobnie czułem, że nikt nigdy nie będzie kochał mnie tak mocno jak ta kobieta.

Kiedy więc teraz patrzyłem na Clasa Greve ze świadomością, że ona krzyczała również w jego objęciach, starałem się nie myśleć o pytaniu wynikającym z poprzedniego, ale tak samo jak Diana, ja również nie umiałem się powstrzymać: czy jemu też zasłaniała uszy?

– Ślad wiódł przez gęstą dżunglę i mokradła – mówił Clas Greve. – Codziennie osiem godzin marszu, a mimo to wciąż pozostawaliśmy w tyle. Zawsze odrobinę spóźnieni. Moi towarzysze odpadali jeden po drugim. Gorączka, dyzenteria, ukąszenia węży albo po prostu wyczerpanie. Facet, jak już mówiłem, niewiele się liczył, ale dżungla zjada rozum. Byłem najmłodszy, a mimo to właśnie mnie w końcu oddano dowodzenie. I maczetę.

Diana i Greve. Kiedy po powrocie z mieszkania Grewego zaparkowałem volvo w garażu, przez chwilę rozważałem, czy nie opuścić szyby przy włączonym silniku i nie wdychać dwutlenku, tlenku węgla czy co tam się wdycha. To podobno całkiem przyjemna śmierć.

– Po sześćdziesięciu trzech dniach marszu, pokonawszy trzysta dwadzieścia kilometrów najtrudniejszego terenu, jaki można sobie wyobrazić, nasza grupa pościgowa została zredukowana do mnie i młodego chłopaka z Groningen, który był za głupi na to, by oszaleć. Nawiązałem kontakt z kwaterą główną i samolotem przysłano nam niether terriera. Znaie tę rasę? Nie? Aha. To najlepszy na świecie pies tropiący, w dodatku bezgranicznie lojalny, atakuje wszystko, co mu się wskaże, bez względu na rozmiar. Przyjaciel na całe życie, dosłownie. Helikopter zrzucił psa, młodego, miał trochę ponad rok, w samym środku dżungli na ogromnym obszarze Sipaliwini, gdzie zrzucają też kokainę. Okazało się jednak, że miejsce zrzutu jest odległe od naszej kryjówki o dziesięć kilometrów. Cudem byłoby, gdyby pies zdołał nas wytropić. Ale przede wszystkim, gdyby zdołał przeżyć bodaj dzień w dżungli. Odnalezienie nas zajęło mu dwie godziny.

Greve odchylił się na krześle. Miał teraz pełną kontrolę.

– Nazwałem go Sidewinder, od nazwy naprowadzanej termicznie rakiety, wiecie, o czym mówię? Pokochałem tego psa, dlatego do dzisiaj mam

niether terriera. Odebrałem go wczoraj z Holandii. To, prawdę mówiąc, wnuk Sidewindera.

Kiedy wieczorem po włamaniu u Grewego wróciłem do domu, Diana siedziała w salonie i oglądała telewizję. Nadawali konferencję prasową z komisarzem Bredem Sperre, ledwie widocznym zza lasu mikrofonów. Mówił o zabójstwie. O wyjaśnionym zabójstwie. Brzmiało to tak, jakby sam je wyjaśnił. Głos Sperrego był po męsku chropowaty, brzmiał trochę jak w radiu, z kosmicznym szumem w tle, przerywany ziarenkami *dropouts*, jak maszyna do pisania ze zniszczoną czcionką, której na papierze można się jedynie domyślać. „Sp-awca zostanie ju-ro a-esz-owany. Inne py-ania?” Z jego wymowy usunięte zostały wszelkie ślady dialektu ze wschodnich dzielnic, ale według Google Sperre przez osiem lat grał w koszykówkę w klubie Ammerud. Wyższą Szkołę Policyjną ukończył z drugim wynikiem na roku. W wywiadzie dla jakiegoś kobiecego tygodnika odmówił odpowiedzi na pytanie, czy jest z kimś blisko związany, tłumacząc się względami zawodowymi. Ewentualna dziewczyna mogłaby bowiem mimo woli skupić na sobie zainteresowanie zarówno mediów, jak i tych elementów, których ściganiem się zajmował. Ale na zdjęciach na rozkładówce w tym samym tygodniku – rozpięta prawie do pasa koszula, półprzymknięte oczy, tajemniczy uśmiezek – nic nie wskazywało na to, by taka dziewczyna istniała.

Stałem za fotelem Diany.

– Przeszedł do KRIPOS² – powiedziała. – Zajmuje się zabójstwami itepe.

Oczywiście wiedziałem o tym, bo co tydzień sprawdzałem Bredego Sperre w Google, żeby przekonać się, co robi i czy wypowiada się dla prasy na temat pościgu za szajką kradnącą dzieła sztuki. Poza tym starałem się o niego wypytywać, kiedy nadarzała się okazja. Oslo nie jest przecież dużym miastem. Wiedziałem różne rzeczy.

– Pewnie żałujesz – rzuciłem lekko. – Już nie przyjdzie do twojej galerii.

Uśmiechnęła się i zadzierając głowę, popatrzyła na mnie, a ja głowę opuściłem i też się uśmiechnąłem. Nasze twarze były odwrócone w stosunku do siebie. Przez moment pomyślałem, że to z Grevem się nie zdarzyło, że po prostu namalowałem to sobie zbyt żywymi barwami, tak jak większość ludzi stara się regularnie wyobrażać sobie najgorsze możliwe zdarzenia, choćby po to, by się dowiedzieć, jakie to uczucie i czy w ogóle da się z nim żyć. I jakby na potwierdzenie, że to był tylko sen, powiedziałem, że zmieniłem zdanie. Że jednak ona miała rację i powinniśmy zarezerwować ten wyjazd do Tokio w grudniu. Diana jednak popatrzyła na mnie zaskoczona i oświadczyła, że przecież nie może zamknąć galerii tuż przed świętami, kiedy jest największy ruch. Poza tym nikt nie jeździ do Tokio w grudniu, bo wtedy jest tam lodowato. Spytałem tylko, co wobec tego sądzi o

wiośnie, i zaproponowałem, że zamówię bilety, ale ona stwierdziła, że to plany trochę na wyrost. Czy nie moglibyśmy wstrzymać się z decyzją? Oczywiście, odpowiedziałem i oświadczyłem, że idę się położyć, bo jestem bardzo zmęczony.

Kiedy zszedłem na dół, zajrzałem do pokoju dziecinnego. Podeszedłem do figurki *mizuko jizō* i uklęknąłem. Ołtarzyk wciąż był nietknięty. Plany na wyrost. Zobaczymy, co będzie. Wyjąłem więc z kieszeni małe czerwone pudełeczko, musnąłem palcami jego gładką powierzchnię i umieściłem je przy małym kamiennym Buddzie strzegącym naszego wodnego dziecka.

– Dwa dni później znaleźliśmy przemytnika narkotyków w niedużej wiosce. Ukrywała go młodziuteńka cudzoziemka, jak się później okazało, jego dziewczyna. Ci ludzie zazwyczaj angażują takie niewinnie wyglądające dziewczęta, wykorzystują je jako kurierki, dopóki nie zostaną zatrzymane na cle i nie dostaną dożywocia. Minęło sześćdziesiąt pięć dni od rozpoczęcia pościgu. – Clas Greve odetchnął. – Jeśli o mnie chodzi, to mogło ich być jeszcze drugie sześćdziesiąt pięć.

Ciszę, która zapadła, przerwał w końcu rzecznik prasowy.

– Aresztowaliście tego człowieka?

– Nie tylko jego. On i ta dziewczyna podali nam dość informacji, żebyśmy mogli później aresztować

dwudziestu trzech jego kompanów.

– A jak... – zaczął prezes zarządu. – Jak się zatrzymuje takiego... hm... desperado?

– W tym wypadku było to zupełnie pozbawione dramatyzmu. – Clas Greve założył ręce za głowę. – Do Surinamu też dotarło równouprawnienie. W momencie naszego ataku cała broń tego faceta leżała na kuchennym stole, a on sam pomagał dziewczynie zemleć mięso maszynką.

Prezes zarządu roześmiał się, spojrzął na rzecznika prasowego, który posłusznie zawtórował mu urywanym i nieco ostrożniejszym śmiechem. Do chóru dołączył trzeci głos – piskliwy chichot Ferdinanda. Przyglądałem się tym czterem twarzom, myśląc o tym, że bardzo chciałbym akurat w tej chwili mieć na podorędziu ręczny granat.

Kiedy Ferdinand zakończył interview, wziąłem odprowadzenie Clasa Greve na siebie, a pozostała trójka zrobiła sobie przerwę przed podsumowaniem.

Poszedłem razem z Grevem do windy i wcisnąłem guzik.

– Przekonujące – powiedziałem, składając opuszczone dłonie i wpatrując się w ekranik z numerami pięter. – Odnosisz wielkie sukcesy swoją sztuką uwodzenia.

– Uwodzenia? Zakładam, że nie uznajesz

zachwalania siebie za nieuczciwe, Roger?

– Ależ skąd. Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo.

– Dziękuję. Kiedy napiszesz rekomendację?

– Dziś wieczorem.

– To dobrze.

Drzwi windy się otworzyły, wsiedliśmy, stanęliśmy i czekaliśmy.

– Zastanawiałem się tylko nad jednym – zacząłem. – Ten człowiek, którego tropiliście...

– Tak?

– To nie była przypadkiem ta sama osoba, która torturowała cię w piwnicy?

Greve się uśmiechnął.

– Jak na to wpadłeś?

– Po prostu odgadłem. – Drzwi windy się zasunęły. – I poprzestałeś na jego aresztowaniu?

Greve uniósł brew.

Wzruszyłem ramionami. Winda ruszyła.

– Plan był taki, żeby go zabić – powiedział Greve.

– Aż do tego stopnia miałeś za co się zemścić?

– Tak.

– A jak się odpowiada za zabójstwo w armii holenderskiej?

– Trzeba się postarać, żeby nie zostało odkryte.
Kurara.

– Kurara? Trucizna? Ta, którą zatruwa się strzały?

– Tego używają łowcy głów w naszej części świata.

Przypuszczam, że dwuznaczność była zamierzona.

– Roztwór kurary w gumowej piłeczce wielkości winogrona z bardzo ostrą, prawie niewidoczną igłą ukrywa się w materacu obiektu. Kiedy obiekt się kładzie, igła wbija się w skórę, a jednocześnie ciężar ciała wyciska truciznę z gumowej kulki.

– Ale on był w domu – zauważyłem. – A poza tym miał za świadka tę dziewczynę.

– No właśnie.

– No to jak zmusiłeś go do wydania kumpli?

– Zaproponowałem mu układ. Kazałem koledze go przytrzymać i włożyłem jego rękę do maszynki do mięsa. Powiedziałem, że ją zmielimy i każemy mu patrzeć, jak nasz pies zżera mięso. Od razu zaczął gadać.

Pokiwałem głową, wyobrażając sobie tę scenę. Drzwi windy się rozsunęły, ruszyliśmy do wyjścia z budynku. Otworzyłem mu je i przytrzymałem.

– A co było potem, kiedy już wszystko zdradził?

– A co miało być? – Greve zmrużył oczy, patrząc w niebo.

– Dotrzymałeś swojej części umowy?

– Ja... – Greve wyjął z kieszonki na piersi ciemne okulary Maui Jim Titanium i włożył je na nos. – Ja zawsze dotrzymuję swojej części umowy.

– Czyli nędzne aresztowanie? Warto było go ścigać przez dwa miesiące, ryzykując życie?

Greve zaśmiał się cicho.

– Ty nie rozumiesz, Roger. Dla kogoś takiego jak ja rezygnacja z pościgu nigdy nie jest wyjściem. Jestem taki jak mój pies. Rezultat genów i tresury. Ryzyko nie istnieje. Kiedy już raz zostanę wystrzelony, zmieniam się w naprowadzany termicznie pocisk, którego nic nie powstrzyma. I który, najgłębiej patrząc, szuka własnej destrukcji. Przetestuj swoją znajomość psychologii. – Położył mi rękę na ramieniu i szepnął: – Ale diagnozę zachowaj dla siebie.

Dalej stałem, przytrzymując drzwi.

– A dziewczyna? W jaki sposób nakłoniłeś ją do mówienia?

– Miała czternaście lat.

– I?

– A jak myślisz?

– Nie wiem.

Greve westchnął ciężko.

– Nie rozumiem, dlaczego tak mnie oceniasz, Roger. Ja nie przesłuchuję nieletnich dziewcząt. Osobiście zabrałem ją do Paramaribo, z własnego żołdu kupiłem

jej bilet na samolot i wsadziłem do pierwszego samolotu do domu, do rodziców, zanim wpadła w szpony surinamskiej policji.

Patrzyłem, jak odchodzi szybkim krokiem w stronę srebrnoszarego lexusa GS 430 stojącego na parkingu.

Jesienna pogoda olśniewała pięknem. W dniu mojego ślubu padał deszcz.

10. WADA SERCA

Po raz trzeci przycisnąłem dzwonek domofonu Lotte Madsen. Wprawdzie nie było przy nim jej nazwiska, ale dzwoniłem do domu przy Eilert Sundts gate wystarczającą liczbę razy, by wiedzieć, że dobrze wybrałem.

Mrok zapadł wcześniej i szybko, a razem z nim obniżyła się temperatura. Drżałem z zimna. Lotte długo się wahała, gdy zatelefonowałem do niej z pracy po lunchu i spytałem, czy mogę ją odwiedzić koło ósmej. Kiedy wreszcie jedną sylabą zgodziła się udzielić mi audiencji, zrozumiałem, że najprawdopodobniej złamała obietnicę złożoną samej sobie: nie mieć więcej do czynienia z mężczyzną, który tak bezwzględnie ją porzucił.

Zaterkotał brzęczyk, szarpnąłem drzwi, jakbym się bał, że to jedyna szansa, jaką mi dano. Ruszyłem po schodach, nie chciałem ryzykować znalezienia się w windzie z jakimś ciekawskim sąsiadem, który mógłby mieć ochotę poświęcić czas na gapienie się, rejestrowanie i wyciąganie wniosków.

Lotte uchyliła drzwi. Dostrzegłem za nimi jej bladą twarz.

Wszedłem i zamknąłem za sobą.

– Znów jestem.

Nie odpowiedziała. Zwykle było inaczej.

– Jak się miewasz? – spytałem.

Lotte wzruszyła ramionami. Wyglądała dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy zobaczyłem ją pierwszy raz: jak przerażony szczeniak. Malutki i roztrzęsiony, z wystraszonymi piwnymi psimi oczami. Tłuste włosy zwisały po obu stronach twarzy, garbiła się, a bezkształtne, bezbarwne ubranie sprawiało wrażenie, że to kobieta, która więcej czasu poświęca na ukrywanie swoich kształtów niż na ich podkreślanie. A przecież nie miała ku temu żadnych powodów. Była szczupła, zgrabna, miała idealnie gładką skórę. Ale biła od niej poddańczość, taka, jaka według mnie bije od tego rodzaju kobiet, które zawsze będą bite, porzucane i nigdy nie dostaną tego, na co zasługują. Być może właśnie to obudziło we mnie coś, z czego posiadania do tej pory nie zdawałem sobie sprawy: instynkt opiekuńczy. Oprócz mniej platonicznych uczuć, które stały się punktem wyjścia naszego krótkotrwałego związku. Czy raczej romansu. Romansu. Związek to czas terażniejszy, romans to czas przeszły.

Pierwszy raz zobaczyłem Lotte Madsen latem na jednym z wernisaży Diany. Stała w drugim końcu sali ze wzrokiem utkwionym we mnie i zareagowała z pewnym opóźnieniem. Przyłapywanie kobiet na gorącym uczynku w taki sposób zawsze pochlebia. Ale gdy zorientowałem się, że jej spojrzenie nie zamierza do mnie wrócić, podszedłem do obrazu, który oglądała, i sam się przedstawiłem. Przede wszystkim, rzecz jasna, z ciekawości, ponieważ zawsze byłem zdumiewająco – zważywszy na moją naturę – wierny Dianie. Złe języki

mogłyby twierdzić, że moja wierność opiera się bardziej na analizie ryzyka niż na miłości. Wiedziałem przecież, iż pod względem atrakcyjności Diana gra w wyższej lidze niż ja, w związku z czym nie mogłem tak ryzykować, chyba że w ogóle chciałem od razu spaść niżej.

Możliwe. Ale Lotte Madsen była z mojej ligi.

Wyglądała jak frikowa artystka i za taką automatycznie ją uznałem, ewentualnie za dziewczynę artysty. Nic innego nie mogło tłumaczyć faktu, że na wernisaż wpuszczono wytarte brązowe sztruksy i nieciekawo obcisły szary sweter. Okazało się jednak, że Lotte jest jak najbardziej poważną klientką. Co prawda nie kupowała na własny rachunek, tylko dla pewnej firmy w Danii, która akurat urządzała swoją nową siedzibę w Odense. Lotte była Dunką, wolnym strzelcem, a konkretnie pracującą na zlecenia tłumaczką z norweskiego i hiszpańskiego. Broszury, artykuły, instrukcje obsługi, filmy, od czasu do czasu jakaś literatura fachowa. Firma z Odense była jednym z jej stałych zleceniodawców. Lotte mówiła cicho, z niepewnym uśmiechem, jakby nie mogła pojąć, że komuś chce się marnować czas na rozmowę z nią. Natychmiast mnie zauroczyła. Tak, chyba to właściwe słowo. Była śliczna. I mała. Metr pięćdziesiąt dziewięć. Nie musiałem pytać. Mam dobre oko na wzrost. Gdy wychodziłem z galerii tamtego wieczoru, poprosiłem ją o numer telefonu, żebym mógł przesłać jej fotografie innych obrazów artysty będącego autorem

wystawy. W tamtym momencie oczywiście wierzyłem w swoją szczerłość.

Drugi raz spotkaliśmy się na kawie w Sushi & Coffee. Tłumaczyłem, że wolę pokazać jej odbitki zdjęć, niż po prostu przesłać je mailem, ponieważ obraz na monitorze – tak jak ja – kłamie.

Po szybkim przejrzeniu fotografii wyznałem, że jestem nieszczęśliwy w małżeństwie, ale wytrzymuję, ponieważ czuję się zobowiązany wobec bezgranicznej miłości mojej żony. To najstarszy na świecie frazes w sytuacji, gdy żonaty mężczyzna podrywa niezamężną kobietę i odwrotnie. Ale domyślałem się, że ona jeszcze go nie słyszała. Jeśli chodzi o ścisłość, to ja również, ale przynajmniej znałem go i zakładałem, że podziąła.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że musi już iść. Spytałem wtedy, czy mógłbym zajrzeć do niej któregoś wieczoru i pokazać jej prace innego artysty, który moim zdaniem byłby o wiele lepszą inwestycją dla jej klienta w Odense. Zgodziła się z wahaniem.

Przyniosłem kilka marnych zdjęć z galerii i butelkę dobrego wina z własnej piwnicy. Lotte wyglądała na skazaną na klęskę już od chwili, gdy otworzyła mi drzwi w tamten ciepły letni wieczór.

Opowiadałem jej zabawne historie o popełnianych przeze mnie głupstwach z rodzaju tych, które pozornie stawiają cię w złym świetle, lecz tak naprawdę pokazują, że masz dość wiary w siebie i odnosisz sukcesy, dzięki którym stać cię na autoironię. Ona

powiedziała, że jest jedynaczką, w dzieciństwie i wczesnej młodości dużo jeździła po świecie z rodzicami, bo ojciec był naczelnym inżynierem w międzynarodowej spółce budującej wodociągi. I że w zasadzie nie należy do żadnego miejsca, a Norwegia jest dobra jak każdy inny kraj. I tyle. Jak na znajomość tak wielu języków zdumiewająco mało mówiła. Tłumaczka, pomyślałem. Woli cudze opowieści od własnych.

Spytała mnie o żonę. Użyła określenia „twoja żona”, mimo że musiała znać imię Diany, skoro dostała zaproszenie na wernisaż. W każdym razie trochę mi wszystko ułatwiła. Sobie również.

Powiedziałem, że moje małżeństwo się załamało, kiedy „moja żona” zaszła w ciążę, a ja nie chciałem tego dziecka. I według niej namówiłem ją na aborcję.

– A zrobiłeś to? – spytała Lotte.

– Przypuszczalnie.

Dostrzegłem coś w jej twarzy i spytałem, o co chodzi.

– Mnie na aborcję namówili rodzice. Ponieważ byłam nastolatką i dziecko nie miałoby ojca. Ciągle ich za to nienawidzę. Ich i siebie.

Przełknąłem ślinę. Przełknąłem jeszcze raz i zacząłem wyjaśniać.

– Nasz płód miał zespół Downa. Osiemdziesiąt pięć procent wszystkich rodziców, którzy się o tym

dowiadują, decyduje się na aborcję.

Pożałowałem tych słów, gdy tylko je wypowiedziałem. Co miałem na myśli? Że informacja o zespole Downa pomoże Lotte lepiej pojąć, dlaczego nie chciałem mieć dziecka z własną żoną?

– Istniało duże prawdopodobieństwo, że twoja żona sama by poroniła – stwierdziła Lotte. – Poza tym zespołowi Downa często towarzyszy wada serca.

Wada serca, powtórzyłem w myślach i w duchu podziękowałem Lotte za to, że gra w mojej drużynie. Że znów chce mi coś ułatwić. Ułatwić nam.

Godzinę później zdjęliśmy z siebie już wszystkie ubrania i mogłem uczcić triumf, który bardziej nawykłej do zwyciężania osobie mógł wydać się tanio kupiony, ale mnie pozwolił całymi dniami unosić się w chmurach. Całymi tygodniami. A konkretnie przez trzy i pół tygodnia. Całkiem zwyczajnie miałem kochankę. Którą porzuciłem po dwudziestu czterech dniach.

Gdy teraz patrzyłem na nią w przedpokoju, wydawało mi się to kompletnie niepojęte.

Hamsun napisał, że my, ludzie, potrafimy odczuć przesyt miłości. Nie chcemy tego, co się nam serwuje w za dużych porcjach. Czy naprawdę jesteśmy aż tak banalni? Najwyraźniej. Ale nie to stało się ze mną. Zacząłem mieć wyrzuty sumienia. Nie dlatego, że nie potrafiłem odwzajemnić miłości Lotte, tylko dlatego, że

kochałem Dianę. Uświadomienie sobie tego faktu było nieuniknione, ale ostateczny cios zadał mi nieco dziwny incydent. Było późne lato, dwudziesty czwarty dzień w grzechu. Jak zwykle poszliśmy do łóżka w malutkim, dwupokojowym mieszkaniu Lotte na Eilert Sundts gate. Wcześniej przegadaliśmy cały wieczór. A raczej to ja mówiłem. Szkicowałem i objaśniałem moje życie, tak jak je widziałem. Jestem w tym dobry na sposób Paula Coelho, a więc taki, który fascynuje tych z nas, którzy są lekko ustępliwi pod względem intelektualnym, a irytuje bardziej wymagających. Melancholijne piwne oczy Lotte przykleiły się do moich warg, chłoneły każde słowo, dosłownie widziałem, jak ona wchodzi w mój świat idei domowej roboty. Jak jej mózg czyni mój sposób myślenia swoim. Jak zakochuje się w moim umyśle. Sam dawno już się zakochałem w jej zakochaniu, w tych wiernych oczach, w milczeniu i ledwie słyszalnych westchnieniach podczas miłostnego aktu, tak różnych od wizgu piły tarczowej Diany. To zakochanie sprawiło, że przez trzy i pół tygodnia znajdowałem się w stanie permanentnego podniecenia seksualnego. Kiedy więc wreszcie przerwałem monolog, tylko na siebie spojrzeliśmy, nachyliłem się, dotknąłem ręką jej piersi, a nią wstrząsnął dreszcz, może zresztą nie nią, tylko mną, i już pędziliśmy do sypialni do szerokiego na sto jeden centymetrów łóżka z Ikei. Tego wieczoru jej westchnienia były głośniejsze niż zwykle. Szeptwała mi do ucha coś po duńsku, czego nie rozumiałem,

ponieważ duński, obiektywnie rzecz biorąc, jest trudnym językiem – duńskie dzieci uczą się mówić później niż inne dzieci w Europie. Ale i tak niezwykle mnie to podnieciło i zwiększyłem rytm. Zazwyczaj Lotte opierała się nieco takim przyspieszeniom, ale wtedy złapała mnie za pośladki i przyciągnęła do siebie, co uznałem za pragnienie dalszego zwiększenia siły i częstotliwości. Usłuchałem, starając się jednocześnie koncentrować na widoku mego ojca w otwartej trumnie podczas pogrzebu – to metoda, która już wcześniej okazywała się skuteczna przy powstrzymaniu zbyt wczesnego wytrysku. Albo jak w tym wypadku przy jego całkowitym wstrzymaniu. Wprawdzie Lotte mówiła, że zażywa pigułki antykoncepcyjne, jednak myśl o ciąży przyprawiała mnie o kołatanie serca. Nie wiedziałem, czy Lotte zwykle osiągała orgazm, kiedy się kochaliśmy. Jej cichy i opanowany sposób bycia sprawiał, że założyłem, iż orgazm przejawia się jedynie pod postacią drobnych zmarszczek na powierzchni wody, które zwyczajnie mogłem przeoczyć. A była zbyt delikatną istotą, żebym chciał ją narażać na stres, pytając. Dlatego byłem kompletnie nieprzygotowany, kiedy to się stało. Czułem, że muszę przerwać, ale pozwoliłem sobie na ostatnie mocne pchnięcie. I nagle poczułem, jakbym trafił na coś głęboko w niej. Zesztywniała, a jednocześnie jej oczy i usta otworzyły się szeroko. Zaczęła drżeć; przez krótki idiotyczny moment przestraszyłem się nawet, że wywołałem u niej atak epilepsji. Potem poczułem, jak coś gorącego,

gorętszego niż jej pochwa, otacza mój członek i w następnej chwili powódź zalała mój brzuch, biodra i jądra.

Uniosłem się na rękach i z niedowierzaniem, przerażony patrzyłem na punkt, w którym łączyły się nasze ciała. Jej pochwa kurczyła się tak, jakby chciała mnie z siebie wypchnąć, a Lotte głęboko stękała, wydawała niemal ryk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem, i zaraz nadeszła następna fala. Woda dosłownie się z niej wylewała, ściekała między naszymi biodrami i spływała na materac, który jeszcze nie zdążył wchłonąć tamtego pierwszego zalewu. O Boże, pomyślałem. Przedziurawiłem ją. Mój mózg w panice szukał związków przyczynowo-skutkowych. Ona jest w ciąży. A ja właśnie przebiłem ten pęcherz, w którym spoczywa płód, i teraz wszystko wsiąknie w łóżko. Płyniemy, to sprawa życia i śmierci, to wodne dziecko. Jeszcze jedno wodne dziecko. Czytałem wprawdzie o tak zwanych mokrych orgazmach u kobiet, oglądałem je nawet na jednym czy drugim filmie pornograficznym, ale uznałem to za oszustwo, za jakiś wymysł, za męską fantazję o równorzędnej ejakulującej partnerce. Byłem w stanie myśleć jedynie o tym, że to odwet. Kara boża za to, że nakłoniłem Dianę do aborcji. Oto nieostrożnym fiutem miałem odebrać życie jeszcze jednemu dziecku.

Wyskoczyłem na podłogę i ściągnąłem kołdrę z łóżka. Lotte się skuliła, ale ja nie patrzyłem na jej zwinięte w kłębek nagie ciało, tylko na ciemną plamę, która coraz szerzej rozlewała się na prześcieradle.

Powoli uświadamiałem sobie, co się stało. A raczej, chyba ważniejsze, co się nie stało. Ale i tak było już za późno. Nie miałem drogi odwrotu.

– Muszę iść – oświadczyłem. – To nie może dłużej trwać.

– Co chcesz zrobić? – spytała Lotte ledwie słyszalnym głosem, skulona w pozycji płodowej.

– Strasznie mi przykro – powiedziałem. – Ale muszę wracać do domu i błagać Dianę o przebaczenie.

– Na pewno go nie dostaniesz – szepnęła.

Nie słyszałem żadnego dźwięku z sypialni, kiedy w łazience splukiwałem jej zapach z dłoni i ust ani kiedy wychodziłem, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

A teraz, trzy miesiące później, znów stałem u niej w przedpokoju i wiedziałem, że tym razem to nie Lotte, tylko ja mam psie oczy.

– Możesz mi wybaczyć? – spytałem.

– A ona nie mogła? – odezwała się Lotte płaskim głosem. Ale może to był po prostu tylko duński akcent.

– Nie powiedziałem jej, co się stało.

– Dlaczego?

– Nie wiem – odparłem. – Istnieje duże prawdopodobieństwo, że mam wadę serca.

Długo mi się przyglądała. W końcu dostrzegłem cień uśmiechu w głębi piwnych, zbyt melancholijnych oczu.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

– Bo nie mogę cię zapomnieć.

– Dlaczego przyszedłeś? – powtórzyła z uporem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszałem.

– Chciałem tylko, żebyśmy... – zacząłem, ale mi przerwała:

– Dlaczego, Roger?

Westchnąłem.

– Już niczego nie jestem jej winien. Ona ma kochanka.

Długa chwila ciszy.

W końcu wysunęła lekko dolną wargę.

– Złamała ci serce?

Kiwnąłem głową.

– A teraz chcesz, żebym ci je skleić?

Jeszcze nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby ta małomówna kobieta mówiła tak niewymuszenie, z taką swobodą.

– Nie dasz rady tego zrobić, Lotte.

– Raczej nie. Wiesz, kim jest jej kochanek?

– To facet, który szuka u nas pracy. Ale jej nie dostanie, już mogę tak powiedzieć. Porozmawiamy o czymś innym?

– Chcesz tylko rozmawiać?

– Ty decydujesz.

– Owszem. Tylko rozmawiać. I ty się tym zajmiesz.

– Dobrze. Przyniosłem butelkę wina.

Leciutko pokręciła głową, potem się odwróciła, a ja poszedłem za nią.

Mówiłem tyle, ile wytrzymała butelka wina, w końcu zasnąłem na kanapie. Kiedy się obudziłem, leżałem z głową na kolanach Lotte, a ona głaskała mnie po włosach.

– Wiesz, jaka była pierwsza rzecz, na którą zwróciłam u ciebie uwagę? – spytała, widząc, że już nie śpię.

– Włosy – powiedziałem.

– Już ci o tym mówiłam?

– Nie. – Spojrzałem na zegarek. Wpół do dziesiątej. Pora wracać do domu. A raczej do ruin domu. Bałem się.

– Będę mógł jeszcze przyjść? – spytałem.

Wyczułem, że się waha.

– Potrzebuję cię – dodałem.

Wiedziałem, że nie jest to argument wielkiej wagi, że został pożyczony od kobiety, która wołała QPR, ponieważ ten klub sprawiał, że czuła się potrzebna. Ale był to jedyny argument, jaki miałem.

– Nie wiem – odparła. – Muszę to sobie przemyśleć.

Kiedy wróciłem do domu, Diana siedziała w salonie i czytała jakąś grubą książkę. Van Morisson śpiewał:

...someone like you make it all worth while, więc nie słyszała mnie, dopóki nie stanąłem przed nią i nie przeczytałem głośno tytułu na okładce.

– *Jak powstaje dziecko?*

Drgnęła, przestraszona, ale zaraz się rozjaśniła i pospiesznie wsunęła książkę na półkę za plecami.

– Późno wracasz, kochanie. Robiłeś coś przyjemnego czy tylko pracowałeś?

– I jedno, i drugie – odpowiedziałem, podchodząc do okna. Garaż był skąpany w białym świetle księżyca, ale pozostawało jeszcze kilka godzin do przyjścia Ovego po obraz. – Wykonałem kilka telefonów i trochę się zastanawiałem nad rekomendacją tego kandydata dla Pathfindera.

Zachwycona klasnęła w dłonie.

– Bardzo ciekawe. To będzie ten, którego pomogłam znaleźć? Ten... Jak on się nazywa?

– Greve.

– Clas Greve! Zupełnie wyleciało mi z głowy. Mam nadzieję, że kupi u mnie naprawdę drogi obraz, kiedy się o tym dowie. Bo chyba na to zasłużyłam, prawda?

Roześmiała się jasnym śmiechem, wyprostowała długie szczupłe nogi, do tej pory podwinięte, i ziewnęła. Miałem uczucie, jakby na sercu zwarły mi się szpony i ścisnęły je niczym balon z wodą. Musiałem znów prędko odwrócić się do okna, żeby nie zauważyła bólu na mojej twarzy. Kobieta, która, jak sądziłem, nie

miała w sobie zdrady, nie dość że potrafiła utrzymać maskę, to jeszcze odgrywała swoją rolę jak profesjonalistka. Przełknąłem ślinę i odczekałem, dopóki nie zyskałem pewności, że zdołam zapanować nad głosem.

– Greve nie jest właściwą osobą – oznajmiłem, obserwując jej odbicie w szybie. – Zarekomenduję innego kandydata.

Jednak półprofesjonalistka. Bo z tym nie poradziła sobie tak dobrze. Widziałem, jak szczęka jej opada.

– Żartujesz, kochanie? Przecież on idealnie się do tego nadaje. Sam mówiłeś...

– Pomyliłem się.

– Pomyliłeś? – Ku mojej satysfakcji usłyszałem, że w jej głosie pojawił się przenikliwy ton. – Co, na Boga, chcesz przez to powiedzieć?

– Greve jest cudzoziemcem. Ma mniej niż metr osiemdziesiąt wzrostu. Poza tym cierpi na ciężkie zaburzenia osobowości.

– Mniej niż metr osiemdziesiąt? Na Boga, Roger, ty masz mniej niż metr siedemdziesiąt! To ty cierpisz na zaburzenia osobowości!

Trafiła. Nie tymi zaburzeniami, bo co do tego oczywiście mogła mieć rację. Opanowałem się, żeby mój głos brzmiał spokojnie.

– Dlaczego tak się unosisz, Diano? Ja również wiązałem z Clasem Greve pewne nadzieje, ale przecież

ludzie przez cały czas nas rozczarowują i nie spełniają naszych oczekiwań.

– Ale... ale ty się mylisz, nie widzisz tego? To jest właściwy człowiek!

Popatrzyłem na nią, próbując uśmiechać się z politowaniem.

– Posłuchaj, Diano. Jestem jednym z najlepszych w tym, czym się zajmuję. A mianowicie w ocenianiu i wybieraniu ludzi. Zdarza mi się popełnić błąd w życiu prywatnym... – Zauważyłem leciutkie drgnienie na jej twarzy. – Ale nigdy w pracy. Naprawdę nigdy.

Milczała.

– Padam ze zmęczenia – oświadczyłem. – Ostatniej nocy niewiele spałem. Dobranoc.

Leżąc w łóżku, wsłuchiwałem się w jej kroki na górze. Niespokojne, tam i z powrotem. Nie słyszałem głosów, ale wiedziałem, że zwykle tak chodzi, kiedy rozmawia przez komórkę. Przyszło mi do głowy, że to cecha pokoleń, które dorastały bez komunikacji bezprzewodowej. Rozmawiając przez telefon, poruszamy się, jakby wciąż zafascynowani tym, że to możliwe. Czytałem gdzieś, że współczesny człowiek poświęca na komunikację sześć razy więcej czasu niż nasi przodkowie. A więc komunikujemy się więcej, ale czy lepiej? Dlaczego na przykład nie skonfrontowałem Diany z tym, że wiem o jej wizycie w mieszkaniu Clasa

Greve? Ponieważ wiedziałem, że ona nie będzie mogła mi tego wyjaśnić, więc i tak pozostałyby mi jedynie przypuszczenia i domysły? Mogła na przykład powiedzieć, że to było przypadkowe spotkanie, zbieg okoliczności, ale ja bym wiedział, że to nieprawda. Żadna kobieta nie próbuje manipulować swoim mężem, żeby dał dobrze płatną pracę jakiemuś mężczyźnie tylko dlatego, że miała z nim przypadkowy seks.

Oczywiście były też inne powody, żeby się zamknąć. Dopóki udawałem, że nie wiem o Dianie i Grevem, nikt nie mógł mi zarzucić stronniczości w ocenie jego kandydatury, i zamiast zlecić rekomendację w imieniu Alfya Ferdinandowi, mogłem spokojnie przeżywać swoją małą żalospną zemstę. No i oczywiście musiałbym wytłumaczyć, skąd się wzięły moje podejrzenia. Mimo wszystko nie wchodziło w grę, bym wyznał Dianie, że jestem złodziejem, który regularnie włamuje się do cudzych mieszkań.

Obróciłem się w łóżku, wsłuchany w odgłos jej szpilek wystukujących do mnie alfabetem Morse'a monotonne niezrozumiałe sygnały. Chciałem spać. Chciałem śnić. Chciałem uciec. Obudzić się i o wszystkim zapomnieć. Bo to był oczywiście najważniejszy powód, dla którego nic jej nie powiedziałem. Dopóki pozostał niewypowiedziany, wciąż istniała możliwość, że możemy zapomnieć. Że możemy zasnąć i śnić, a kiedy się obudzimy, tanto zniknie, zmieni się w abstrakcję, w sceny z czegoś, co istniało tylko w naszych głowach. Podobnie jak

zdradzieckie myśli i fantazje, będące codzienną zdradą we wszystkich, nawet tych najbardziej oddanych związkach.

Uświadomiłem sobie, że jeśli rozmawia teraz przez komórkę, to znaczy, że musiała załatwić sobie nową, a widok tego nowego aparatu będzie konkretnym, praktycznym i niepodważalnym dowodem na to, że to co się stało, nie było wyłącznie snem.

Kiedy wreszcie przyszła do sypialni i zaczęła się rozbierać, udałem, że śpię. Ale w bladym świetle księżycy sączącym się przez zasłony zdążyłem zobaczyć, że wyłączyła telefon, zanim wrzuciła go do kieszeni spodni. I że to ten sam aparat. Czarny, od Prady. A więc może jednak tylko mi się to przyśniło? Czułem, jak sen mnie ogarnia i zaczyna wciągać w siebie. A może kupiła identyczny? Opadanie ustało. Albo on znalazł jej komórkę i znów się spotkali. Zacząłem się wznosić, znów przebiłem się na powierzchnię i już wiedziałem, że tej nocy nie zasnę.

Około północy ciągle nie spałem i wydało mi się, że przez uchylone okno usłyszałem w garażu jakiś dźwięk. To mógł być Ove, który przyszedł po Rubensa. Ale chociaż próbowałem, nie byłem w stanie usłyszeć, czy wyszedł. Może jednak w końcu zasnąłem. Śnił mi się świat pod wodą. Szczęśliwi, uśmiechnięci ludzie – milczące kobiety i dzieci, z bulgotem wypuszczające z ust banieczki z tekstem. Nic, co wskazywałoby na koszmar, który czekał mnie po drugiej stronie snu.

11. KURARA

Wstałem o ósmej i sam zjadłem śniadanie. Jak na sen niesprawiedliwych Diana spała zadziwiająco mocno. Ja zmrużyłem oko tylko na parę godzin. Za piętnaście dziewiąta zszedłem do garażu. Z otwartego okna w sąsiedztwie słychać było Turboneger. Rozpoznałem zespół nie po muzyce, tylko po słabej angielskiej wymowie. Lampa na suficie zapaliła się automatycznie, oświetlając moje volvo S80, które majestatycznie, lecz poddańczo oczekiwało na swego pana. Ująłem klamkę i w tym samym momencie drgnąłem. Za kierownicą ktoś siedział! Kiedy pierwsze przerażenie minęło, dostrzegłem podłużną jak pióro wiosła twarz Ovego Kjikeruda. Nocna praca w ostatnich dobach najwyraźniej nadwerżyła jego siły, ponieważ miał zamknięte oczy i rozchylone usta. Musiał mocno spać, bo nawet kiedy otworzyłem drzwiczki, nie zareagował.

Użyłem tonu, jakiego nauczyłem się podczas trzymiesięcznego kursu podoficerskiego, na który zgłosiłem się wbrew woli ojca.

– Dzień dobry, Kjikerud!

Nie drgnęła mu nawet powieka. Już się nadałem, żeby odgwizdać pobudkę, kiedy zauważyłem, że brzeg podsufitki jest odgięty i obraz Rubensa wystaje. Nagły chłód, taki jak wtedy, gdy niewielka wiosenna chmurka na moment zasłoni słońce, przypawił mnie o dreszcz. I zamiast dalej hałasować, lekko ująłem Ovego za ramię i delikatnie nim potrząsałem. Reakcji wciąż nie było.

Szarpnąłem mocniej. Głowa bezwolnie zatańczyła na ramionach.

Przyłożyłem mu dwa palce do szyi w miejscu, gdzie w moim przekonaniu biegła tętnica, lecz trudno było stwierdzić, czy puls, który wyczułem, płynie z jego, czy też z mojego, nagle opętańczo walącego serca. Ale Ove był zimny. Chyba za zimny. Trzęsącymi się palcami uniosłem mu powiekę. To przesądziło o wszystkim. Mimowolnie odskoczyłem do tyłu, widząc czarne źrenice wpatrujące się we mnie bez życia.

Zawsze uważałem się za osobę, która w sytuacjach krytycznych jest w stanie trzeźwo myśleć i nie wpada w panikę. Być może dlatego, że w moim życiu właściwie nie było sytuacji dostatecznie krytycznych, by w nią wpaść. Oczywiście oprócz tamtego razu, kiedy Diana zaszła w ciążę, bo wtedy rzeczywiście spanikowałem. Może więc jednak byłem panikarzem? W każdym razie teraz pojawiły się irracjonalne myśli. Na przykład taka, że przydałoby się umyć samochód. A koszula Ovego Kjikeruda z naszytą metką Diora została prawdopodobnie kupiona podczas wakacji, które spędziłem w Tajlandii. I że Turboneger tak naprawdę jest tym, za co nikt go nie uważał, a mianowicie zespołem niezłych zdolniaków. Ale rozumiałem, co się dzieje. Wiedziałem, że tracę kontrolę. Mocno zacisnąłem oczy, starając się wydmuchać myśli z głowy. Kiedy je otworzyłem, musiałem przyznać, że zdążył się we mnie obudzić cień nadziei. Ale jednak nie. Rzeczywistość się nie zmieniła. Zwłoki Ovego Kjikeruda wciąż

znajdowały się w samochodzie.

Pierwsza konkluzja była prosta. Ove Kjikerud musi stąd zniknąć. Jeśli ktoś go tutaj znajdzie, wszystko wyjdzie na jaw. Zdecydowanym ruchem pchnąłem go na kierownicę, nachyliłem się do jego pleców, objąłem pod pachami i zacząłem wyciągać. Był ciężki, a ręce uniosły mu się do góry, jakby usiłował się wyslizgnąć z mojego uścisku. Spróbowałem uchwycić go lepiej, ale było tak samo. Jego ręce uderzyły mnie w twarz, a palec zaczepił o kącik moich ust. Poczulem drapiący po języku ogryziony paznokieć i zacząłem pluć, nie udało mi się jednak pozbyć gorzkiego smaku nikotyny. Upuściłem ciało na posadzkę garażu i otworzyłem bagażnik, ale kiedy chciałem dźwignąć Ovego, uniosła się tylko kurtka i podrabiana koszula, a on dalej siedział na cemencie. Zakląłem. Jedną ręką złapałem go od środka za pasek spodni, szarpnąłem i wrzuciłem głową do przodu do bagażnika o pojemności czterystu osiemdziesięciu litrów. Miętko uderzyła o spód. Zatrzasnąłem pokrywę i otrzepałem ręce w geście, jaki często się widuje po dobrze wykonanej fizycznej robocie.

Podszedłem do siedzenia kierowcy. Nigdzie nie było śladów krwi – ani na tapicerce, ani na macie do siedzenia z drewnianych kulek, takiej, jakich używają taksówkarze na całym świecie. Na co, do jasnej cholery, umarł Ove? Na zawał serca? Udar mózgu? Przedawkował coś? Uznałem, że amatorskie stawianie diagnozy byłoby w tej chwili marnowaniem czasu.

Usiadłem za kierownicą i poczułem, że drewniane kulki, o dziwo, zachowały w sobie ciepło jego ciała. Mata była jedyną wartościową rzeczą, jaką odziedziczyłem po ojcu, używał jej ze względu na hemoroidy, a ja po to, by zapobiec temu świństwu, na wypadek gdybym miał dziedziczne skłonności. Nagły ból w pośladku sprawił, że aż podskoczyłem, uderzając kolanem w kierownicę. Wygramoliłem się z samochodu. Ból już minął, ale bez wątpienia poczułem ukłucie. Nachyliłem się nad siedzeniem, jednak w przyćmionym świetle w kabinie nie zauważyłem nic nadzwyczajnego. Czyżby to jakaś na wpół zdechła osa? Nie, tak późną jesienią to niemożliwe. Między drewnianymi kulkami coś błysnęło. Pochyliłem się niżej. Spomiędzy kulek wystawał cieniutki, ledwie widoczny metalowy czubek. Czasami zdarza się, że mózg pracuje zbyt szybko na to, by świadomość była w stanie dotrzymać mu kroku. To jedyne wytłumaczenie słabego przeczucia, które sprawiło, że serce zaczęło galopować mi w piersi, jeszcze zanim podniosłem matę i zobaczyłem, co to jest.

Rzeczywiście miało wielkość winogrona. I było gumowe, tak jak mówił Greve. Nie całkiem okrągłe, bo dno okazało się spłaszczone, zapewne po to, by metalowa igła zawsze sterczała w górę. Przyłożyłem kulkę do ucha i potrząsałem nią, ale nic nie usłyszałem. Na moje szczęście cała zawartość została wstrzyknięta w ciało Ovego Kjikeruda, kiedy usiadł na gumowej piłeczce. Potarłem pośladek, sprawdzając. Trochę kręciło mi się w głowie, ale komu by się nie kręciło tuż

po zapakowaniu do bagażnika ciała kumpla i ukłuciu w tyłek cholerną igłą z kurarą, śmiercionośną trucizną, która według wszelkiego prawdopodobieństwa była przeznaczona dla mnie? Poczulem, że zbiera mi się na śmiech. Lęk czasami właśnie tak na mnie działa. Zamknąłem oczy i odetchnąłem głęboko. Skoncentrowałem się. Zamiast śmiechu pojawił się gniew. Jasna cholera, to niewiarygodne! A może? Czy nie czegoś takiego należało się spodziewać po brutalnym psychopacie, jakim był Clas Greve, pragnący usunąć z drogi męża kochanki? Mocno kopnąłem w oponę. Raz, potem drugi. Na czubku mojego buta od Johna Lobba pojawiła się szara plama.

Ale w jaki sposób Greve dostał się do samochodu? Jak, do diabła...

Drzwi do garażu się otworzyły i odpowiedź wmaszerowała do środka.

12. NATASZA

Od drzwi do garażu patrzyła na mnie Diana. Najwyraźniej ubierała się w pośpiechu, a włosy sterczały jej na wszystkie strony. Odezwała się ledwie słyszalnym szeptem:

– Kochanie, co się stało?

Wpatrywałem się w nią, czując, że to samo pytanie przebiega mi przez mózg. I czułem też, że moje złamane już serce pod wpływem nasuwających się odpowiedzi rozpada się na jeszcze drobniejsze kawałeczki.

Diana. Moja Diana. To nie mógł być nikt inny. To ona musiała umieścić truciznę na siedzeniu. Współdziałała z Grevem.

– Zauważyłem igłę wystającą z siedzenia, kiedy miałem usiąść – powiedziałem, podsuwając jej gumową piłeczkę.

Podeszła do mnie i ostrożnie wzięła w dwa palce zabójczą broń. Ta ostrożność aż nadto rzucała się w oczy.

– Z a u w a ż y ł e ś tę igłę? – spytała. Nie potrafiła ukryć niedowierzania w głosie.

– Mam przenikliwy wzrok – odparłem, ale ona chyba nie uchwyciła gorzkiej dwuznaczności.

– Szczęście, że na tym nie usiadłeś. – Przyjrzała się bacznie przedmiotowi, który trzymała w ręku. – Co to właściwie jest?

A jednak była profesjonalistką.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Po co tu przyszedłaś?

Popatrzyła na mnie, usta jej się rozchyliły i przez moment miała na twarzy pustkę.

– Ja...

– Tak, kochanie?

– Leżałam w łóżku i usłyszałam, że schodzisz do garażu, ale nie zapalasz silnika. Przestraszyłam się, że coś ci się stało. I w pewnym sensie miałam rację.

– Stało i nie stało. To przecież tylko mała igła.

– Takie igły potrafią być niebezpieczne, kochanie.

– Naprawdę?

– Nie wiesz o tym? HIV, wścieklizna, rozmaite wirusy i infekcje.

Zbliżyła się o krok. Rozpoznawałem ruchy, łagodniejsze spojrzenie, lekko wysunięte wargi. Zamierzała mnie objąć. Coś ją jednak powstrzymało. Może coś w moim spojrzeniu.

– No tak – powiedziała, popatrzyła na piłeczkę z igłą i odłożyła ją na blat warsztatu, którego nigdy nie zamierzałem używać. Potem podeszła już szybko, otoczyła mnie ramionami, leciutko się garbiąc, żeby zniwelować różnicę wzrostu, wtuliła brodę w moją szyję i lewą dłoń przeczesała mi włosy. – Trochę się o ciebie boję, skarbie.

Miałem wrażenie, że obejmuje mnie obca osoba. Wszystko w niej było teraz inne, nawet zapach. Może pachniała nim? Ohyda! Jej dłoń poruszała się w przód i w tył, masującym ruchem, jakby wcierała mi we włosy szampon, jakby jej zachwyty moją czupryną akurat w tym momencie osiągnął nowe wyżyny. Miałem ochotę ją uderzyć. Płaską dłonią wymierzyć jej policzek. Płaską, żebym poczuł kontakt z jej skórą, uchwycił jej ból i szok.

Zamknąłem jednak tylko oczy, nie przerywając i pozwalając, by mnie masowała, zmiękczała, sprawiała mi przyjemność. Może jestem ciężko chorym człowiekiem.

– Muszę iść do pracy – stwierdziłem, kiedy zaczęło mi się wydawać, że ona nigdy nie skończy. – Powinienem mieć tę rekomendację gotową na dwunastą.

Ale Diana nie chciała mnie puścić i w końcu musiałem sam uwolnić się z jej objęć. Dostrzegłem jakiś błysk w kącie jej oka.

– O co chodzi? – spytałem.

Nie chciała odpowiedzieć, tylko lekko pokręciła głową.

– Diano...

– Życzę ci miłego dnia – szepnęła z lekkim drżeniem w głosie. – Kocham cię.

Już jej nie było.

Chciałem za nią pobiec, ale stałem. Jaki jest sens

pocieszania morderczyni? Czy w ogóle cokolwiek ma sens? Wsiadłem do samochodu, z przeciągłym sykiem wypuściłem oddech z płuc i popatrzyłem na siebie w lusterku.

– Musisz przeżyć, Roger – szepnąłem. – Weź się w garść i przeżyj.

Wepchnąłem Rubensa z powrotem pod tapicerkę na suficie, zamknąłem szczelinę, włączyłem silnik. Słyszając, że brama garażu podnosi się za mną, wycofałem samochód i wolno ruszyłem krętą drogą w stronę miasta.

Samochód Ovego stał zaparkowany na chodniku czterysta metrów dalej. Dobrze, mógł tu stać całymi tygodniami. Nikt nie zareaguje, dopóki nie spadnie śnieg i nie pojawią się pługi. Trochę bardziej martwiło mnie to, że mam w bagażniku zwłoki, których muszę się pozbyć. Rozważyłem problem. Paradoksalnie moja ostrożność w kontaktach z Ovem Kjikerudem mogła teraz zostać nagrodzona. Gdy tylko uda mi się gdzieś wyrzucić ciało, nikt mnie już z nim nie powiąże. Ale gdzie?

Pierwszym rozwiązaniem, jakie przyszło mi do głowy, była spalarnia śmieci na Grønmo. Najpierw jednak musiałbym znaleźć coś, w co mógłbym owinąć zwłoki, podjechać pod samą spalarnię, otworzyć bagażnik, wyciągnąć ciało na rampę i stamtąd wrzucić je w morze ognia. Wada takiego rozwiązania polegała na tym, że wokół mnie mogliby się znaleźć inni ludzie,

przede wszystkim pracownicy zatrudnieni do pilnowania spalarni. A może spalić zwłoki w jakimś odludnym miejscu? Podobno ludzkie ciało źle się pali, czytałem, że w Indiach przeciętne spalenie zwłok szacuje się na dziesięć godzin. Czy nie lepiej wrócić do garażu i po wyjściu Diany do galerii nareszcie wykorzystać ten warsztat stolarski i piłę, którą teść bez wyraźnej ironii ofiarował mi w prezencie gwiazdkowym? Pociąć zwłoki na odpowiednie kawałki, owinać w folię, dołożyć kamień albo dwa i zatopić paczki w którymś z setek leśnych jeziorzek w okolicy Oslo.

Kilka razy uderzyłem się pięścią w czoło. O czym ja, do jasnej cholery, myślę? O rozkawałkowaniu zwłok? Po co? Po pierwsze, czy nie oglądałem dość odcinków *CSI*, żeby wiedzieć, że sam bym się prosił o odkrycie? Plamka krwi tu, ślad zostawiony przez ząbki piły od teścia tam, i już by mnie mieli. Po drugie, po co się wysilać przy ukrywaniu zwłok? Dlaczego po prostu nie poszukać w miarę odludnego mostu nad rzeką i nie przerzucić ziemskich szczątków Kjikeruda przez balustradę? Możliwe, że ciało wypłynie i zostanie odnalezione. Co z tego? I tak nic nie powiąże mnie z zabójstwem. Nie znam żadnego Ovego Kjikeruda i nawet nie potrafię prawidłowo napisać słowa „kurara”.

Wybór padł na Maridalen. To zaledwie dziesięć minut jazdy od miasta, mnóstwo jeziorzek i rzek, a poza tym przed południem w środku tygodnia jest tam raczej pusto. Zadzwoiłem do Idy-Ody i zapowiedziałem, że

będę późno.

Po półgodzinnej jeździe minąłem kilka milionów metrów sześciennych lasu i dwie z tych zapyziałych wiosek, które leżą w szokująco bliskiej odległości od stolicy Norwegii. W końcu przy zwirowej bocznej drodze znalazłem most, jakiego szukałem. Zatrzymałem samochód i odczekałem pięć minut. Nie było widać ani słychać ludzi, samochodów czy domów. Tylko od czasu do czasu rozlegał się zimny krzyk jakiegoś ptaka. Czyżby kruka? W każdym razie czarnego. Równie czarnego, jak nieruchoma tajemnicza woda, odległa zaledwie o metr od drewnianego mostu. Idealnie.

Wysiadłem i otworzyłem bagażnik. Owe leżał tak, jak go wrzuciłem, twarzą w dół, ręce wzdłuż boków, zgięty na wysokości bioder z wypiętym tyłkiem. Rozejrzałem się po raz ostatni, żeby się upewnić, czy jestem sam. W końcu zacząłem działać. Szybko i skutecznie.

Plusk, kiedy ciało rozcięło powierzchnię wody, zabrzmiał zaskakująco skromnie. Ledwie zafalowała, jakby jezioro postanowiło być moim sprzymierzeńcem w tym mrocznym działaniu. Wychyliłem się przez balustradę i zapatrzyłem w milczącą zamkniętą wodę. Próbowałem wymyślić, co mam dalej zrobić. I kiedy tak stałem, nagle zobaczyłem, że Ove Kjikerud unosi w moją stronę bladozieloną twarz z szeroko otwartymi oczami, które pragnęły wydostać się na powierzchnię. Topielec z ustami pełnymi mułu i wodorostami we włosach. Ledwie zdążyłem pomyśleć, że potrzebna mi

whisky na uspokojenie nerwów, kiedy twarz topielca całkiem wyłoniła się z wody i dalej zmierzała w moją stronę.

Zacząłem wrzeszczeć. Trup też wrzeszczał chrapliwie, wydając z siebie dźwięk, który zdawał się pozbawiać tlenu całe otaczające nas powietrze.

Potem znów zniknął w ciemności. Co się stało? Bo że stało się, było, do cholery, jasne. Echo wciąż odbijało się od wierzchołków drzew.

Przeskoczyłem przez balustradę, wstrzymując oddech w oczekiwaniu, aż ciało otoczy lodowata woda. Uderzenie od pięt przeniosło się aż do głowy. Dopiero po chwili zorientowałem się, że mam grunt pod nogami, a woda sięga mi do pasa. To znaczy ten grunt nie był stały, bo pod jedną stopą coś się poruszało. Zanurzyłem ręce w mulistej wodzie, złapałem coś, co w pierwszej chwili wziąłem za wodorosty, dopóki nie poczułem twardości czaszki, i pociągnąłem. Twarz Ovego Kjikeruda znów się ukazała. Mruganiem starał się pozbyć wody z oczu i zaraz znów rozległ się chrapliwy krzyk człowieka, który za wszelką cenę usiłuje złapać powietrze.

Tego było już za wiele. Przez chwilę miałem ochotę puścić go i uciec.

Ale przecież nie mogłem, prawda?

W każdym razie zacząłem go ciągnąć w stronę lądu przy końcu mostu. Przytomność Ovego znów zrobiła sobie *time out* i musiałem walczyć o utrzymanie jego

głowy nad wodą. Kilkakrotnie traciłem równowagę na miękkim śliskim dnie, chybotając się pod moimi zniszczonymi butami od Johna Lobba. Po kilku minutach udało mi się jednak wtarabanić nas obu na brzeg, a stamtąd do samochodu.

Oparłem czoło o kierownicę i próbowałem oddychać.

Pieprzony ptak wrzeszczał drwiąco, kiedy koła zaszorowały po drewnianym moście, wreszcie nas stamtąd uwożąc.

Wspominałem już, że nigdy nie byłem u Ovego w domu, ale miałem jego adres. Otworzyłem schowek na rękawiczki, wyjąłem GPS i wstukałem nazwę ulicy i numer domu, ledwie uciekając przed nadjeżdżającym z przeciwka samochodem. GPS kalkulował, wyciągał wnioski i minimalizował długość trasy. Analitycznie i bez emocjonalnego zaangażowania. Nawet łagodny opanowany kobiecy głos, który mnie prowadził, wydawał się kompletnie niewzruszony okolicznościami. Tłumaczyłem sobie, że ja też powinienem się tak zachowywać. Działać jak maszyna i nie popełniać głupich błędów.

Pół godziny później byłem już pod właściwym adresem na wąskiej cichej uliczce. Mały stary domek Kjikeruda stał tuż pod ciemnozieloną ścianą świerkowego lasu. Zatrzymałem samochód przy schodach, obejrzałem domek i doszedłem do wniosku,

że brzydka architektura wcale nie jest nowoczesnym wynalazkiem.

Ove siedział na siedzeniu obok mnie, obrzydliwy jak duch topielca, trupiobladły i tak mokry, że w ubraniu mu pluskało, kiedy obmacywałem jego kieszenie, szukając kluczy.

Potrząsnąłem nim, żeby go ocucić, spojrzał na mnie zamglonym spojrzeniem.

– Możesz iść? – spytałem.

Patrzył na mnie, jakbym był obcą istotą. Szczękę wysunął jeszcze bardziej niż zwykle, przypominał skrzyżowanie kamiennych figur z Wyspy Wielkanocnej z Bruce'em Springsteenem.

Obszedłem auto, wyciągnąłem go i podpierając, pomogłem mu dojść do drzwi. Udało mi się je otworzyć pierwszym wybranym na chybił trafił kluczem, pomyślałem więc, że może wreszcie pech się odwraca, i wciągnąłem Ovego do środka.

Już przechodziłem dalej w głąb domu, gdy nagle sobie to uświadomiłem. Alarm. Zdecydowanie nie miałem ochoty na zderzenie z gromadą ochroniarzy z Tripolis. Ani na transmisję na żywo przedstawiającą mnie z ledwie dychającym Ovem.

– Jakie jest hasło? – wrzasnąłem mu do ucha.

Drgnął, o mało nie wyslizgując mi się z objęć.

– Ove, hasło!

– He?

– Muszę wyłączyć alarm, zanim się uruchomi!

– Natasza – mruknął z zamkniętymi oczami.

– Ove, weź się w garść!

– Natasza...

– Hasło! – Trzepnąłem go mocno. Natychmiast otworzył oczy.

– Przecież ci mówię, głupku! Natasza!

Puściłem go i już tylko słyszałem, jak upada na podłogę, a sam biegłem do wyjścia. Skrzynekę z alarmem znalazłem ukrytą za drzwiami. Z czasem nauczyłem się, gdzie monterzy z Tripolis lubią je instalować. Nieduża czerwona lampka mrugała, pokazując, że odlicza sekundy do uruchomienia alarmu. Zacząłem wstukiwać imię rosyjskiej dziwki i w momencie, gdy zostało mi tylko ostatnie „A”, uświadomiłem sobie, że Ove jest dyslektykiem. Czort jeden wie, jak mógł wpisać jej imię. Ale moje piętnaście sekund dobiegało już końca i było za późno, żeby go pytać. Wcisnąłem więc „A”, zamknąłem oczy i spałem się w oczekiwaniu na dźwięk. Czekałem. Nic nie słysząc. Otworzyłem oczy. Czerwona lampka przestała migać. Odetchnąłem z ulgą i postanowiłem nie myśleć o tym, z ilusekundowym marginesem działałem.

Kiedy znów wszedłem w głąb domu, Ove zniknął. Po mokrych śladach dotarłem do jakiegoś pomieszczenia. Najwyraźniej służyło jako pokój dzienny, gabinet,

jadalnia i sypialnia. W każdym razie pod oknem w jednym końcu znajdowało się podwójne łóżko, w drugim na ścianie wisiał telewizor plazmowy, a na środku stał niski stolik z resztkami pizzy w kartonie. Do dłuższej ściany był przykręcony blat, leżała na nim spiłowana wiatrówka, nad której modyfikacją Ove najwyraźniej pracował.

Ove doczołgał się do łóżka. Leżał w nim teraz i jęczał. Zakładałem, że z bólu. Nie mam pojęcia, co kurara robi z ciałem człowieka, ale rozumiem, że nie może to być nic przyjemnego.

– Jak się czujesz? – spytałem, podchodząc bliżej. Kopnąłem coś, co się potoczyło po zniszczonym parkiecie, spojrzałem w dół i zobaczyłem, że podłoga wokół łóżka jest zasypana pustymi łuskami po nabojach.

– Umieram – jęknął. – Co się stało?

– W samochodzie usiadłeś na zastrzyku z kurarą.

– K u r a r a! – Uniósł głowę, wpatrując się we mnie.

– Masz na myśli tę truciznę? Chcesz powiedzieć, że mam w sobie pieprzoną kurarę?

– Tak. Ale najwyraźniej w niedostatecznej ilości.

– W niedostatecznej?

– Żeby cię uśmierciła. Musiał źle obliczyć dawkę.

– Kto? Co za on?

– Clas Greve.

Głowa Owego z powrotem opadła na poduszkę.

– Jasny piorun! Nie mów, że spieprzyłeś robotę! Wydałeś nas, Brown?

– Skąd! – odparłem, przyciągając sobie krzesło do nóg łóżka. – Z tym zastrzykiem w siedzeniu samochodowym... chodziło o coś innego.

– Coś innego niż to, że okradliśmy faceta? To znaczy, do cholery, co?

– Wolałbym o tym nie mówić. Ale jemu chodziło o mnie.

– Kurara! – jęknął Ove. – Muszę jechać do szpitala, Brown, bo zdycham! Dlaczego, u diabła, przywiozłeś mnie tutaj? Dzwon po pogotowie! – Ruchem głowy wskazał na nocny stolik, na coś, co w pierwszej chwili uznałem po prostu za plastikową rzeźbę wyobrażającą dwie nagie kobiety w tak zwanej pozycji 69. Teraz zrozumiałem, że to telefon.

Przełknąłem ślinę.

– Nie możesz jechać do szpitala, Ove.

– Nie mogę? Muszę. Nie słyszysz, że umieram, kapuściany łbie? Umieram, koniec ze mną!

– Posłuchaj mnie! Kiedy się zorientują, że masz w sobie kurarę, natychmiast zadzwonią na policję. Kurary nie wypisują na zwykłą receptę. Mówimy o najbardziej jadowitej truciznie na świecie, z tej samej półki co cyjanek i węglik. Natychmiast trafisz na przesłuchanie do KRIPOS.

– I co z tego? Nic nie powiem.

– A jak się będziesz tłumaczyć?

– Coś wymyślę.

Pokręciłem głową.

– Nie masz szans, Ove. Zwłaszcza kiedy uruchomią Inbaua, Reida i Buckleya.

– Co?

– Załamiesz się. Musisz zostać tutaj, nie rozumiesz? Przecież już się lepiej czujesz.

– A co ty, do cholery, o tym wiesz, Brown? Jesteś może lekarzem? Nie, jesteś pieprzonym headhunterem, a mnie płuca dosłownie płoną. Mam dziurę w śledzionie, za godzinę zastrajkują nerki. Muszę natychmiast jechać do cholernego szpitala!

Uniósł się w łóżku, ale ja się poderwałem i przycisnąłem go do materaca.

– Posłuchaj. Pójdę do lodówki po mleko. Mleko neutralizuje trucizny. W szpitalu nic więcej nie będą mogli dla ciebie zrobić.

– Oprócz wlewania we mnie mleka?

Znów próbował się podnieść, ale mocno go pchnąłem i nagle jakby uszło z niego powietrze. Żrenice schowały się w czaszce, usta się otworzyły, a głowa opadła na poduszkę. Nachyliłem się nad nim, ale chuchnął mi w twarz cuchnącym papierosowym oddechem. Zacząłem więc krążyć po mieszkaniu, szukając czegoś, co pomogłoby uśmierzyć ból.

Znalazłem jedynie kule i proch. Dosłownie. Apteczkę, przepisowo ozdobioną czerwonym krzyżem, wypełniały pudełka zawierające według opisu naboje kalibru dziewięć milimetrów. W szufladach w kuchni było więcej pudełek z amunicją, niektóre z napisem *blanks*. Na kursie podoficerskim nazywaliśmy je czerwonymi pierdnięciami. Ślepaki. To właśnie nimi Ove musiał strzelać do programów telewizyjnych, które mu się nie podobały. Chory facet. Otworzyłem lodówkę i na tej samej półce co karton z odtłuszczonym mlekiem firmy Tine zobaczyłem błyszczący srebrzysty pistolet. Wyjąłem go. Rękojeść była lodowata. W stali wygrawerowano markę. Glock 17. Zważyłem broń w dłoni. Najwyraźniej nie miała żadnego zabezpieczenia, a jednak w komorze tkwił nabój. Innymi słowy z pistoletu można było strzelić od razu. Na przykład będąc w kuchni, kiedy pojawi się niespodziewany gość. Popatrzyłem na kamerę na suficie i uświadomiłem sobie, że Ove Kjikerud cierpi na o wiele większą paranoję, niż do tej pory mi się wydawało. I to być może całkiem profesjonalna diagnoza.

Zabrałem broń razem z kartonem mleka. Mogłem przynajmniej zaszachować nią Ovego, gdyby znów się zbuntował.

Stanąłem w drzwiach do pokoju i zorientowałem się, że Ove siedzi na łóżku. Omdlenie było tylko przedstawieniem. W rękę trzymał wygiętą plastikową kobietę z wysuniętym językiem.

– Musicie przysłać karetkę – powiedział głośno i wyraźnie do słuchawki, patrząc na mnie ze złością. Uważał, że może sobie na to pozwolić, ponieważ w drugiej ręce trzymał broń, którą znałem z filmów. Skojarzyła mi się natychmiast z „chłopakami z sąsiedztwa”, wojnami gangów, przestępczością *black on black*. Krótko mówiąc, uzi. Pistolet maszynowy, nieduży i poręczny. Brzydki i tak skutecznie śmiertelny, że nawet przez chwilę przez to niezabawny. Wycelowany we mnie.

– Nie! – krzyknąłem. – Nie rób tego, Ove! Oni zaraz zadzwonią na poli...

Wypalił.

Zabrzmiało to jak popcorn strzelający w garnku. Zdażyłem to sobie skojarzyć, zdażyłem też pomyśleć, że oto muzyka, przy której wtórze umrę. Spojrzałem na swój brzuch i niżej na siebie. Zobaczyłem strugę krwi wytryskującej mi z boku i uderzającej w karton z mlekiem, który trzymałem w ręku. Biała krew? Uświadomiłem sobie, że musi być odwrotnie, dziura powstała w kartonie. Automatycznie, jakby z rezygnacją uniosłem pistolet, lekko zdumiony, że wciąż mogę to zrobić, i nacisnąłem spust. Odgłos uruchomił we mnie wściekłość. W każdym razie strzał miał większą potencję niż pieprzony uzi. A izraelski pedalski pistolet maszynowy gwałtownie ucichł. Opuściłem swoją broń akurat w porę, by zobaczyć, że Ove patrzy na mnie ze zmarszczką na czole. A tuż nad tą zmarszczką miał

niedużą okrągłą czarną dziurkę. Za moment głowa opadła mu do tyłu i uderzyła w poduszkę z miękkim stuknięciem. Moja wściekłość zniknęła jak zdmuchnięta. Nie przestawałem mrugać, jakbym miał na siatkówce przewijający się obraz z telewizora. Coś mi mówiło, że nie będzie już więcej *come backów* Ovego Kjikeruda.

13. METAN

Jechałem drogą E6, wciskając gaz do dechy. Deszcz walił o przednią szybę, a wycieraczki w mercedesie 280SE Ovego Kjikeruda rozpaczliwie przechylały się raz w jedną, raz w drugą stronę. Był kwadrans po pierwszej. Cztery godziny, odkąd wstałem, a już zdążyłem ujść cało z próby zabójstwa dokonanej przez żonę, wrzucić zwłoki partnera do jeziora, te same zwłoki wyciągnąć, tylko w postaci żywego człowieka, jedynie po to, by odkryć, że ten żywy próbował mnie zastrzelić. Następnie miałem farta i udało mi się strzelić z pistoletu, żeby on znów stał się zwłokami, a ja mordercą. A wciąż byłem zaledwie w połowie drogi do Elverum.

Na asfalcie krople deszczu ubijały pianę. Machinalnie nachyliłem się nad kierownicą, żeby nie przeoczyć drogowskazu oznajmiającego skręt, bo miejsce, do którego zmierzałem, nie miało żadnego adresu możliwego do wstukania w GPS Pathfinder.

Przed opuszczeniem domu Ovego Kjikeruda przebrałem się tylko w suche ubranie, które znalazłem w szafie, zabrałem kluczyki do jego samochodu i

opróżniłem portfel z gotówki i kart kredytowych. Zostawiłem go na łóżku, tak jak leżał. Nawet gdyby alarm się włączył, łóżko i tak było w całym domu jedynym miejscem niepilnowanym przez żadną kamerę. Zabrałem ze sobą glocka, ponieważ uznałem, że rozsądnie będzie nie pozostawiać narzędzia zbrodni na miejscu przestępstwa. Wziąłem też pęk kluczy, razem z tym do naszego stałego miejsca spotkań, do chaty pod Elverum. To było miejsce kontemplacji, planowania i snucia wizji. Lecz przede wszystkim miejsce, gdzie nikt nie będzie mnie szukał, ponieważ nikt nie wiedział o jego istnieniu. Poza tym tylko tam mogłem pojechać, jeśli nie chciałem wciągać w sprawę Lotte. Zresztą, do cholery, co to za sprawa? No cóż, akurat w tej chwili ścigał mnie szalony Holender, którego profesją było właśnie ściganie ludzi. A wkrótce pewnie również policja, pod warunkiem że okaże się odrobinę bystrzejsza, niż uważałem. Jeśli chciałem mieć jakąś szansę, musiałem im cokolwiek utrudnić. Na przykład zmienić samochód, bo mało co identyfikuje człowieka bardziej jednoznacznie niż siedmiocyfrowy numer rejestracyjny. Kiedy usłyszałem piśnięcie systemu alarmowego, który uruchomił się automatycznie po zamknięciu drzwi domu Ovego, pojechałem w kierunku własnego domu. Miałem świadomość, że Greve może tam na mnie czekać. Zaparkowałem więc na bocznej ulicy spory kawałek dalej. Mokre ubranie włożyłem do bagażnika, wyjąłem Rubensa zza podsufitki i schowałem go do teczki, a potem zamknąłem samochód

i odszedłem stamtąd. Wóz Ovego zastałem tam, gdzie widziałem go rano. Położyłem teczkę na siedzeniu pasażera i wziąłem kurs na Elverum.

Już był zjazd. Pojawił się nagle, musiałem się skupić, żeby hamować ostrożnie. Kiepska widoczność, warstwa wody, łatwo w takiej sytuacji zrobić z samochodu harmonię, a w tej chwili nie potrzebowałem ani gliniarzy, ani złamanego kręgosłupa.

Nagle znalazłem się na wsi. Kłębki mgły wisały nad gospodarstwami i polami falującymi po obu stronach drogi, która stopniowo się zwężała i stawała coraz bardziej kręta. Jechałem w pióropuszu wody wzbijanym przez opony tira z reklamą fabryki kuchni Sigdal i prawdziwą ulgę przyniósł mi następny skręt, od którego miałem już drogę tylko dla siebie. Coraz większych dziur w asfalcie przybywało, za to coraz mniejszych gospodarstw było mniej. Trzeci skręt. Gruntowa droga. Czwarty. Pieprzone pustkowie. Ciężkie od deszczu, zwisające nisko gałęzie szorowały o samochód niczym palce ślepcy usiłującego zidentyfikować nieznanego. Po dwudziestu minutach jazdy w ślimaczym tempie zatrzymałem się. Tyle samo czasu minęło, odkąd ostatnio widziałem jakiś dom.

Wciągnąłem na głowę kaptur bluzy Ovego i wybiegłem na deszcz. Minąłem stodołę z dziwnie krzywą przybudówką. Zdaniem Ovego przekrzywienie wynikało stąd, że Sindre Aa, zgorzkniały wieśniak odludek, który tu mieszkał, był tak skąpy, że postawił

przybudówkę bez fundamentów, więc z biegiem lat zapadała się w glinę centymetr po centymetrze. Osobiście nigdy nie rozmawiałem z tym draniem. Zawsze zajmował się tym Ove, ale parę razy widziałem Sindrego z daleka i od razu rozpoznałem zgarbioną chudą postać stojącą na schodkach domu. Bóg jeden wie, jak mógł usłyszeć nadjeżdżający samochód w tej ulewie. Przy nogach kręcił mu się tłusty kot.

– Dzień dobry! – zawołałem, jeszcze dość daleko od schodów.

Żadnej odpowiedzi.

– Dzień dobry, Aa! – powtórzyłem.

Wciąż bez odzewu.

Zatrzymałem się w deszczu u stóp schodów i czekałem. Kot zszedł do mnie. A mnie się wydawało, że koty nienawidzą deszczu. Miał migdałowe oczy, tak jak Diana, i łąsił się do mnie jak do starego znajomego. A może jak do zupełnie obcego. Chłop opuścił strzelbę. Ove twierdził, że Aa zamontował na starej giwerze celownik optyczny, żeby sprawdzać, kto idzie, bo był za chytry na sprawienie sobie prawdziwej lornetki. Ale z tego samego powodu nigdy nie kupił amunicji, więc podobno strzelba była całkowicie niegroźna. Przypuszczam, że procedura ze strzelbą odnosiła również pewien zamierzony skutek w kwestii ograniczania liczby gości. Aa splunął przez balustradę.

– A gdzie Kjikerud, Brown? – Głos mu skrzypiał jak nienasmarowane zawiasy, a nazwisko Owego wypłuł jak

zakłęcie. Skąd znał moje, nie miałem pojęcia, ale z całą pewnością nie od Ovego.

– Przyjedzie później – odparłem. – Mogę zaparkować mój samochód w stodole?

Aa znów splunął.

– Tanie nie będzie. Poza tym to nie jest twój samochód, tylko Kjikeruda. Jak on się tu dostanie?

Odetchnąłem głęboko.

– Na nartach. Ile chcesz?

– Pięć stów za dobę.

– Pięć... stów?

Zachichotał.

– Na drodze możecie parkować gratis.

Odliczyłem trzy dwusetki Ovego i wszedłem na schodki, gdzie Aa już czekał z wyciągniętą kościstą ręką. Wetknął banknoty do wypchanego portfela i znów splunął.

– Resztę mogę dostać później – powiedziałem.

Nie odpowiedział, tylko mocno trzasnął drzwiami, wchodząc do środka.

Tyłem wjechałem do stodoły. Po ciemku o mało nie nadziałem samochodu na ostre stalowe zęby wideł umocowanych z tyłu do niebieskiego traktora Massey Ferguson. Na szczęście były uniesione, więc zamiast

przebić tylny zderzak albo przedziurawić opony, otarły się spodem o pokrywę bagażnika, ostrzegając mnie w porę, żebym nie wbił dziesięciu metalowych szpikulców w tylną szybę auta.

Zaparkowałem obok traktora, wyjąłem teczkę i pobiegłem do chaty. Na szczęście świerki rosły tu gęsto i nie przepuszczały zbyt wiele deszczu; gdy wreszcie stanąłem w prostej chacie z drewnianych bali, włosy wciąż miałem zaskakująco suche. Chciałem napalić w kominku, ale zrezygnowałem. Skoro już posunąłem się do tego, by ukryć samochód, nie miało sensu puszczenie sygnałów dymnych informujących, że ktoś tu jest.

Dopiero teraz poczułem, jaki jestem głodny.

Odwiesiłem dżinsową kurtkę Ovego na krzesło w kuchni, przejrzałem szafki i wreszcie znalazłem samotną puszkę gulaszu z czasów ostatniej bytności Kjikeruda. W szufladach nie było ani otwieracza do konserw, ani sztucców, ale udało mi się wybić dziurę w konserwie lufą glocka. Usiadłem i palcami wyjadłem tłustą, słoną zawartość.

Później zapatrzyłem się na deszcz padający na las i maleńkie podwórko między chatą a wygódką. Wszedłem do sypialni, teczkę z Rubensem wsunąłem pod materac i położyłem się na dole piętrowego łóżka, żeby się zastanowić. Niewiele zdążyłem wymyślić. Chyba za sprawą całej adrenaliny, jaką wyprodukowałem w ciągu tego dnia, nagle otworzyłem oczy i zrozumiałem, że zasnąłem. Spojrzałem na zegarek. Czwarta po południu.

Sięgnąłem po komórkę i zobaczyłem, że mam osiem nieodebranych połączeń. Cztery od Diany, która prawdopodobnie chciała odgrywać zaniepokojoną żonę i w obecności Grevego przysłuchującego się ponad jej ramieniem zamierzała spytać, gdzie, w imię niebios, się podziewam. Trzy od Ferdinanda, najpewniej czekającego na rekomendację lub przynajmniej na instrukcje dotyczące dalszego postępowania w sprawie Pathfindera. I jeszcze jedno, z numeru, którego nie rozpoznałem od razu, ponieważ usunąłem go z książki telefonicznej. Ale nie z pamięci ani z serca. Patrząc na ten numer, uświadomiłem sobie, że choć w ciągu ponad trzydziestu lat przeżytych na Ziemi zgromadziłem dość kolegów ze studiów, byłych narzeczonych, kumpli z pracy i kontaktów biznesowych, by ich lista w Outlooku zajmowała dwa megabajty, miałem tylko jedną jedyną osobę, której mogłem zaufać. Dziewczynę, którą w zasadzie znałem przez trzy tygodnie. A raczej przez trzy tygodnie pieprzyłem. Piwnooką Dunkę, która ubierała się jak dziadówka, odpowiadała monosylabami i miała imię na pięć liter. Nie wiem, dla kogo z nas było to bardziej tragiczne.

Zadzwoiłem do informacji i poprosiłem o podanie pewnego numeru za granicą. Prawie wszystkie firmowe centrale telefoniczne w Norwegii zamyka się o czwartej – zapewne dlatego, że statystycznie rzecz ujmując, o tej godzinie większość pracowników już dawno wyszła do domu, do chorego małżonka, bo Norwegia to kraj z najkrótszym czasem pracy, najpokaźniejszym budżetem

na służbę zdrowia i największą ilością nieobecności z powodu choroby. Centrala HOTE w Holandii odpowiedziała po pierwszym sygnale, jakby ta pora była najbardziej naturalna na świecie. Nie znałem żadnego nazwiska ani nazwy działu, ale zaryzykowałem.

– *Can you put me through to the new guy, dear?*

– *New guy, Sir?*

– *You know. Head of technical division.*

– *Felsenbrink is hardly new, Sir.*

– *To me he is. So, is Felsenbrink in, dear?*

Cztery sekundy później już rozmawiałem z Holendrem, który nie dość że był w pracy, to jeszcze odpowiadał uprzejmie rześkim głosem, mimo że zegarek wskazywał już minutę po czwartej.

– *I'm Roger Brown from Alfa Recruiting.* – Prawda.
– *Mister Clas Greve has given us your name as a reference.* – Fałsz.

– *Right.* – Mężczyzna nie wydawał się ani trochę zaskoczony. – *Clas Greve is the best manager I've ever worked with.*

– *So you...* – zacząłem.

– *Yes, Sir, my most sincere recommendation. He is the perfect man for Pathfinder. Or any other company for that matter.*

Zawahałem się. Ale zmieniłem zdanie.

– *Thank you, Mister Fenselbrink.*

– *Felsenbrink. Any time.*

Schowałem telefon do kieszeni. Nie wiedziałem dlaczego, ale coś mi mówiło, że właśnie popełniłem głupstwo.

Na dworze dalej nieprzerwanie lało, więc z braku lepszego zajęcia wyjąłem Rubensa i zacząłem go studiować w świetle wpadającym przez kuchenne okno. Dostrzegłem wściekłość na twarzy myśliwego Meleagra, gdy przebijał włócznią zdobycz. Nagle odkryłem, kogo mi przypominał, gdy pierwszy raz zobaczyłem ten obraz. Clasa Greve. Coś mi przyszło do głowy. Zbieg okoliczności, rzecz jasna, ale Diana kiedyś mi mówiła, że takie samo imię jak ona nosiła rzymska bogini myśliwych i narodzin. Ta sama, którą Grecy nazywali Artemidą. A to przecież Artemida wysłała Meleagra, czyż nie? Ziewnąłem i patrząc na obraz, zacząłem wplątywać siebie w tę historię, gdy nagle uświadomiłem sobie, że wszystko mieszam. Przecież było odwrotnie. Artemida wysłała dzika, nie myśliwego. Potarłem oczy, wciąż byłem śpiący.

Nagle dotarło do mnie, że coś się stało. Nastąpiła jakaś zmiana, ale byłem do tego stopnia pochłonięty obrazem, że wcześniej tego nie zauważyłem. Wyrzuciłem przez okno. Chodziło o dźwięk. Przestało padać.

Schowałem obraz z powrotem do teczki i zdecydowałem, że gdzieś go ukryję. Musiałem wyjść z chaty, żeby zrobić zakupy i załatwić inne rzeczy, a zdecydowanie nie ufałem wścibskiemu Sindremu Aa.

Rozejrzałem się, spojrzenie powędrowało za okno i potem w kierunku wygodki. Wiedziałem, że jej sufit stanowią luźne deski. Idąc przez podwórze, stwierdziłem, że powinienem był włożyć kurtkę. Pierwsza mroźna noc mogła nadejść w każdej chwili.

Wychodek był z rodzaju tych najprostszych, miał jedynie to, co najniezbędniejsze: cztery ściany z desek ze szparami zapewniającymi naturalną wentylację i drewnianą skrzynkę, w której piłą wycięto okrągłą dziurę zakrywaną prymitywnie zbitą prostokątną pokrywą. Odsunąłem trzy tekturowe rolki po papierze toaletowym, tygodnik „Se og Hør” ze zdjęciem Runego Rudberga ze źrenicami jak łebek od szpilki i wdrapałem się na drewnianą skrzynkę. Wyciągnąłem się w górę do desek luźno ułożonych na belkach i po raz dziewięćmilionowy pożałowałem, że nie jestem wyższy choćby o parę centymetrów. W końcu mimo wszystko zdołałem odsunąć jedną deskę, wepchnąć teczkę i nasunąć deskę z powrotem. Kiedy tak stałem z nogami po obu stronach dziury, nagle zamarłem i wyrząłem przez szparę.

Na zewnątrz panowała teraz grobowa cisza, przerywana jedynie monotonnym kapaniem z namokłych drzew. Mimo to nie usłyszałem żadnego dźwięku, żadnej łamiącej się gałązki, żadnego cmokania butów na błotnistej ścieżce. Albo choćby piśnięcia psa, który stał obok swego pana na skraju lasu. Gdybym siedział w chacie, w ogóle bym ich nie zauważył, bo z okien nie byłoby ich widać. Pies sprawiał wrażenie jednego

wielkiego kłębu mięśni, szczęk i zębów, opakowanego w karoserię boksera, tylko mniejszą i ciaśniejszą. Pozwólcie, że powtórzę: nienawidzę psów. Clas Greve był ubrany w pelerynę w barwach maskujących i zieloną czapkę polową. W rękach nie miał broni, a co ukrywał pod peleryną, mogłem się jedynie domyślać. Uświadomiłem sobie nagle, że to idealne miejsce dla Grevego, odludne, bez świadków, dziecinnie łatwo ukryć zwłoki.

Nagle i pan, i pies poruszyli się, synchronicznie, jak na komendę.

Serce zabiło mi ze strachu, a jednak nie mogłem się powstrzymać, by nie podziwiać z fascynacją, jak szybko i bezszelestnie przemieścili się ze skraju lasu do chaty, przeszli wzdłuż ściany, a następnie – bez wahania – do drzwi, które zostawili za sobą otwarte na oścież.

Wiedziałem, że mam jedynie kilka sekund, zanim Greve się zorientuje, że chata jest pusta. Już zauważył kurtkę na oparciu krzesła, zdradzającą, że jestem gdzieś w pobliżu. I... niech to cholera! Zobaczył glocka leżącego na blacie obok pustej puszkę po gulaszu. Mój mózg pracował tak, jakby wspinał się pod górkę, i zdołał wysnuć tylko jeden wniosek: że brakuje mi wszystkiego. Broni, możliwości odwrotu, planu i czasu. Gdybym zaczął biec, nie minęłoby dziesięć sekund, a już miałbym dwudziestokilogramowego niether terriera wczepionego w ścięgno Achillesa i dziewięćmilimetrową kulkę w tyle głowy. Krótco

mówiąc, miałem przesrane. Następnie mój mózg zaproponował panikę. Ale zamiast w nią wpadać, zrobił coś, o co nigdy bym go nie podejrzewał, a mianowicie zatrzymał się po prostu i cofnął o krok. Do słowa „przesrane”.

Plan. Desperacki i pod każdym względem odrażający. Ale mimo wszystko plan, który miał cechę zdecydowanie za nim przemawiającą: był jedyny.

Złapałem tekturową rolkę po papierze toaletowym i wsunąłem ją do ust. Sprawdziłem, jak szczelnie jestem w stanie zacisnąć wokół niej wargi. Potem podniosłem pokrywę kibla. Buchnął smród. Od dna pojemnika z rzadką mieszanką odchodów, moczu, papieru toaletowego i deszczówki spływającej wewnątrz po ściankach dzieliło mnie półtora metra. Wyniesienie zbiornika do miejsca opróżniania w lesie wymagało co najmniej dwóch mężczyzn i było koszmarną robotą. Dosłownie. Owe i ja byliśmy w stanie zrobić to tylko raz i przez trzy następne noce śniło mi się pluskające gównem. Aa najwyraźniej też zrezygnował z tej czynności, bo półtorametrowej głębokości pojemnik był wypełniony prawie po brzegi. Co oczywiście przypadkiem bardzo mi odpowiadało, nawet niether terrier nie wywęszy tu nic oprócz gówna.

Umieściłem pokrywę na głowie tak, by utrzymywała się w równowadze, wsparłem się na rękach po obu stronach dziury i powoli się opuściłem.

To było niewiarygodne uczucie. Zapadałem się w

płynne gówno, czułem lekki nacisk ludzkich odchodów. Gdy spuszczałem się na naprężonych rękach, pokrywa zatrzymała się, kiedy moja głowa minęła brzeg dziury. Mój zmysł powonienia chyba był już przeciążony, w każdym razie zrobił sobie wakacje i zaobserwowałem jedynie wzmożoną aktywność kanalików łzowych. Górna, najbardziej wodnista warstwa zawartości była lodowato zimna, ale głębiej zrobiło się całkiem ciepło. Możliwe, że z powodu rozmaitych procesów chemicznych. Czy nie czytałem czegoś o powstawaniu metanu w takich wychodkach i o tym, że można umrzeć, jeśli nawdycha się go za dużo? Miałem już stały grunt pod nogami, więc przykucnąłem. Po policzkach płynęły mi łzy, ciekło z nosa. Odchyliłem głowę, pilnując, żeby tekturowa rolka sterczała pionowo. Usiłowałem nad sobą zapanować, powstrzymując odruch wymiotny. Zanurzyłem się ostrożnie. Przewody uszne wypełniły mi ekskrementy i cisza. Zmusiłem się, żeby oddychać przez rolkę. Podziałało. Ale głębiej zanurzyć się nie mogłem. Oczywiście byłby to niezwykle symboliczny rodzaj śmierci – utonąć w starym gównie, własnym i Ovego, ale nie czułem żadnej potrzeby ironicznej śmierci. Chciałem żyć.

Jakby z daleka usłyszałem otwieranie drzwi. To będzie teraz.

Poczułem vibracje ciężkich kroków. Tupanie. I nagle zapadła cisza. Dreptanie. Pies. Zdjęta pokrywa. Wiedziałem, że akurat w tej chwili Greve patrzy na mnie, a właściwie we mnie, zagląda w otwór

tekturowej rolki po papierze toaletowym prowadzącej bezpośrednio do mojego wnętrza. Oddychałem najciszej, jak umiałem. Tektura zwilgotniała i zmiękła. Wiedziałem, że wkrótce zacznie się marszczyć, przestanie być szczelna i da się ścisnąć.

Nagle rozległ się głuchy stuk. Co to było?

Za to następny odgłos był nie do pomylenia z żadnym innym. Gwałtowna eksplozja, która przeszła w syczącą skargę jelit i wybrzmiała. Kropkę postawiło westchnienie ulgi.

Jasny gwint, pomyślałem.

I rzeczywiście. Kilka sekund później usłyszałem plusk i poczułem nowy ciężar na mojej zwróconej w górę twarzy. Przez chwilę śmierć wydała mi się akceptowalnym wyjściem, ale nie trwało to długo. Właściwie co za paradoks: nigdy nie miałem mniej powodów do życia, a mimo to nigdy nie pragnąłem go bardziej.

Głośniejsze przeciągłe stęknięcie. Najwyraźniej parł. Oby nie trafił w otwór rolki. Poczulem ogarniającą mnie panikę. Nagle miałem wrażenie, że przez rolkę nie wpada wystarczająca ilość powietrza. Kolejne plaśnięcie.

Kręciło mi się w głowie, a mięśnie ud już bolały przez skuloną pozycję, w jakiej tkwiłem. Wyprostowałem się odrobinę. Twarz wyłoniła się na powierzchnię, przez dłuższą chwilę mrugałem. Ale patrzyłem wprost na biały owłosiony zadek Clasa

Greve. Na tle białej skóry odcinał się solidny czy nawet bardziej niż solidny, bo po prostu imponujący fiut. A ponieważ nawet lęk przed śmiercią nie jest w stanie stłumić u mężczyzny zazdrości o penisa, pomyślałem o Dianie. Właśnie w tej chwili uświadomiłem sobie, że jeśli Clas Greve nie zabije mnie pierwszy, to ja zabiję jego. Greve się podniósł. Przez otwór wpadło światło i wtedy zobaczyłem, że coś jest nie tak, że czegoś mu brakuje. Zamknąłem oczy i znów się zanurzyłem. Zrobiło mi się słabo. Czyżbym umierał, zatruty metanem?

Na długą chwilę zapadła cisza. Już po wszystkim? Akurat brałem oddech, gdy nagle poczułem, że w rolce nic nie ma, że nic nie wdycham. Dostęp powietrza został zablokowany. Pierwotny instynkt zwyciężył i zacząłem się wynurzać. Musiałem wyjść. Moja twarz znalazła się na powierzchni i jednocześnie usłyszałem stuknięcie. Znów mrugałem, ale nade mną wciąż było ciemno. Potem dotarły do mnie ciężkie kroki, odgłos otwieranych drzwi, dreptanie i skrzypnięcie drzwi, które się zamykały. Wypłułem rolkę i wtedy zrozumiałem, co się stało: otwór zatkało coś białego – papier, którym podtarł się Greve.

Uniosłem się ponad zbiornik i wyjrzałem przez szparę między deskami akurat w porę, żeby zobaczyć, jak Greve wysyła psa do lasu, a sam wchodzi do chaty. Pies ruszył pod górę w stronę szczytu wzgórza. Śledziłem go wzrokiem, dopóki nie pochłonął go las. W tej samej chwili – może dlatego, że przez moment

dopuszciliem do siebie ulgę i nadzieję na wybawienie – mimowolnie wyrwał mi się z gardła szloch. Nie, pomyślałem, nie wolno mieć nadziei, nie wolno nic czuć. Nie wolno angażować się emocjonalnie. Trzeba myśleć analitycznie. Dalej, Brown! Skup się! Liczby pierwsze. Kontrola nad szachownicą. Okej. W jaki sposób Greve mnie znalazł? Skąd, u diabła, mógł wiedzieć, że tu jestem? Przecież Diana nigdy nie słyszała o tym miejscu. Z kim on rozmawiał? Brak odpowiedzi. No cóż. Jakie mam możliwości? Muszę stąd uciec, a są dwa pozytywy: zaczęło się zmierzchać i w kombinezonie z gówna mój zapach będzie dobrze zakamuflowany. Ale bolała mnie głowa i było mi coraz bardziej słabo, nie mogłem więc czekać, aż zrobi się zupełnie ciemno.

Ześlizgnąłem się po zewnętrznej stronie pojemnika, dotknąłem stopami zbocza na tyłach wychodka. Zgięty w pół wziętem kurs na skraj lasu. Stamtąd mogłem przedostać się do stodoły i uciec samochodem, bo kluczyki miałem chyba w kieszeni spodni, prawda? Sprawdziłem. W lewej wymacałem tylko kilka banknotów, kartę kredytową Ovego, a także klucze, jego i moje własne. Prawa kieszeń. Odetchnąłem z ulgą, kiedy palce pod telefonem komórkowym odnalazły kluczyki.

Telefon komórkowy. Oczywiście.

Stacje bazowe namierzają aparat. Wprowadzie tylko okolice, a nie konkretne miejsce, lecz kiedy stacje

bazowe Telenoru zarejestrowały obecność mojego telefonu w tym rejonie, możliwości było niewiele. Dom Sindrego Aa jest jedyny na przestrzeni kilku kilometrów. Oczywiście Clas Greve musiał mieć jakieś kontakty w centrali Telenoru, ale nic mnie już nie dziwiło. Zaczynało mi się rozjaśniać w głowie. Felsenbrink, który jakby czekał na telefon ode mnie, potwierdził moje podejrzenia. Tu nie chodziło o żaden melodramatyczny trójkąt, składający się ze mnie, mojej żony i napalonego Holendra. Jeśli miałem rację, to znalazłem się w poważniejszych kłopotach, niż kiedykolwiek mogłem to sobie wyobrazić.

14. MASSEY FERGUSON

Ostrożnie wystawiłem głowę i popatrzyłem na chatę. Czarne szyby niczego nie zdradzały. A więc nie zapalił światła. No cóż. Nie mogłem tu zostać. Zaczekałem, aż wiatr zaszumiał w koronach drzew, i puściłem się biegiem. Siedem sekund później dotarłem już do skraju lasu i ukryłem się za drzewami. Ale tych siedem sekund prawie mnie wykończyło. Płuca paliły, w głowie pulsowało i kręciło się tak jak wtedy, gdy ojciec po raz pierwszy i ostatni zabrał mnie do wesołego miasteczka. Było to w dzień moich dziewiątych urodzin. Taki prezent. Ojciec i ja byliśmy jedyną klientelą, wyjąwszy trzech podpitych nastolatków, którzy pociągali coś przezroczystego z butelki po coli. Ojciec wściekłym łamanym norweskim stargował cenę jedynej czynnej atrakcji: piekielnej maszyny, której sensem najwyraźniej było obracanie dzieciakiem w koło, dopóki nie wyrzyga całej waty cukrowej i rodzice nie pocieszą go popcornem i oranżadą. Zapałem się, nie chciałem ryzykować życia na rozchwianym urządzeniu, ale ojciec nalegał. I sam pomógł umocować rzemienie, które miały mnie ocalić. A teraz, ćwierć wieku później, wróciłem do tego samego brudnego surrealistycznego lunaparku, gdzie wszystko cuchnęło moczem i oszustwem, i z całych sił walczyłem z mdłościami.

Gdzieś obok mnie szemrał strumyk. Wyjąłem z kieszeni komórkę i wrzuciłem ją do wody. Spróbuj mnie teraz wytropić, pieprzony Indianinie! Ruszyłem biegiem

po miękkim poszyciu w stronę gospodarstwa. Wśród sosen zrobiło się już ciemno, ale nie rosły tu krzaki, więc łatwo się biegło. Już po paru minutach dostrzegłem światła domu. Zanim wyłoniłem się z lasu, zbiegłem trochę niżej, tak aby oddzielała mnie od niego stodoła. Istniały wszelkie powody, by przypuszczać, że Aa zażąda wyjaśnień, widząc mnie w takim stanie, a jego następnym ruchem będzie telefon na policję.

Podkradłem się pod drzwi stodoły, uniosłem rygiel, pchnąłem drzwi i znalazłem się w środku. Głowa. Płuca. Zamrugalem, w ciemności ledwie zdołałem odróżnić samochód od traktora. Co właściwie ten przeklęty metan może zrobić z człowiekiem? Oślepić? Metan. Metanol. Coś w tym musi być.

Dotarło do mnie ziajanie i niemal bezszelestny odgłos łap. Nagle ucichł. Dobrze wiedziałem, co to znaczy, ale nie zdążyłem się odwrócić. Skoczył. Zapadła cisza. Nawet serce przestało mi bić. Moment później leciałem głową w przód. Nie wiem, czy niether terrier byłby w stanie podskoczyć i wbić zęby w kark przeciętnego wzrostu koszykarza, ale ja – zdaje się, że już o tym wspominałem – nie jestem koszykarzem. Poleciałem więc w przód, czując, jak ból eksploduje mi w głowie. Pazury podrapały mi plecy. Usłyszałem dźwięk rozrywających się tkanek, które poddawały się z jękiem, trzask kości. Moich kości. Usiłowałem złapać zwierzę, ale kończyny mnie nie słuchały, polecenia do nich nie docierały, jakby szczęki zaciskające się na moim karku zablokowały wszelką komunikację z

mózgiem. Leżałem na brzuchu, nie będąc w stanie nawet wypluć trocin, które wpadły mi do ust. Nacisk na główną tętnicę. Mózg opróżnia się z tlenu. Pole widzenia się zawęża. Wkrótce stracę świadomość. A więc tak umrę. W paszczy paskudnego, obrzydliwego kundla. Nie było to zbyt budujące. Mogło najwyżej wywołać wkurzenie. Zaczynała mnie palić głowa. Lodowaty ogień wypełnił całe ciało, przesaczył się aż po ostatni koniuszek palca. Wściekła radość i nagły przypływ drżącej siły, która dawała życie i obiecywała śmierć. Podniosłem się z psem wciąż wczepionym w mój kark i zwisającym mi na plecach niczym żywa stuła. Chwiejąc się na nogach, zacząłem wykręcać ręce, ale i tak nie mogłem go dosięgnąć. Wiedziałem, że ten wybuch energii był ostatnią desperacką próbą organizmu, ostatnią szansą. I że już niedługo będą mnie liczyć. Pole widzenia zwięzło mi się już do początku filmu o Jamesie Bondzie, kiedy następuje introdukcja – a w moim przypadku outrodukcja – i wszystko jest czarne, oprócz jednej maleńkiej dziurki, w której widać faceta w smokingu, celującego do ciebie z pistoletu. W tej dziurce zobaczyłem niebieskiego massey'a fergusona. Traktor. A do mojego mózgu dotarła ostatnia myśl: nienawidzę psów.

Zataczając się, stanąłem plecami do ciągnika. Pozwoliłem, żeby ciężar psa pociągnął mnie z palców na pięty, i gwałtownie się cofnąłem. Upadłem. Przyjęły nas ostre stalowe szpikulce wideł. Po odgłosie pękającej psiej skóry zorientowałem się, że nie

opuszczę tego świata sam. Pole widzenia całkowicie się zawężyło i cały świat poczerniał.

Musiałem na jakiś czas zemdleć.

Leżałem na ziemi i patrzyłem prosto w otwartą psią paszczę. Ciało zwierzęcia zdawało się unosić w powietrzu, skulone w pozycji płodu. Dwa stalowe szpikulce przebijały jego grzbiet. Wstałem. Pomieszczenie wokół mnie zawirowało, musiałem zrobić kilka kroków, zanim wreszcie zdołałem jako tako utrzymać się na nogach. Dotknąłem ręką karku i poczułem świeżą krew w miejscu, gdzie psie zęby przecięły skórę. I zrozumiałem, że ogarnia mnie szaleństwo, bo zamiast wsiąść do samochodu, stałem i patrzyłem zafascynowany. Oto stworzyłem dzieło sztuki. Pies kalidoński przeszyty włócznią. Doprawdy, piękne! Zwłaszcza że nawet po śmierci wciąż miał otwarty pysk. Może szok wywołał u niego szczękościsk, a może psy tej rasy zdychają w taki właśnie sposób. Wszystko jedno. I tak napawałem się jego miną, wściekłą, a zarazem zdumioną tym, że nie dość, iż dane mu było żyć tak krótko, to jeszcze na koniec musiał znieść takie upokorzenie, haniebną śmierć. Chciałem na niego splunąć, ale w ustach miałem sucho. Wyjąłem więc z kieszeni kluczyki, z wysiłkiem podszedłem do mercedesa Ovego, otworzyłem drzwiczki i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Bez odzewu. Spróbowałem jeszcze raz, dodając gazu. Martwy jak kamień. Mrużąc oczy,

wyrzałem przez przednią szybę. Jęknąłem. W końcu wysiadłem i otworzyłem maskę. Było już tak ciemno, że ledwie dostrzegłem sterczące końce przeciętych przewodów. Nie miałem pojęcia, do czego służą, ale domyślałem się, że są niezbędne do tego cudu, za którego sprawą samochody jeżdżą. Niech czort porwie tego pół-Holendra! Clas Greve pewnie dalej siedział w chacie i czekał, aż wrócę, ale musiał już zacząć się zastanawiać, gdzie się podziało jego zwierzę. Spokojnie, Brown! Okej. Jedyńm sposobem opuszczenia tego miejsca było teraz wykorzystanie traktora Sindrego Aa. Ale to nie gwarantowało szybkiej ucieczki i Greve łatwo by mnie dopędził. Musiałem więc odnaleźć samochód, którym przyjechał – srebrnoszary lexus stał zapewne gdzieś przy drodze – i unieszkodliwić go w taki sam sposób, w jaki on postąpił z mercedesem.

Szybkim krokiem przeszedłem do budynku mieszkalnego, właściwie oczekując, że Sindre Aa wyjdzie na schody. Widziałem już, że drzwi są uchylone. Aa jednak się nie pojawił. Zapukałem i pchnąłem drzwi.

W sieni zobaczyłem strzelbę z celownikiem optycznym opartą o ścianę obok brudnych gumiaków.

– Aa!

Nie zabrzmiało to jak nazwisko, tylko jak desperacka prośba o ratunek, co w zasadzie było zgodne z prawdą. Ruszyłem więc dalej w głąb domu, powtarzając tę

idiotyczną sylabę. Nagle dostrzegłem jakiś ruch, odwróciłem się. Resztkę krwi, którą miałem w żyłach, zmieniła się w lód. Czarny zwierzokształtny potwór na dwóch nogach znieruchomiał w tej samej sekundzie i zaczął się na mnie gapić szeroko otwartymi białymi ślepiami odcinającymi się od czerni. Uniosłem prawą rękę, on uniosł lewą. Uniosłem lewą, on prawą. Lustro. Odetchnąłem z ulgą. Gówna skrzące, ale pokryło mnie całego – buty, ciało, twarz, włosy. Ruszyłem dalej. Pchnąłem drzwi do pokoju.

Aa siedział w bujanym fotelu, szeroko uśmiechnięty. Tłusty kot leżał mu na kolanach i patrzył na mnie, mrużąc dziwkarskie migdałowe oczy Diany. W końcu wstał i zeskoczył. Łapy miękko uderzyły o podłogę, podszedł do mnie, kręcąc tyłkiem, ale nagle znieruchomiał. No cóż, nie pachniałem różami i lawendą. Po krótkiej chwili wahania kot mimo wszystko zbliżył się do mnie z zachęcającym miauczeniem. Koty to zwierzęta o dużej zdolności przystosowawczej, wiedzą, kiedy potrzebują nowego pana. Bo ten poprzedni już nie żył.

Szeroki uśmiech Sindrego Aa wywołały krwawo przedłużone kąciki ust. Sinoczarny język wystawał z pęknięcia na policzku, w szparze widziałem też dziąsła i zęby dolnej szczęki. Złośliwy wieśniak przypominał mi starego dobrego Pac-Mana, ale przyczyną śmierci nie był raczej ten uśmiech od ucha do ucha, mimo że taki dla niego niezwykły. Na szyi Aa rysowały się dwie krwawe kreski tworzące literę „X”. Uduszenie od tyłu

garotą, cienką nylonową żyłką albo drutem. Wypuściłem powietrze przez nos, a w tym czasie mój mózg bez prośnienia szybko rekonstruował: Clas Greve przejeżdżał obok gospodarstwa, zauważył ślady mojego samochodu skręcające na błotniste podwórze, być może pojechał dalej, zaparkował w pewnej odległości, wrócił tu piechotą, zajrzał do stodoły i zobaczył, że auto rzeczywiście tu stoi. Sindre Aa z pewnością już czekał na schodach, podejrzliwy i przebiegły. Splunął i burknął coś wymijająco, kiedy Greve spytał o mnie. Czy Greve zaproponował mi pieniądze? Czy weszli do środka? W każdym razie Aa wciąż musiał być czujny, bo kiedy Greve założył mi od tyłu garotę, Aa zdążył opuścić brodę i garota nie owinęła się wokół szyi. Walczyli. Drut ześlizgnął się na usta, Greve pociągnął, a Sindremu Aa pękły policzki. Ale Greve był silny i w końcu zdołał zacisnąć śmiertcionośny drut wokół szyi zdesperowanego starca. Cichy świadek, cicha śmierć. Ale dlaczego Greve nie zastosował prostego rozwiązania? Dlaczego nie użył pistoletu? Przecież do najbliższego sąsiada był kilometr. Może nie chciał informować mnie o swoim przybyciu? Nagle uświadomiłem sobie rzecz oczywistą: on po prostu nie miał z czego strzelić. Zakląłem cicho, bo teraz już miał. Sam zaserwowałem mu broń, zostawiając glocka na kuchennym stole w chacie. Czy można być większym idiotą?

Zwróciłem uwagę na odgłos kapiących kropeł i na kota, który stanął między moimi nogami. Zlizywał

jasnoróżowym językiem krew skapującą mi z koszuli na podłogę. Zaczęła mnie ogarniać znieczulająca senność. Trzy razy odetchnąłem głęboko. Musiałem się skupić. Musiałem myśleć, działać, to było jedyne, co mogło utrzymać paraliżujący lęk na odległość wyciągniętej ręki. Przede wszystkim powinienem znaleźć kluczyki do traktora. Zacząłem chaotycznie krążyć po pokojach i otwierać szuflady. W sypialni znalazłem pojedyncze puste pudełko po nabojach. W sieni szalik, którym mocno obwiązałem kark i w końcu krew przynajmniej przestała kapać. Ale nigdzie nie było kluczyków. Popatrzyłem na zegarek. Greve musiał już zacząć niepokoić się o psa. W końcu wróciłem do pokoju, nachyliłem się nad zwłokami Aa i przeszukałem mu kieszenie. Znalazłem. Na kółeczku był nawet napis „Massey Ferguson”. Bardzo mi się spieszyło, ale nie było mnie teraz stać na zaniechanie czegokolwiek. Musiałem zrobić wszystko jak należy. Gdy znajdą ciało, policja zacznie badać miejsce zbrodni i szukać śladów DNA. Pospieszyłem więc do kuchni, zmoczyłem ścierkę i starłem krew z podłogi we wszystkich pomieszczeniach, do których wchodziłem. Usunąłem też wszystkie możliwe odciski palców z miejsc, których dotykałem. Kiedy dotarłem do sieni i już miałem wyjść, nagle mój wzrok padł na strzelbę. A gdybym tak miał odrobinę szczęścia? Jeśli w komorze mimo wszystko tkwi nabój? Podniosłem strzelbę, uchwyciłem ją w sposób moim zdaniem odpowiedni do ładowania i zacząłem szarpać, ciągnąć, aż usłyszałem kliknięcie

rygla czy jak się to, do cholery jasnej, nazywa. Wreszcie udało mi się otworzyć komorę, z której uniosła się nieduża chmurka rdzawego pyłu. Naboju nie było. Jakiś dźwięk kazał mi podnieść wzrok. W progu kuchni stał kot i wpatrywał się we mnie z żalem i wyrzutem, najwyraźniej uważał, że nie mogę go tutaj zostawić. Z przekleństwem na ustach kopnąłem niewierne stworzenie, uciekło z piskiem do salonu. Prędko wytarłem strzelbę, odstawiłem ją i kolejnym kopniakiem zamknąłem za sobą drzwi.

Traktor zaskoczył z rykiem. I dalej ryczał, kiedy wyprowadzałem go ze stodoły. Nie traciłem czasu na zamykanie wrót, bo słyszałem, co ryczy: „Clasie Greve! Brown próbuje uciec! Szybko, szybko!”.

Wcisnąłem gaz do dechy. Jechałem tą samą drogą, którą przybyłem. Było już zupełnie ciemno, a światła reflektorów ciągnika tańczyły po wybojach. Na próżno wypatrywałem lexusa, przecież musiał gdzieś tu parkować! Nie, rozum mi odebrało. Greve równie dobrze mógł zostawić samochód dalej na drodze. Uderzyłem się w twarz dłonią. Mrugać, oddychać, nie czuć zmęczenia ani senności. Właśnie tak.

Pełen gaz. Uporczywy, niekończący się ryk. Dokąd? Jak najdalej stąd.

Snopy światła reflektorów zwężyły się, nasunęła się ciemność. Znow to widzenie tunelowe. Świadomość wkrótce mnie opuści. Oddychałem najgłębiej, jak

mogłem. Tlen dla mózgu. Bój się, nie śpij, bądź żywy!

Monotonnemu warkotowi silnika zaczął towarzyszyć jakiś inny ton.

Wiedziałem, co to jest, i mocniej chwyciłem kierownicę. Drugi silnik.

Światła odbiły się w moim lusterku.

Samochód bez pośpiechu zbliżał się od tyłu. Po co miał się spieszyć? Na tym pustkowiu byliśmy zupełnie sami, mieliśmy mnóstwo czasu.

Moją jedyną nadzieją było utrzymanie go z tyłu, tak aby nie mógł zagrozić mi drogi. Zjechałem więc na środek, a jednocześnie nachyliłem się nad kierownicą, żeby być jak najmniejszym celem dla glocka.

Wyjechaliśmy zza zakrętu, za którym droga nagle się prostowała i rozszerzała. Greve jakby znał tę okolicę jak własną kieszeń, bo już zdążył dodać gazu i podjechać do mnie z boku. Skręciłem traktorem na prawo, żeby zepchnąć go do rowu. Za późno, prześlizgnął się i mnie wyminął. Sam zmierzałem do rowu, ale rozpaczliwie szarpnąłem kierownicą i wróciłem na żwir. Wciąż byłem na drodze, ale widziałem ostrzegawcze światelko. A w każdym razie dwa czerwone światła stopu. Samochód przede mną stanął. Ja też się zatrzymałem, ale siedziałem, nie gasząc silnika. Nie chciałem umierać tutaj, samotny na jakimś pieprzonym polu, jak niema owca. Moją jedyną szansą było teraz wywabić go z auta, a potem rozjechać. Powalić monstrualnym tylnym kołem, rozwałkować

potworną maszyną jak ciasto na pierniczki.

W samochodzie otworzyły się drzwiczki po stronie kierowcy. Lekko trąciłem czubkiem buta pedał gazu, żeby sprawdzić, jak szybko silnik reaguje. Wolno. Zakręciło mi się w głowie i wzrok znów zaczął mi się rozplýwać. Ale dostrzegłem zbliżającą się ku mnie postać. Zwróciłem się w jej stronę, rozpaczliwie utrzymując świadomość. Wysoki, chudy. Wysoki i chudy? Clas Greve nie był wysoki i chudy.

– Sindre?

– *What?* – spytałem, chociaż ojciec dobitnie wbijał mi do głowy, że mówi się: *I beg your pardon? Sorry, Sir?* albo *How can I accommodate you, Madam?* Na wpół ześlizgnąłem się z siedzenia. Nie pozwalał, żeby matka brała mnie na kolana. Twierdził, że od tego chłopak tylko zrobi się miękki. Widzisz mnie teraz, ojczy? Jestem miękki? Weźmiesz mnie na kolana?

W ciemności usłyszałem cudowny norweski akcent. Śpiewnie zaciągając, człowiek pytał z wahaniem:

– *Are you from the...* hm... ośrodka dla uchodźców?

– Ośrodka dla uchodźców? – powtórzyłem.

Mężczyzna podszedł do traktora, a ja spojrzałem na niego z boku, wczepiając się w kierownicę.

– O, przepraszam – powiedział. – Wyglądasz jak... jak taki... Wpadłeś do gnojówki?

– Tak, miałem wypadek.

– Widzę. Zatrzymałem cię, bo zobaczyłem, że to traktor Sindrego, a na widły jest nadziany pies.

Czyli koncentracja jednak zawiodła. Cha, cha. Całkiem zapomniałem o tym diabelskim psie. Słyszysz, ojczy? Za mało krwi do mózgu, za dużo...

Straciłem czucie w palcach, widziałem, jak ześlizgują się z kierownicy. Zemdlałem.

15. GODZINY ODWIEDZIN

Obudziłem się w niebie. Wszystko wokół było białe, a jakiś anioł patrzył na mnie łagodnie, kiedy leżałem na chmurze, i spytał, czy wiem, gdzie jestem. Kiwnąłem głową, a wtedy anioł powiedział, że ktoś chce ze mną rozmawiać, ale nie ma pośpiechu, może poczekać. To dobrze, pomyślałem. Niech czeka. Bo kiedy się dowie, co zrobiłem, natychmiast wyrzuci mnie z tej cudownej miękkiej bieli i będę spadał i spadał, aż znajdę się tam, gdzie moje miejsce. W kuźni, w hali topnienia, w wiecznej kąpieli w żrącym kwasie własnych grzechów.

Zamknąłem oczy i wyszeptałem, że wolę, by na razie nikt mi nie przeszkadzał.

Anioł wyrozumiale skinął głową, opatulił mnie chmurką i odszedł, stukając drewniakami. Zanim drzwi się za nim zamknęły, dotarł do mnie jeszcze dźwięk głosów z korytarza.

Dotknąłem bandaża, którym owinięto mi szyję. W pamięci odżyło kilka oderwanych scen. Twarz nachylonego nade mną chudego wysokiego mężczyzny, tylne siedzenie samochodu pędzącego po krętych drogach. Dwóch ludzi w białych uniformach pielęgniarzy, którzy pomagali mi położyć się na noszach. Prysznic. Leżałem pod prysznicem! Poczulem cudowną miękkość wody i zaraz znów odleciałem.

Miałem ochotę to samo zrobić teraz, ale mój mózg zgłosił, że to bardzo tymczasowy luksus, że piasek w

klepsydrze wciąż się przesypuje, Ziemia wciąż się kręci, a bieg wydarzeń jest nieunikniony. Postanowiły jedynie chwileczkę zaczekać, na moment wstrzymać oddech.

Myśleć.

Tak, tak, myślenie boli. Łatwiej się od niego wstrzymać, zrezygnować. Nie buntować się przeciwko sile ciężenia losu. Tyle że jest coś niebywale irytującego w trywialnym, głupim biegu wydarzeń i człowiek zaczyna się wkurzać.

Dlatego myśli.

Nie wchodziło w rachubę, aby na zewnątrz czekał Clas Greve, ale naturalnie mogła to być policja. Spojrzałem na zegarek. Ósma rano. Jeśli policja odkryła już zwłoki Sindrego Aa i podejrzewała mnie, mało prawdopodobne, by przyszedł tylko jeden człowiek, a w dodatku uprzejmie zgodził się zaczekać. Może to jakiś funkcjonariusz, który chciał się po prostu dowiedzieć, co się stało. Może chodzi o traktor tarasujący drogę. Może... Może jednak miałem nadzieję, że to policja. Może miałem już dość. Może pozostało mi jedynie ratować życie. Może powinienem wyznać im wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Leżałem i sprawdzałem. I poczułem, że wzbiera we mnie śmiech. O g r o m n y!

W tej samej chwili otworzyły się drzwi, znów dotarły do mnie dźwięki z korytarza i do pokoju wszedł mężczyzna w białym fartuchu. Zmrużonymi oczami wpatrywał się w podkładkę do pisania.

– Pogryzienie przez psa? – spytał. Uniósł głowę i popatrzył na mnie z uśmiechem.

Poznałem go od razu. Drzwi się zamknęły i zostaliśmy sami.

– Przepraszam, ale nie mogłem już dłużej czekać – szepnął.

W białym fartuchu Clasowi Greve było nawet do twarzy. Bóg jeden wie, gdzie go zdobył. Bóg jeden wie, jak mnie znalazł. Przecież mój telefon komórkowy, przynajmniej z tego, co pamiętałem, leżał w strumieniu. Ale i Bóg, i ja wiedzieliśmy, co mnie czeka. I jakby na potwierdzenie Greve sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej pistolet. Mój pistolet. A dokładniej mówiąc, pistolet Ovego. A już z bolesną dokładnością – glocka 17 z dziewięćmilimetroowymi ołowianymi kulami, które ulegają deformacji w zetknięciu z tkanką. Rozpadają się tak, że stosunkowo nieduża ilość ołowiu niszczy zupełnie nieproporcjonalną ilość mięśni, kości i mózgu, którą po przejściu przez ciało przykleja do ściąg, tworząc coś przypominającego trochę malowidło Barnaby Furnasa. Lufa pistoletu celowała we mnie. Podobno w takich sytuacjach całkowicie zasycha w ustach. Mogłem to potwierdzić.

– Chyba nie masz nic przeciwko temu, że użyję twojego pistoletu, Roger? – odezwał się Clas Greve. – Swojego nie przywiozłem do Norwegii. Tyle kłopotów jest z bronią na lotniskach, a poza tym nie przewidywałem... – rozłożył ręce – ...tego. Dobrze by

też było, żeby ta kula nie mogła doprowadzić na mój ślad, prawda, Roger?

Nie odpowiedziałem.

– Prawda? – powtórzył.

– Dlaczego... – zacząłem głosem suchym jak pustynny wiatr.

Clas Greve czekał na dalszy ciąg ze szczerze zaintrygowaną miną.

– Dlaczego to wszystko robisz? – szepnąłem. – Przez kobietę, którą dopiero co poznałeś?

Zmarszczył czoło.

– Mówisz o Dianie? Wiedziałeś, że ona i ja...

– Tak – przerwałem mu, żeby nie słuchać dalszego ciągu.

Zaśmiał się krótko.

– Czy ty jesteś idiotą, Roger? Naprawdę uważasz, że tu chodzi o nią, o mnie i o ciebie?

Milczałem. Nie powiedziałem, że zrozumiałem. Że tu nie chodzi o takie banały jak życie, uczucia i ludzie, których się kocha.

– Diana była tylko środkiem. Musiałem ją wykorzystać, żeby się do ciebie zbliżyć. Ponieważ nie dałeś się złapać na pierwszą przynętę.

– Żeby zbliżyć się do mnie?

– Owszem, do ciebie. Planowaliśmy to przez ponad

cztery miesiące. Odkąd dowiedzieliśmy się, że Pathfinder będzie szukał nowego dyrektora administracyjnego.

– My?

– No, zgadnij.

– HOTE?

– I nasi nowi amerykańscy właściciele. Byliśmy, mówiąc wprost, w finansowym dołku, kiedy przyszli do nas wiosną. Musieliśmy więc zaakceptować kilka warunków tego, co być może wyglądało na wykupienie, ale w rzeczywistości było akcją ratunkową. Jeden z tych warunków nakazywał nam zdobycie dla nich również Pathfindera.

– Zdobycie dla nich Pathfindera? Jak to?

– Wiesz to, co i ja, Roger. Że nawet jeśli formalnie to udziałowcy i zarząd przedsiębiorstwa podejmują decyzje, w rzeczywistości rządzi nim dyrektor administracyjny. I koniec końców to on decyduje, czy spółka zostanie sprzedana i komu. Sam kierowałem HOTE, świadomie karmiąc zarząd tak niewielką ilością informacji i taką dawką niepewności, że zawsze woleli ufać mnie. Na czym zresztą i tak najlepiej by wyszli, bez względu na wszystko. Rzecz w tym, że każdy jako tako kompetentny dyrektor, cieszący się zaufaniem zarządu, może manipulować bandą niedoinformowanych właścicieli i przekonać ich, żeby tańczyli, jak on im zagra.

– Przesadzasz.

– Doprawdy? Z tego, co wiem, zarabiasz na chleb, mieszając w głowach tym tak zwanym zarządem.

Oczywiście miał rację. Potwierdziło się też podejrzenie, którego nabrałem, kiedy pan Felsenbrink w HOTE bez najmniejszych oporów polecił Grevego na szefa najgroźniejszego konkurenta jego firmy.

– A więc HOTE chce... – zacząłem.

– Tak. HOTE chce przejąć Pathfinderera.

– Ponieważ Amerykanie postawili taki warunek, żeby wyciągnąć was z opresji?

– Pieniądze, które otrzymaliśmy jako właściciele HOTE, zostały zablokowane na koncie, dopóki warunki zakupu nie zostaną spełnione. Oczywiście to, o czym teraz rozmawiamy, nigdzie nie zostało zapisane.

Wolno pokiwałem głową.

– A więc cała ta historia z twoim wypowiedzeniem w proteście przeciwko nowym właścicielom była jedynie inscenizacją, odegraną po to, byś mógł uchodzić za wiarygodnego kandydata do przejęcia sterów Pathfinderera?

– Zgadza się.

– A po utrzymaniu stanowiska dyrektora administracyjnego w Pathfinderze twoim zadaniem byłoby zmuszenie spółki do oddania się w ręce Amerykanów?

– No cóż, zmuszenie... Pathfinder za kilka miesięcy przekonałby się, że ich technologia nie jest już tajemnicą dla HOTE. Wtedy sami przyznaliby, że są bez szans, a współpraca to najlepsze rozwiązanie.

– Dlatego że ty wcześniej zdradziłyś HOTE tajemnicę tej technologii?

Uśmiech Grevego był cienki i biały jak tasiemiec.

– Mówiłem już, że to byłoby małżeństwo idealne.

– Masz na myśli idealne małżeństwo z przymusu?

– Jak wolisz. Ale łącząc technologie HOTE i Pathfindera, mielibyśmy w ręku kontrakty na GPS wszystkich armii na całej zachodniej półkuli i parę na wschodniej również... Warto odrobinę pomanipulować, nie sądzisz?

– I zaplanowaliście, że właśnie ja wam to załatwię?

– Byłem i tak silnym kandydatem, nie uważasz? – Clas Greve stanął w nogach łóżka, z pistoletem na wysokości bioder, plecami zwrócony do drzwi. – Ale chcieliśmy mieć całkowitą pewność. Szybko się dowiedzieliśmy, z którymi agencjami rekrutacyjnymi kontaktował się Pathfinder, i trochę posprawdzaliśmy. Okazało się, że masz niezłą renomę, Brown. Podobno jeśli już polecisz jakiegoś kandydata, zawsze przechodzi. Zdaje się, że jesteś rekordzistą. Właśnie dlatego chcieliśmy skorzystać z twojego pośrednictwa.

– Jestem zaszczycony. Ale dlaczego po prostu nie skontaktowałaś się bezpośrednio z Pathfinderskim i nie

powiedziałeś, że jesteś zainteresowany?

– Ależ, Roger! Jestem byłym dyrektorem wielkiego paskudnego wilka, który wykupuje innych. Zapomniałeś o tym? Gdybym sam do nich przyszedł, uruchomiłyby się wszystkie alarmy. Musiałem zostać „znaleziony”. Na przykład przez headhuntera. I namówiony. To był jedyny sposób na to, by uchodzić za wiarygodnego. Musiałem udawać, że przychodzę do Pathfindera bez żadnych złych zamiarów.

– Rozumiem. Ale po co wykorzystałeś Dianę? Dlaczego nie skontaktowałeś się bezpośrednio ze mną?

– Udajesz teraz głupiego, Roger? Gdybym sam się zgłosił, powziąłbyś takie same podejrzania i nie chciałbyś mnie dotknąć nawet szczypcami do ognia.

Miał rację, że odgrywałem głupiego. Ale i on był głupi. Głupi i tak dumny z tych swoich genialnych, chciwych planów, że nie mógł oprzeć się pokusie, by się nimi nie przechwalać, dopóki ktoś nie stanie w tych przeklętych drzwiach. Ktoś musiał się tu wkrótce zjawić. Przecież ja tu leżałem, chory!

– Przypisujesz mi szlachetne intencje w pracy, Clas – powiedziałem, myśląc sobie, że chyba nie wykonuje się egzekucji na ludziach, z którymi jest się po imieniu. – Rekomenduję kandydatów, co do których wierzę, że zostaną zatrudnieni, niekoniecznie tych, których uważam za najlepszych dla przedsiębiorstwa.

Greve zmarszczył czoło.

– Chyba nawet taki łowca głów jak ty nie jest do tego stopnia pozbawiony moralności.

– Widzę, że mało wiesz o łowcach głów. Powinieneś trzymać Dianę od tego z daleka.

To stwierdzenie najwyraźniej go rozbawiło.

– Powiniennem?

– Jak ją złapałeś na haczyk?

– Naprawdę chcesz to wiedzieć, Roger? – Odrobinię uniósł pistolet. Jeden metr. Między oczy?

– Wprost umieram z pragnienia, żeby się tego dowiedzieć, Clas.

– Jak sobie chcesz. – Znow opuszczył broń. – Byłem kilka razy u niej w galerii, kupiłem parę obrazów. Po jakimś czasie zacząłem kupować z jej polecenia. Zaprosiłem ją na kawę. Rozmawialiśmy na różne tematy, o bardzo osobistych sprawach, o jakich potrafią rozmawiać tylko ludzie najzupełniej sobie obcy. O problemach w małżeństwie...

– Rozmawialiście o naszym małżeństwie? – wyrwało mi się.

– Oczywiście. Jestem rozwiedziony, dlatego mam w sobie mnóstwo zrozumienia. Rozumiem na przykład, że piękna, dojrzała i płodna kobieta, taka jak Diana, nie może znieść, że mąż nie chce jej dać dziecka. Albo że nakłania ją do aborcji, bo dziecko ma zespół Downa. – Clas Greve uśmiechnął się tak szeroko, jak Aa w bujanym fotelu. – Zwłaszcza że wprost uwielbiam

dzieci.

Krew odpłynęła mi z głowy, zabierając ze sobą cały rozum i pozostawiając tylko jedną jedyną myśl: zabić tego faceta, który stoi przede mną.

– Ty... Powiedziałaś jej, że chcesz mieć dziecko?

– Nie – odparł Greve cicho. – Powiedziałem, że chcę, żeby ona miała dziecko.

Musiałem się bardzo koncentrować, by zapanować nad głosem:

– Diana nigdy by mnie nie porzuciła dla takiego szarlatana jak...

– Przyprowadziłem ją do swojego mieszkania i pokazałem jej mój tak zwany obraz Rubensa.

Spłoszyłem się.

– Tak zwany...?

– Owszem. Obraz oczywiście nie jest prawdziwy, to tylko bardzo dobra stara kopia, namalowana w czasach Rubensa. Niemcy długo uważali ją za oryginał. Babcia pokazała mi to dzieło już wtedy, kiedy mieszkałem tu w młodości. Przykro mi, że musiałem cię okłamać.

Ta informacja powinna może jakoś na mnie zadziałać, ale emocjonalnie byłem już tak wykończony, że tylko ją zarejestrowałem. Jednocześnie uświadomiłem sobie, że Greve nie zauważył podmiany obrazu.

– Kopia i tak odegrała swoją rolę – ciągnął Greve. –

Diana na widok oryginalnego, jak wciąż uważa, Rubensa uznała natychmiast, że nie tylko jestem zdolny dać jej dziecko, ale też i utrzymać je na odpowiednim poziomie. Ją oczywiście także. Krótko mówiąc, że mogę jej zapewnić takie życie, o jakim marzy.

– I...?

– I oczywiście zgodziła się zadbać o to, by jej przyszedły mąż otrzymał stanowisko, z którym wiązać się będzie zarówno prestiż, jak i pieniądze.

– Chcesz powiedzieć... że ten wieczór w galerii... to był teatr od samego początku do końca?

– Oczywiście. Tyle że nie doszliśmy do celu tak szybko, jak na to liczyliśmy. Kiedy Diana zadzwoniła z wiadomością, że jednak zdecydowała się nie dać mi swojej rekomendacji... – Z teatralną ironią przewrócił oczami. – Potrafisz sobie wyobrazić ten szok, Roger? Rozczarowanie? Gniew? Całkiem zwyczajnie nie mogłem pojąć, dlaczego mnie nie lubisz. Dlaczego, Roger? Dlaczego? Co ja ci zrobiłem?

Przełknąłem ślinę. Greve sprawiał wrażenie rozluźnionego, zupełnie nie na miejscu, jakby miał mnóstwo czasu na wpakowanie mi kulki w łeb, serce czy gdzie tam zamierzał ją posłać.

– Jesteś za niski – stwierdziłem.

– Słucham?

– Wtedy nakłoniłeś Dianę do umieszczenia tej piłeczki z kurarą w samochodzie? Miała mnie

uśmiercić, żebym nie mógł napisać nic złego?

Greve zmarszczył brwi.

– Kurara? Zastanawiające jest to przekonanie, że twoja ukochana żona była skłonna popełnić morderstwo za dziecko i trochę guldenów. Chociaż z tego, co wiem, możesz mieć rację. Ale wcale nie o to ją prosiłem. Gumowa piłeczka zawierała mieszankę ketalaru i dormicum. Szybko działający anestetyk, na tyle silny, że w istocie nie jest do końca bezpieczny. Plan był taki, żeby cię uśpić, kiedy wsiądziesz rano do samochodu, a Diana miała cię zawieźć w umówione miejsce.

– Dokąd?

– Do wynajętej przeze mnie chaty. Dość podobnej do tej, w której miałem nadzieję zastać cię wczoraj wieczorem. Tylko z sympatyczniejszym i mniej ciekawskim właścicielem.

– I tam miałem zostać...

– ...przekonany.

– W jaki sposób?

– Sam wiesz. Trochę pokusy, trochę gróźb, gdyby zaszała taka potrzeba.

– Tortury?

– Tortury mogą być niezłą rozrywką. Ale po pierwsze, nie cierpię zadawać fizycznego bólu osobom innym niż ja sam. A po drugie, w osiągnięciu pewnego etapu są mniej skuteczne, niż mogłoby się wydawać.

Więc nie, nie tortury. Może najwyżej trochę, tyle, żebyś zdążył poznać ich smak, żeby pobudzić w tobie oszalały strach przed bólem, który wszyscy w sobie nosimy. Bo właśnie strach, a nie ból, sprawia, że człowiek staje się ustępliwy. Dlatego świadomy celu profesjonalista, który prowadzi przesłuchanie, nie posuwa się poza lekkie asocjacyjne tortury... – Uśmiechnął się szeroko. – W każdym razie tak napisano w podręcznikach CIA. Są lepsze niż ten model FBI, którym ty się posługujesz, no nie, Roger?

Poczułem, że szyja pod bandażem mi się spociła.

– A co chciałeś osiągnąć?

– Rekomendację. Gotowi byliśmy nawet sami nalepić znaczek i wysłać ją za ciebie.

– A gdybym odmówił? Dalsze tortury?

– Nie jesteśmy nieludcy, Roger. Gdybyś odmówił, po prostu byśmy cię tam przetrzymali, dopóki Alfa nie zleciłaby napisania rekomendacji któremuś z twoich kolegów. Prawdopodobnie zrobiłby to Ferdinand, tak chyba ma na imię.

– Ferdy – mruknąłem z ponurą miną.

– No właśnie. Wydawał się bardzo pozytywnie nastawiony. Podobnie zresztą jak prezes zarządu i rzecznik prasowy. Czy ty też nie miałeś takiego wrażenia, Roger? Zgadzasz się, że w zasadzie mogła mi zaszkodzić jedynie negatywna opinia, i to wyłącznie samego Rogera Browna? Jak widzisz, nie musieliśmy

wyrządzać ci krzywdy.

– Kłamiesz – oświadczyłem.

– Doprawdy?

– Nie planowałeś pozostawienia mnie przy życiu. Dlaczego miałbyś mnie później wypuścić, ryzykując, że ujawnię, co zrobiłeś?

– Miałbym dla ciebie ofertę. Wieczne życie w zamian za wieczne milczenie.

– Zdradzeni mężowie nie są obliczalnymi partnerami w biznesie, Greve. Dobrze o tym wiesz.

Greve pogładził się pistoletem po brodzie.

– To prawda. No tak, masz rację. Raczej byśmy cię zabili. Ale w każdym razie taki plan przedstawiłem Dianie, a ona mi uwierzyła.

– Ponieważ chciała w to wierzyć.

– Estrogeny zaślepiają, Roger.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Dlaczego, u diabła, nikt nie przychodził...

– W tej samej szafce, w której znalazłem fartuch, była też tabliczka z napisem „NIE PRZESZKADZAĆ” – odezwał się Greve, jakby czytając mi w myślach. – Wydaje mi się, że wywieszają ją na drzwiach, kiedy pacjent korzysta z basenu.

Lufa celowała teraz wprost we mnie. Zauważyłem też palec zaginający się na spuście. Nie uniósł pistoletu, najwyraźniej zamierzał strzelać z biodra, jak James

Cagney z nierealną celnością w gangsterskich filmach z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Niestety, coś mi mówiło, że Clas Greve również zalicza się do tych, którzy strzelają z nierealną celnością.

– Uznałem, że tabliczka bardzo się przyda. – Greve już mrużył oczy w oczekiwaniu na huk. – Śmierć to jednak bardzo prywatna sprawa, czyż nie?

Zamknąłem oczy. Cały czas miałem rację: byłem w niebie.

– Przepraszam, doktorze! – W pokoju zagrział donośny głos.

Otworzyłem oczy. I zobaczyłem, że za Grevem, tuż przy drzwiach, które już się zamykały, stoi trzech mężczyzn.

– Jesteśmy z policji – przemówił ten w cywilu. – Sprawa dotyczy zabójstwa, musieliśmy więc zignorować tabliczkę na drzwiach.

Zobaczyłem, że anioł niosący mi ocalenie w istocie jest podobny do wspomnianego już Jamesa Cagneya. Ale może tylko przez szary prochowiec. A może przez leki, które mi podano. Bo dwaj jego towarzysze w czarnych policyjnych mundurach z odblaskowymi taśmami w szachownicę, co kojarzyło się z kombinezonami dla dzieci, wyglądali co najmniej równie nieprawdopodobnie: byli identyczni jak dwie krople wody, tłuści jak świnie i wysocy jak wieże.

Greve zdrętwiał i popatrzył na mnie z wściekłością,

nie odwracając się. Niewidoczny dla policjantów pistolet wciąż we mnie celował.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy, bo przecież chodzi o zabójstwo, doktorze. – Cywil nie ukrywał irytacji wywołanej całkowitym zignorowaniem go przez mężczyznę w białym kitlu.

– Ależ skąd. – Greve wciąż się nie odwracał. – Pacjent i ja akurat skończyliśmy. – Rozchylił fartuch i wsunął pistolet za pasek spodni.

– Ja... ja... – zacząłem, ale Greve mi przerwał:

– Spokojnie. Poinformuję pańską żonę Dianę o pana stanie. Może pan ją bezpiecznie oddać w nasze ręce. Zrozumiał pan? – Zamrugąłem. Greve pochylił się nad łóżkiem i przez kołdrę poklepał mnie po kolanie. – Zrobimy to delikatnie, rozumie pan?

W milczeniu kiwnąłem głową, pewnie znów przez te leki. To nie mogło działać się naprawdę.

Greve wyprostował się z uśmiechem.

– Diana ma zresztą rację, ma pan naprawdę wspaniałe włosy.

Odwrócił się, spuścił głowę, wbił wzrok w kartkę na podkładce i mijając policjantów, rzucił jeszcze cicho:

– Jest wasz. Na razie.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, James Cagney zrobił krok do przodu.

– Nazywam się Sunded.

Wolno skinałem głową, czując, jak bandaż wrzyna mi się w skórę.

– Zjawiliście się w ostatniej chwili, Sundet.

– Sunded – powtórzył z powagą. – „Ded” na końcu. Jestem śledczym i zajmuję się zabójstwami. Zostałem tu oddelegowany z KRIPOS w Oslo. KRIPOS to...

– Dobrze wiem, co to jest KRIPOS – powiedziałem.

– Świetnie. A to Endride i Eskild Monsenowie z policji w Elverum.

Przyjrzałem im się z podziwem. Dwa bliźniacze mory z identycznymi podkreconymi wąsami, ubrane w identyczne mundury. Doprawdy, niezła masa policji naraz.

– Najpierw wyjaśnię, jakie prawa panu przysługują – zaczął Sunded.

– Chwileczkę! – zawołałem. – Co to oznacza?

Sunded uśmiechnął się ze zmęczeniem.

– To oznacza, panie Kjikerud, że jest pan aresztowany.

– Kji... – ugryzłem się w język. Sunded pomachał mi czymś przed nosem. Rozpoznałem kartę kredytową. Niebieską. Kartę Ovego. Wyjętą z mojej kieszeni. Sunded pytająco uniósł brwi. – Kji... szka – dokończyłem. – Za co mnie aresztujecie?

– Za zabójstwo Sindrego Aa.

Patrzyłem na Sundeda, podczas gdy on, zamiast

przypominającej *Ojciec nasz* recytacji praw Mirandy z amerykańskich filmów, zwykłymi prostymi słowami przedstawiał przysługujące mi prawa do korzystania z pomocy adwokata i nieodzywania się ani słowem. Zakończył informacją, że ordynator dał zielone światło do zabrania mnie stąd, kiedy tylko się obudzę. Przecież mimo wszystko założyli mi jedynie kilka szwów na karku.

– W porządku – powiedziałem, jeszcze zanim skończył się tłumaczyć. – Z ogromną chęcią pójdę z wami.

16. RADIOWÓZ ZERO JEDEN

Szpital, jak się okazało, położony był na wsi, w pewnym oddaleniu za Elverum. Z ulgą patrzyłem, jak białe, przypominające materace budynki giną nam z oczu. A jeszcze większą ulgę czułem, ponieważ nigdzie nie widziałem srebrnoszarego lexusa. Jechaliśmy starym, ale dobrze utrzymanym volvo, którego silnik chodził z taką mocą, że podejrzewałem, iż był to zarekwirowany samochód rabusiów, przelakierowany na radiowóz policyjny.

– Gdzie jesteśmy? – spytałem z tylnego siedzenia, wciśnięty między imponujące korpusy Endridego i Eskilda Monsenów. Moje ubranie, to znaczy ubranie Ovego, oddano do pralni chemicznej, ale pielęgniarka przyniosła mi parę tenisówek i zielony dres z logo szpitala. Wręczyła mi go z surowym przykazaniem, że mam oddać uprany. Poza tym zwrócono mi wszystkie

klucze i portfel Ovego.

– W regionie Hedmark – odparł Sunded z miejsca, które w afroamerykańskich środowiskach gangsterskich nazywane bywa *the gunshot seat*, czyli z siedzenia pasażera.

– A dokąd jedziemy?

– Nic ci do tego – burknął młody pryszczaty kierowca i zmierzył mnie lodowatym spojrzeniem w tylnym lusterku. *Bad cop*. Czarna kurtka z beaver nylonu z żółtymi literami na plecach. „Klub Ko-daw-ying w Elverum”. Zakładałem, że to bardzo tajemniczy i nowo odkryty, chociaż prastary sport walki. I że to obsesyjne żucie gumy wpłynęło na rozwój mięśni szczęk, które w stosunku do reszty ciała wydawały się przerośnięte. Pryszczaty był tak drobny i wąski w ramionach, że jego ręce trzymane na kierownicy układały się w literę V.

– Uważaj, jak jedziesz – powiedział cicho Sunded.

Pryszczaty mruknął coś i ze złością wbił wzrok w zabłocony pas asfaltu, przecinający płaski jak naleśnik obszar uprawnych pól.

– Jedziemy na posterunek policji w Elverum, Kjikerud – wyjaśnił Sunded. – Przyjechałem z Oslo i mam cię przesłuchiwać. Dzisiaj, a jeśli to będzie konieczne – również jutro. I pojutrze. Mam nadzieję, że zachowasz się przyzwoicie, bo nie lubię okolic Hedmark. – Zabębnił palcami w niedużą walizeczkę przypominającą *beauty bag* – kuferek na kosmetyki – którą Endride musiał przekazać mu na przód, ponieważ

z nami trzema po prostu nie mieściła się już z tyłu.

– Zachowam się przyzwoicie – odparłem, czując, że ręce mi drętwieją. Bliźniacy Monsenowie oddychali rytmicznie, a to oznaczało, że co cztery sekundy ściskali mnie jak tubkę z pastą do zębów. Zastanawiałem się, czy nie poprosić któregoś o zmianę częstotliwości oddychania, ale dałem sobie spokój. Po tym, jak mierzył we mnie pistolet Grevego, w samochodzie czułem się wręcz przyjemnie bezpieczny. Przypomniałem sobie nawet, jak w dzieciństwie ojciec zabrał mnie do pracy, bo mama była chora, i siedziałem między poważnymi, ale miłymi dorosłymi z tyłu w limuzynie ambasady. Wszyscy byli elegancko ubrani, ale nie tak elegancko jak ojciec, który miał na głowie czapkę szofera i dostojnie, ze spokojem prowadził samochód. Później kupił mi loda i powiedział, że zachowałem się jak prawdziwy dżentelmen.

Zatrzeszczało radio.

– Cicho! – Pryszczaty przerwał milczenie w samochodzie.

– Meldunek do wszystkich wozów patrolowych – zaskrzypiał nosowy damski głos.

– Do obu wozów patrolowych – poprawił ją pryszczaty i podgłośnił.

– Egmon Karlsen zgłosił kradzież ciężarówki...

Dalszy ciąg wiadomości utonął wśród śmiechu pryszczatego i bliźniaków. Ciała im się trzęsły i drżały,

masując mnie w całkiem przyjemny sposób. Wydaje mi się, że leki wciąż działały.

Pryszczaty sięgnął po mikrofon.

– Czy Karlsen wydawał się trzeźwy? *Over*.

– Nie, nie całkiem – odparła kobieta.

– To znaczy, że znów jeździł po pijaku, zostawił gdzieś wóz i zapomniał. Zadzwoń do pubu Misiek, ciężarówka z całą pewnością tam stoi. Tir na osiemnastu kołach z napisem „Kuchnie Sigdal” na boku. *Over* i bez odbioru.

Odwiesił mikrofon, a ponieważ atmosfera w samochodzie wyraźnie się poprawiła, postanowiłem wykorzystać okazję:

– Z tego, co zrozumiałem, ktoś został zamordowany, ale można spytać, jaki to ma związek ze mną?

Odpowiedzią na moje pytanie było milczenie, ale po Sundedzie poznałem, że myśli. Nagle odwrócił się do tyłu i wbił we mnie wzrok.

– Okej, równie dobrze możemy mieć to już za sobą. Wiemy, że ty to zrobiłeś, panie Kjikerud, i nie masz szans się z tego wywinąć. Mamy zwłoki, miejsce zbrodni i dowody, które wiążą cię i z jednym, i z drugim.

Powinienem być zszokowany, przerażony, czuć, jak serce podskakuje mi w piersi, opada czy co tam robi, kiedy się słyszy triumfalny głos policjanta oznajmiającego, że może ci załatwić dożywocie w

pudle. Ale ja wcale się nie przestraszyłem. Bo ja nie słyszałem triumfującego policjanta, tylko Inbau, Reida i Buckleya. Pierwszy stopień. Bezpośrednia konfrontacja. Według podręcznika: śledczy na wstępie przesłuchania ma jasno oświadczyć, że policja wie wszystko. Należy mówić „my” i „policja”, nigdy „ja”. I „wiemy” zamiast „wydaje nam się”. Trzeba osłabić pewność siebie przesłuchiwanego, do osób o niskim statusie społecznym należy zwracać się „panie”, a do tych o wysokim – po imieniu.

– Między nami mówiąc – ciągnął Sunded, zniżając głos, co w oczywisty sposób miało sygnalizować poufalskość – z tego, co słyszę, Sindre Aa i tak był skończony. Gdybyś ty nie załatwił tego malkontenta, prawdopodobnie zrobiłby to ktoś inny.

Słumiłem ziewnięcie. Stopień drugi. Sympatyzować z podejrzanym poprzez minimalizację wagi czynu.

Nie odpowiadałem, więc Sunded kontynuował:

– Dobra wiadomość jest taka, że jeśli szybko przyznasz się do winy, będę mógł ci zapewnić złagodzenie kary.

Ojej. K o n k r e t n a o b i e t n i c a! To była taktyka, której Inbau, Reid i Buckley absolutnie zabraniali. Pułapka prawna, do której uciekali się wyłącznie najbardziej zdesperowani. Ten facet naprawdę miał wielką ochotę wyjechać z Hedmark.

– Więc dlaczego to zrobiłeś, Kjikerud?

Wyjrzałem przez boczną szybę. Pole. Gospodarstwo. Pole. Gospodarstwo. Pole. Strumień. Pole. Cudownie usypiające.

– No i jak, Kjikerud? – usłyszałem, że Sunded bębni palcami o kuferek.

– Kłamiesz – rzuciłem.

Bębnienie ustało.

– Powtórz!

– Kłamiesz, Sunded. Nie wiem, kim jest Sindre Aa, i nic na mnie nie macie.

Sunded zaśmiał się krótko, jakby warknęła kosiarka.

– Nie? No to powiedz, gdzie byłeś przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny? Wyświadczysz nam tę przysługę, Kjikerud?

– Być może – odparłem. – Jeśli mi wyjaśnicie, o co w tej sprawie chodzi.

– Przyłóż mu – warknął pryszczaty. – Endride, przyłóż...

– Zamknij się! – powiedział spokojnie Sunded, odwracając się do mnie. – Dlaczego mielibyśmy ci to mówić?

– Ponieważ wtedy może zechcę z wami rozmawiać. A jeśli nie, to nie pisnę ani słowa, dopóki nie zjawi się mój adwokat. Z Oslo. – Zobaczyłem, że Sundedowi napinają się wargi, więc jeszcze dołożyłem: – Może uda mu się przyjechać jutro, jeśli będziemy mieć

szczęście.

Sunded przekrzywił głowę i przyjrzał mi się, jakbym był insektem, a on się zastanawiał, czy włączyć go do swojej kolekcji, czy też po prostu rozgnieść.

– W porządku, Kjikerud. Zaczęło się od tego, że twoi sąsiedzi z tyłu otrzymali przez telefon informację o porzuconym na środku drogi traktorze. Znaleźli traktor i stado wron, które ucztowały na widłach. Zdążyły już zeżreć wszystkie flaki tego kundla. Traktor należał do Sindrego Aa, lecz on z przyczyn naturalnych nie odebrał telefonu. Ktoś więc wybrał się tam i znalazł go na bujanym fotelu, tak jak go zostawiłeś. W stodole zastaliśmy mercedesa z rozpieprzonym silnikiem i tablicami jasno wskazującymi, że samochód jest twój, Kjikerud. Komenda w Elverum w końcu powiązała martwego psa z rutynowym raportem ze szpitala dotyczącym półprzytomnego mężczyzny utaplanego w gnoju, którego przywieziono z paskudnym pogryzieniem. Policjanci zadzwonili tam i dyżurna pielęgniarka przekazała, że wprawdzie pacjent jest nieprzytomny, ale w jego kieszeni znaleziono kartę kredytową na nazwisko Ovego Kjikeruda. Pstryk i przyjechalśmy.

Pokiwałem głową. Już wiedziałem, jak znalazła mnie policja, ale jak, na miłość boską, udało się to Grevemu? To pytanie już wcześniej krążyło mi po otępiałym mózgu, ale, jak się okazało, otępiałym do tego stopnia, że dopiero teraz przysłała mi do głowy straszna myśl: Greve mógł mieć kontakty również w miejscowej

policii. Kogoś, kto pomógł mu przybyć przed nimi. Nie! Przecież wparowali do sali i ocalili mi życie. Pomyłka! To Sunded wparował, niewtajemniczony policjant z KRIPOS w Oslo. Czuję już narastający ból głowy, gdy objawiła się kolejna myśl: założmy, że jest tak, jak podejrzewam. Czy wobec tego będę bezpieczny w więziennej celi? Nagle zsynchronizowane oddechy braci Monsenów przestały mi się wydawać takie bezpieczne. Nic nie było bezpieczne, miałem wrażenie, że do niczego na tym świecie nie mogę mieć zaufania. Do nikogo. Może z wyjątkiem jednej osoby. Tego niewtajemniczonego. Człowieka z *beauty bag*. Powinienem wyłożyć karty na stół, powiedzieć wszystko Sundedowi, poprosić o zabranie mnie na inny posterunek. Ten w Elverum z pewnością był skorumpowany, a najprawdopodobniej przynajmniej jeden kret siedział w tym radiowozie.

Radio znów zatrzeszczało.

– Wóz zero jeden, odezwiij się.

Pryszczaty chwycił mikrofon.

– Tak, Lise?

– Pod pubem Misiek nie stoi żaden tir. *Over*.

Wyznanie wszystkiego Sundedowi oznaczałoby, rzecz jasna, konieczność ujawnienia się w roli złodzieja dzieł sztuki. I jak miałbym ich przekonać, że zastrzeliłem Ovego w samoobronie, ba, że to był prawie wypadek? Zabiłem człowieka tak oszołomionego środkami zaaplikowanymi mu przez Grevego, że dostał

rozbieżnego zeza.

– Uspokój się, Lise. Popytaj. W tej wiosce nikt nie jest w stanie ukryć osiemnastometrowego tira. Okej?

W głosie, który mu odpowiedział, brzmiała uraza:

– Karlsen mówi, że to ty masz go poszukać. Jesteś policjantem i w dodatku jego szwagrem. Odbiór.

– Za cholerę. Zapomnij o tym, Lise.

– Twierdzi, że wcale za dużo nie wymaga, bo dostałeś najmniej brzydką z jego sióstr.

Dźwięczny śmiech braci Monsenów aż mną wstrząsnął.

– Przekaż temu idiocie, że dziś wyjątkowo mamy poważną policyjną robotę – syknął przyszczaty. – *Over* i bez odbioru.

Naprawdę nie wiedziałem, jak dalej rozgrywać tę partię. Kwestią czasu pozostawało odkrycie, że nie jestem tym, za kogo mnie uważali. Czy powinienem im to wyjawić od razu? Czy też zostawić to sobie jako kartę przetargową?

– Teraz twoja kolej, Kjikerud – powiedział Sunded.

– Trochę posprawdzałem. Jesteś naszym starym znajomym. I według naszych kwitów nie masz żony. Co więc miał na myśli ten lekarz, mówiąc, że zajmie się twoją żoną? Dianą, prawda?

Ta karta przepadła. Westchnąłem i wyjrzałem przez boczną szybę. Pustkowie. Same uprawne pola. Żadnego

samochodu nadjeżdżającego z przeciwka, żadnego domu, jedynie daleko na polu chmura pyłu podrywanego przez traktor albo jakiś inny pojazd.

– Nie wiem – odparłem. Czuję, że muszę myśleć jaśniej. Że muszę widzieć szachownicę.

– Co cię łączyło z Sindrem Aa, Kjikerud?

Słuchanie tego obcego nazwiska zaczęło mnie męczyć. Już miałem odpowiedzieć, gdy nagle uświadomiłem sobie, że się pomyliłem. Znowu. Przecież policja uważała, że jestem Ovem Kjikerudem. Podano im, że człowiek o tym właśnie nazwisku przebywa w szpitalu. Lecz jeśli przekazali tę informację dalej Clasowi Greve, to dlaczego przyszedł do szpitala do tego Kjikeruda? Przecież Greve nigdy w życiu nie słyszał o żadnym Kjikerudzie. Nikt na świecie nie wiedział, że Ovego Kjikeruda cokolwiek łączy ze mną, Rogerem Brownem! To ani trochę nie trzymało się kupy. Greve musiał mnie znaleźć w zupełnie inny sposób!

Obłok kurzu na polu zbliżał się w naszą stronę.

– Słyszałeś pytanie, Kjikerud?

Najpierw Greve odszukał mnie w chacie. Potem w szpitalu. Mimo że wyrzuciłem komórkę. Greve nie miał żadnych kontaktów ani w Telenorze, ani w policji. Ale wobec tego jakim sposobem...

– Kjikerud! Halo!

Chmura pyłu na bocznej drodze miała większą prędkość, niż na to wyglądało z boku. Na szosie przed

nami dostrzegłem skrzyżowanie i nagle przyszło mi do głowy, że ten pojazd jakby kieruje się na nas. Że jesteśmy na linii zderzenia. Miałem tylko nadzieję, że tamten drugi samochód zdaje sobie sprawę, że to my mamy pierwszeństwo.

Ale może pryszczaty na wszelki wypadek powinien go o tym uprzedzić i wcisnąć klakson. Co też Greve powiedział w szpitalu? „Diana ma zresztą rację, ma pan naprawdę wspaniałe włosy”. Zamknąłem oczy i nagle poczułem jej rękę, przeczesującą moje włosy w garażu. Zapach. Pachniała inaczej. Pachniała nim, Grevem. Nie, nie Grevem, pachniała HOTE. Kierował się na nas. I jak na zwolnionym filmie wszystko nagle złożyło się w całość. Dlaczego nie zrozumiałem tego wcześniej? Otworzyłem oczy.

– Grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo, Sunded.

– Jediną osobą, której cokolwiek tutaj grozi, jesteś ty, Kjikerud czy jak tam się nazywasz.

– Co?

Sunded spojrział w lusterko i machnął kartą kredytową, którą pokazał mi w szpitalu.

– Na tym zdjęciu nie jesteś podobny do faceta, który nazywa się Kjikerud. Kiedy sprawdzałem Kjikeruda w SANSAK-u, okazało się, że on ma metr siedemdziesiąt trzy wzrostu. A ty... ile? Metr sześćdziesiąt pięć?

W radiowozie zapadła cisza. Wpatrywałem się w chmurę kurzu, która zbliżała się do nas coraz szybciej.

To nie był samochód osobowy. To był tir z przyczepą. Dotarł już tak blisko, że mogłem odczytać napis na boku. „KUCHNIE SIGDAL”.

– Metr sześćdziesiąt osiem – odparłem.

– No to kim ty, u diabła, jesteś? – burknął Sunded.

– Jestem Roger Brown. A na lewo macie ten skradziony tir Karlsena.

Wszystkie głowy zwróciły się w lewą stronę.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – warknął Sunded.

– Dzieje się to – wyjaśniłem – że tym tirem jedzie facet, który się nazywa Clas Greve. On dobrze wie, że jestem w tym samochodzie, i ma zamiar mnie zabić.

– W jaki sposób...

– Ma lokalizator GPS, dzięki któremu jest w stanie znaleźć mnie wszędzie. I może to zrobić od chwili, gdy moja żona zmierzwiła mi włosy w garażu wczoraj rano. Ręką nasmarowaną żelem zawierającym mikroskopijne nadajniki, które przylepiły mi się do włosów w taki sposób, że nie da się ich zmyć!

– Skończ z tymi bzdurami! – zachnął się śledczy z KRIPOS.

– Sunded... – zaczął pryszczaty. – To naprawdę tir Karlsena.

– Musimy się zatrzymać i zawrócić! – zawołałem. – Inaczej on zabije nas wszystkich. Stój!

– Jedź! – nakazał Sunded.

– Nie rozumiecie, co się dzieje? – krzyknąłem. –
Zaraz będziesz martwy, Sunded!

Sunded zaczął się śmiać swoim kosiarkowym śmiechem, ale tak jakby trawa była za wysoka. Bo teraz i on to dostrzegł. Widział, że jest już za późno.

17. KUCHNIE SIGDAL

Kolizja dwóch pojazdów to prosta fizyka. Wszystko jest pozostawione przypadkom, ale przypadki dadzą się sprowadzić do równania siła razy czas równa się masa razy zmiana prędkości. Po wstawieniu przypadków w miejsce zmiennych otrzymujesz opowieść, która jest prosta, prawdziwa i bezlitosna. Na przykład o tym, co się dzieje, kiedy wyładowany tir o wadze dwudziestu pięciu ton, jadący z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, zderzy się z samochodem osobowym o wadze tysiąca ośmiuset kilogramów (wliczając w to bliźniaków Monsenów), jadącym z taką samą prędkością. W zależności od przypadków, takich jak punkt zderzenia, rodzaj karoserii i położenie ciał w stosunku do siebie, istnieje nieskończenie wiele wariantów tej opowieści. Mają one jednak dwie wyraźne cechy wspólne: wszystkie kończą się tragicznie. I samochód osobowy zawsze przegrywa.

Kiedy tir prowadzony przez Clasa Greve o godzinie dziesiątej trzynaście uderzył w policyjny radiowóz zero jeden, volvo 740, rocznik 1989, tuż przed siedzeniem kierowcy, silnik, oba przednie koła i łydki przyczepnego zostały zepchnięte w bok w stosunku do reszty karoserii, a jednocześnie samochód wzbił się w powietrze. Nie zadziałała żadna poduszka powietrzna, ponieważ przed rokiem 1990 w volvo nie instalowano poduszek. Radiowóz zero jeden, który już był totalnym wrakiem, poszybował ponad szosą, unosząc się wysoko nad

barierką, i runął w świerki, gęsto rosnące nad rzeką w dole zbocza. Zanim skosił pierwsze wierzchołki drzew, zdążył wykonać dwa i pół molbergera i półtorej śruby. Na miejscu nie było żadnych świadków, którzy mogliby potwierdzić moje słowa, ale to fakt. To – jak już mówiłem – prosta fizyka. Dokładnie tak jak i to, że tir bez większych szkód swobodnie przejechał dalej przez puste skrzyżowanie i dopiero wtedy zaczął hamować ze zgrzytem. Parskał jak smok, kiedy hamulce wreszcie odpuściły, ale zapach spalonej gumy i okładziny hamulcowej zawisł nad okolicą jeszcze na wiele minut.

O dziesiątej czternaście świerki przestały się kołysać. Pył opadł, tir zatrzymał się z włączonym silnikiem, a niczym niezrażone słońce dalej świeciło na hedmarskie pola.

O dziesiątej piętnaście miejsce wypadku minął pierwszy samochód, a jego kierowca prawdopodobnie nie zauważył nic oprócz tego, że na bocznej gruntowej drodze stoi tir. Może jeszcze pod kołami zazgrzytało mu coś, co zapewne było odłamkami szkła. Nic natomiast nie wskazywało na to, że w dole, wśród drzew nad rzeką leży na dachu policyjny radiowóz.

Wszystko to wiem, ponieważ znajdowałem się w pozycji umożliwiającej stwierdzenie, że leżymy na dachu i że jesteśmy niewidoczni z drogi, bo zasłaniają nas drzewa. Godziny podaję z zastrzeżeniem – o ile zegarek Sundeda, który cykał mi tuż przed oczami, chodził dobrze. W każdym razie wydaje mi się, że to był

jego zegarek, bo tkwił na urwanej ręce wystającej z kawałka szarego prochowca.

Powiew wiatru przyniósł zapach żywicy z okładziny hamulcowej i odgłos silnika Diesla, pracującego na jałowym biegu.

Promienie słońca na bezchmurnym niebie migotały między drzewami, ale wokół mnie kapało, jakby padał deszcz. Benzyna, olej i krew. Kapało i spływało. Wszyscy nie żyli. Pryszczaty nie miał już pryszczki, bo nie miał już twarzy. To, co zostało z Sundeda, złożyło się jak tekturowa figurka. Widziałem, że wygląda spomiędzy swoich własnych nóg. Bliźniacy wydawali się jako tako cali, ale przestali oddychać. To, że ja żyłem, zawdzięczałem wyłącznie skłonnościom rodziny Monsenów do nabierania masy ciała i kształtowania z niego idealnej poduszki na wypadek zderzenia. Ale te same ciała, które uratowały mi życie, teraz mi je odbierały. Cała karoseria była zgnieciona, a ja zwisałem z siedzenia głową w dół. Jedną rękę miałem wolną, ale dwaj policjanci tak mnie ściskali, że nie byłem w stanie ani się poruszyć, ani nawet złapać tchu. Na razie niestety moje zmysły działały idealnie. Widziałem więc kapiącą benzynę, czułem, jak spływa mi do nogawki, jak sunie po ciele i wycieka przez dekolt. Słyszałem tira stojącego wyżej na drodze, jego wyczekujące parskanie i charczenie. I rozumiałem, że Clas Greve siedzi w środku, myśli i ocenia. Patrzy na ten swój lokalizator i widzi, że się nie poruszam. Zastanawia się pewnie, czy mimo wszystko nie

powinien zejść na dół i upewnić się, że wszyscy zginęli, ale z drugiej strony opuszczenie się w dół zbrocza jest dosyć trudne, a wspinaczka jeszcze trudniejsza. No i chyba nikt nie mógł przeżyć takiego zderzenia. Ale przecież o tyle lepiej by się spało, gdyby człowiek przekonał się o tym na własne oczy...

Jedź, modliłem się w duchu. Jedź.

Bo najgorsze w tej mojej pełnej przytomności było to, że potrafiłem sobie wyobrazić, co się stanie, kiedy on mnie zobaczy zalanego benzyną.

Jedź, jedź!

Silnik tira gdałał, jakby prowadził dyskusję sam ze sobą.

Teraz nie miałem już najmniejszych wątpliwości, co naprawdę się wydarzyło. Greve nie podszedł do Sindrego Aa na schodach, żeby spytać, gdzie jestem, bo to mógł określić co do metra, dzięki swojemu lokalizatorowi. Aa trzeba było sprzątnąć po prostu dlatego, że widział Grevego i jego samochód. Ale w czasie gdy Greve szedł ścieżką do chaty, ja przeniosłem się do wychodka, więc kiedy mnie tam nie zastał, jeszcze raz sprawdził odbiornik. I ku swemu zdumieniu zobaczył, że wysyłany przeze mnie sygnał zniknął. Stało się tak dlatego, że nadajniki umieszczone na moich włosach były akurat w tamtym momencie unurzane w gnoju, a, jak wiadomo, nadajniki HOTE nie są w stanie wysyłać dostatecznie silnych sygnałów przenikających przez tego rodzaju substancje. Ja, idiota, miałem więcej

szczęścia niż rozumu. Następnie Greve wysłał psa, żeby mnie odnalazł, a sam czekał. Wciąż nie miał sygnałów, bo przecież gównem zaschło wokół nadajników i dalej blokowało nadawanie. Ja w tym w czasie byłem w stodole, oglądałem zwłoki Sindrego Aa i uciekałem traktorem. Dopiero w środku nocy lokalizator Grewego nagle znów zaczął odbierać sygnały. Leżałem wówczas na noszach w szpitalu, a woda splukiwała zaschnięte ekskrementy z moich włosów. Greve natychmiast wszedł do samochodu i już o świcie był w szpitalu. Bóg jeden wie, w jaki sposób zdołał ukraść tira, ale w każdym razie nie miał najmniejszych problemów z odnalezieniem mnie, tego bełkoczącego idioty Browna, który dosłownie prosił się o to, by go złapać.

Palce urwanej ręki Sundeda wciąż zaciskały się na rączce podróznego kuferka. Zegarek na nadgarstku chodził. Dziesiąta szesnaście. Za minutę stracę świadomość, za dwie się uduszę. Musisz podjąć decyzję, Greve.

I podjął. Usłyszałem, że tir beknął. Obroty spadły. Zgasł silnik, a więc Greve jednak kierował się tutaj! Albo... albo wrzucił bieg?

Cichy pomruk, chrzęst żwiru pod oponami dźwigającymi dwadzieścia pięć ton. Warkot narastał. Stawał się coraz głośniejszy. Aż w końcu zaczął cichnąć. Zniknął gdzieś w oddali. Zamarł.

Zamknąłem oczy i dziękowałem. Za to, że nie spłonę żywcem, tylko zwyczajnie umrę z braku tlenu, bo to

wcale nie najgorsza śmierć. Mózg po kolei wyłącza obszary, człowiek staje się senny, otepiały, przestaje myśleć i wszystkie problemy znikają. Przypomina to w pewnym sensie wypicie kilku mocnych drinków. Pomyślałem, że jestem w stanie przeżyć taką śmierć.

Prawie mnie to rozśmieszyło.

Ja, który całe życie poświęciłem na to, by stać się kompletnym przeciwieństwem ojca, miałem jednak dokonać żywota we wraku samochodu. Co właściwie mnie od niego różniło? Kiedy byłem już za duży na to, żeby ten przeklęty pijak mógł mnie bić, zacząłem bić jego. W taki sam sposób, w jaki on bił matkę, bez pozostawiania widocznych śladów. Uprzejmie odmówiłem nauki prowadzenia samochodu, oświadczając mu, że nie interesuje mnie prawo jazdy. Poderwałem brzydką, rozpieszczoną córkę ambasadora, którą ojciec codziennie odwoził do szkoły, jedynie po to, żebym mógł przyprowadzić ją do domu na obiad i tym go upokorzyć. Ale żałowałem na widok matki płaczącej w kuchni między głównym daniem a deserem. Wybrałem uczelnię w Londynie, o której ojciec mówił, że to przeklęta elitarna szkoła dla krwiopijców. Ale nie przejął się tym aż tak bardzo, jak na to liczyłem. Zdołał nawet uśmiechnąć się z udawaną dumą, gdy mu o tym powiedziałem. Przebiegły szatan. Kiedy więc tego samego roku jesienią spytał, czy mógłby razem z matką przyjechać z Norwegii i odwiedzić mnie w kampusie, odmówiłem, argumentując, że nie chcę, by koledzy ze studiów zorientowali się, iż mój ojciec wcale nie jest

wysokim rangą dyplomatą, tylko prostym szoferem. Wydawało mi się, że trafiłem w czuły punkt. Podkreślałam, że nie mam na myśli punktu, w którym uruchamia się czułość, tylko ból.

Dwa tygodnie przed ślubem zadzwoniłem do matki, oświadczyłem, że się żenię, i wyjaśniłem, że ślub będzie cichy, tylko my i dwoje świadków, ale ją zapraszam, pod warunkiem że przyjedzie bez ojca. Rozgniewała się. Powiedziała, że oczywiście nie zamierza przyjeżdżać bez niego. Szlachetne, wierne dusze często cierpią z powodu kalectwa lojalności wobec największych nikczemników. Najczęściej wobec nikczemników.

Diana miała poznać moich rodziców po zakończeniu tamtego letniego semestru, ale trzy tygodnie przed wyjazdem z Londynu przyszła wiadomość o wypadku. W drodze z domku letniskowego. Tak powiedział mi policjant, przekrzykując trzaski na linii telefonicznej. Wieczór, deszcz, samochód jechał ze zbyt dużą prędkością. Tymczasowy objazd na starej drodze z powodu rozbudowy autostrady. Nowy, może trochę nielogiczny zakręt, ale należycie oznakowany, z informacją o niebezpieczeństwie. Świeżo położony asfalt chłonał światło, to pewne. Zaparkowana maszyna budowlana. Przerwałem policjantowi, mówiąc, że powinni zbadać ojcu krew na zawartość alkoholu. Jedyne po to, żeby potwierdzić to, co już i tak wiedziałem: że to on zabił matkę.

Tego wieczoru w pubie na Barons Court po raz pierwszy spróbowałem alkoholu. I publicznie płakałem. Wieczorem, kiedy zmyłem łzy w cuchnącej toalecie, ujrzałem w popękanej lustrze obwisłą, zapijaczoną twarz ojca. I przypomniał mi się uważny, spokojny błysk w jego oczach, kiedy zrzucił figury z szachownicy i uderzył królową, która zawirowała w powietrzu – dwa i pół molbergera – zanim upadła na podłogę. Potem uderzył mnie. Tylko ten jeden raz. Ale uderzył. Płaską ręką tuż pod uchem. Wtedy w jego oczach dostrzegłem to, co matka nazywała Chorobą. To ona była wstrętnym, pełnym gracji, krwiożerczym potworem mieszkającym za jego oczami. Ale Choroba również była nim. Moim ojcem. Moją krwią i kością.

Krew.

Coś, co tkwiło głęboko ukryte, co długo chowało się pod wszystkimi pokładami zaprzeczeń, wypłynęło na powierzchnię. Rozmyte wspomnienie wysnutej myśli, która nie pozwalała już dłużej bawić się w chowanego. Nabierała mocniejszych kształtów. Boleśnie się artykułowała. Stawała prawdą. Prawdą, którą do tej pory zdołałem utrzymać na odległość wyciągniętej ręki, okłamując samego siebie. To nie strach przed tym, że dziecko zabierze mi miejsce, sprawiał, że nie chciałem mieć dzieci. To lęk przed Chorobą. Lęk, że ja, syn, również na nią cierpię. Że skrywa się również za moimi oczami. Okłamałem wszystkich. Lotte powiedziałem, że nie chciałem dziecka z powodu wady, błędu chromosomów. Prawda była taka, że to ja miałem wadę.

Wszystko unosiło się teraz na powierzchni. Moje życie było masą spadkową, a mózg założył pokrowce na meble, pozamykał drzwi, szykował się do wyłączenia prądu. Kapało i płynęło. Ciekło z moich oczu, na czoło, na nasadę włosów. Uduszenie między dwoma ludzkimi balonami. Pomyślałem o Lotte. I tam, na progu, nagle coś się rozjaśniło. Ujrzałem światło. Zobaczyłem.. Dianę. Co ta zdrajczyni teraz tu robi? Balony...

Moja swobodnie zwisająca ręka poruszyła się w stronę kuferka. Zdrętwiałe palce usunęły palce Sundeda z rączki i otworzyły. Spływająca po mnie benzyna skapywała do wnętrza walizeczki, a ja w niej grzebałem. Wyciągnąłem koszulę, parę skarpetek, slipy i kosmetyczkę. Nic więcej nie było. Wolną ręką otworzyłem kosmetyczkę i wysypałem jej zawartość na sufit. Pasta do zębów, maszynka do golenia, plaster, szampon, przezroczysta plastikowa torebka, której używał niewątpliwie podczas kontroli bezpieczeństwa na lotniskach, wazelina... Są! Nożyczki. Maleńkie, ostre, z lekko wygiętymi końcami. Niektórzy ludzie z nieznanых powodów wolą je od nowoczesnych obcinaczy.

Zacząłem obmacywać ręką jednego z bliźniaków, szukając zamka błyskawicznego albo guzików. Brzuch, pierś. Ale traciłem już czucie i palce nie chciały mnie słuchać ani wysyłać informacji do mózgu. Złapałem więc nożyczki i wbilem ich czubek w brzuch... Hm... powiedzmy, że to był Endride.

Nylon poddał się z oswobadzającym trzaskiem, rozsunął się i odsłonił sterczący bebecch, upchnięty w jasnoniebieski materiał policyjnej koszuli. Szybko przeciąłem również koszulę. Z dziury wyłoniło się tłuste ciało pokryte włochatą sinobiałą skórą. Teraz miało nastąpić to, czego bałem się najbardziej. Ale myśl o czekającej mnie możliwej nagrodzie – oddychać, żyć – wyparła wszystko inne, nakierowałem więc nożyczki i z całej siły wbiłem je w brzuch tuż powyżej pępka. Wyciągnąłem. Nic się nie stało.

Dziwne. Przecież w brzuchu wyraźnie widać było dziurę, ale nic się z niej nie wydobywało. Nic takiego, co zmniejszyłoby nacisk na mnie, a na to przecież liczyłem. Balon wciąż był tak samo nadmuchany.

Ukłułem znów. Nowa dziura. Kolejna wyschnięta studnia.

Zacząłem wściekle kłuć nożyczkami. Ciach, ciach. Nic. Z czego właściwie były zrobione te bliźniaki? Czyżby z samego tłuszczu? Czyżby fala otyłości miała uśmiercić również mnie?

Drogą na górze przejechał kolejny samochód.

Próbowałem krzyczeć, ale brakowało mi powietrza.

Ostatkiem sił wbiłem nożyczki w brzuch, ale tym razem ich nie wyciągnąłem, bo po prostu byłem wyczerpany. Po chwili zacząłem nimi poruszać. Rozsuwałem kciuk i palec wskazujący i zaraz znów je łączyłem, wcinając się w głąb. Szło mi zaskakująco łatwo. I coś zaczęło się dziać. Z dziurki wypłynęła

strużka krwi, pociekła po brzuchu, zniknęła pod ubraniem i ukazała się znów na owłosionej szyi. Spłynęła po brodzie, przesunęła się po wargach i skryła się w dziurce od nosa. Ciąłem dalej. Teraz już gorączkowo. I odkryłem, że człowiek jest, doprawdy, bardzo kruchą istotą, bo zaczął się otwierać, pękać jak ćwiartowany wieloryb, którego widziałem w telewizji. I to jedynie za sprawą małych nożyczek.

Nie ustawałem, aż w brzuchu pojawiła się szczelina sięgająca od pasa po żebra. Ale wielkich ilości krwi i wnętrzości, jakich się spodziewałem, nie było. Nagle ręka całkiem mi zdrętwiała. Nożyczki wypadły mi z dłoni i powrócił stary znajomy: widzenie tunelowe. W otworze widziałem sufit samochodu. Wzór w szachownicę w odcieniach szarości. Zniszczone figury leżały rozsypane dookoła. Poddałem się. Zamknąłem oczy. Cudownie było móc się poddać. Czuję, że siła ciężenia ciągnie mnie w dół, ku wnętrzu ziemi, jak dziecko wydostające się z matczyego inkubatora. Miałem zostać wyciśnięty. Śmierć była nowymi narodzinami. Czuję nawet skurcze porodowe, drżące skurcze, które mnie masowały. Widziałem białą królową. Słyszałem dźwięk wód płodowych chlustających na podłogę.

I odór.

Na Boga, co za odór!

Urodziłem się. Moje nowe życie rozpoczęło się od upadku i uderzenia w głowę, po którym nastąpiła

kompletna ciemność.

Kompletna ciemność.

Ciemność.

Tlen?

Jasność.

Otworzyłem oczy.

Leżałem na plecach, nad sobą widziałem tylne siedzenie, to, na którym jeszcze przed chwilą tkwiłem, wciśnięty między bliźniaków. A więc udało się, leżałem na suficie radiowozu. Na szachownicy. I oddychałem. Cuchnęło śmiercią i ludzkimi wnętrznościami. Rozejrzałem się. Miałem wrażenie, że jestem w rzeźni, w masarni. Dziwne jednak było to, że zamiast zrobić coś, co leży w mojej naturze – wyprzeć, zaprzeczyć, uciec – mój mózg nagle jakby się rozszerzył, by uchwycić cały zakres wrażeń zmysłowych. Postanowiłem zostać tutaj. Wciągałem powietrze. Patrzyłem. Słuchałem. Zbierałem figury z podłogi. Ustawiałem je z powrotem na szachownicy. Kolejno, jedną po drugiej. W końcu podniosłem zniszczoną białą królową. Przyjrzałem jej się. Potem postawiłem ją naprzeciwko czarnego króla.

Część IV

WYBÓR

18. BIAŁA KRÓLOWA

Siedziałem we wraku samochodu i wpatrywałem się w maszynkę do golenia. Dziwne rzeczy przychodzą nam do głowy. Biała królowa miała skazę. Ta, którą wykorzystałem, żeby dać mata mojemu ojcu, mojemu pochodzeniu, całemu mojemu wcześniejszemu życiu. Ta, która mówiła, że mnie kocha. I ta, której przysięgałem, że nawet jeśli to kłamstwo, to jakaś moja częśćka zawsze będzie ją kochać już za same te słowa. Ta, którą nazwałem moją lepszą połową, ponieważ naprawdę wierzyłem, że jest częścią mojego janusowego oblicza, tą lepszą. Ale się pomyliłem. Nienawidziłem jej. A zresztą nawet nie. Diana Strom-Eliassen przestała dla mnie istnieć. Mimo to siedziałem tu, we wraku radiowożu, w otoczeniu czterech trupów, z elektryczną golarką w ręku i jedną jedyną myślą w głowie.

Czy Diana będzie umiała kochać mnie bez włosów?

Tak jak mówiłem, dziwne rzeczy przychodzą nam do głowy. Odsunąłem więc od siebie tę myśl, jednocześnie przesuwając w dół guzik z napisem „On”. Maszynka, która wcześniej należała do człowieka o profetycznym nazwisku Sunded, zawibrowała mi w ręku.

Zamierzałem się zmienić. Chciałem się zmienić.

Dawny Roger Brown przestał już istnieć. Wziąłem się do roboty.

Kwadrans później przejrzałem się w odłamku pozostałym z tylnego lusterka. Tak jak się tego obawiałem, nie był to piękny widok. Moja głowa wyglądała jak fistaszek w łupinie. Podłużna, z lekkim zagłębieniem na środku. Wygolona na łyso czaszka jaśniała bielą nad ciemniejszą skórą twarzy. Ale byłem sobą. Nowym Rogerem Brownem.

Między nogami leżały moje loki. Wepchnąłem je do przezroczystej plastikowej torebki, którą wsunąłem do kieszeni mundurowych spodni Eskilda Monsena. Znalazłem w niej portfel. Było w nim trochę pieniędzy i karta kredytowa. A ponieważ nie planowałem, by mnie wytropiono przez kartę Ovego Kjikeruda, postanowiłem ten portfel zabrać. Już wcześniej w kieszeni kurtki przyszczatego znalazłem zapalniczkę. I jeszcze raz rozważyłem, czy nie podpalić wraku zamarynowanego w benzynie. Opóźniłoby to identyfikację zwłok i może zapewniłoby dobrą spokoju do działań, ale z drugiej strony dym uruchomiłby alarm, zanim wy dostałbym się z tej okolicy. Natomiast bez dymu i przy odrobinie szczęścia mogło upłynąć ładnych kilka godzin, zanim ktoś odnajdzie samochód. Popatrzyłem na wątrobianą powierzchnię w miejscu, gdzie kiedyś była twarz przyszczatego, i podjąłem decyzję. Poświęciłem blisko dwadzieścia minut na ściągnięcie z niego spodni i kurtki, a następnie przebranie go w mój zielony dres. Dziwne, jak szybko można się przyzwycząić do cięcia i

krojenia ludzi. Kiedy wycinałem skórę na obu palcach wskazujących pryszczatego – nie mogłem sobie przypomnieć, czy odciski palców pobiera się z prawej, czy z lewej ręki – robiłem to z koncentracją i skutecznością chirurga. Potem pociąłem trochę skórę na kciuku, żeby obrażenia na rękach wyglądały na nieco bardziej przypadkowe. Kiedy się już z tym uporałem, cofnąłem się na dwa kroki od wraku i przyjrzałem rezultatowi. Krew, śmierć, cisza. Nawet brunatna mętna rzeka płynąca przez las wydawała się zastygła w milczeniu. Instalacja godna Mortena Viskuma. Gdybym miał przy sobie aparat, zrobiłbym zdjęcie i wysłał Dianie, proponując, by powiesiła je w galerii. Jako ostrzeżenie przed tym, co miało nastąpić. Jak to ujął Greve? To nie ból, lecz strach przed bólem zmusza człowieka do uległości.

Szedłem szosą. Oczywiście ryzykowałem, że akurat wtedy nadjedzie Clas Greve i mnie zobaczy. Ale to mnie nie martwiło. Po pierwsze, nie rozpoznałby łysego jak kolano faceta w czarnej kurtce z beaver nylonu z napisem „Klub Ko-daw-ying w Elverum” na plecach. Po drugie, ten człowiek szedł inaczej niż tamten Roger Brown, którego poznał Greve. Szedł bardziej wyprostowany, wolniejszym krokiem. Po trzecie, lokalizator GPS wyraźnie pokazywał, że wciąż znajduję się we wraku samochodu i nie ruszyłem się stamtąd nawet o metr. Zresztą rozsądnie, przecież nie żyłem.

Minąłem jakieś gospodarstwo, ale się nie zatrzymałem. Przejechał samochód. Lekko zwolnił, pewnie kierowca zastanawiał się, kim jestem, zaraz jednak dodał gazu i zniknął w ostrym jesiennym słońcu.

Przyjemnie pachniało. Ziemią i trawą, iglastym lasem i krowim łajnem. Rany na karku trochę bolały, ale odrętwienie w ciele ustępowało w miarę marszu. Wydłużyłem krok i odetchnąłem głęboko życiodajnym powietrzem.

Po półgodzinnej wędrówce wciąż znajdowałem się przy tym samym bezkresnym polu, ale w oddali widziałem już niebieską tabliczkę i wiatę. Przystanek autobusowy.

Kwadrans później wsiadłem do szarego autobusu, zapłaciłem gotówką wyjętą z portfela Eskilda Monsena i dowiedziałem się, że autobus jedzie do Elverum, skąd jest połączenie kolejowe do Oslo. Usiadłem naprzeciwko dwóch trzydziestoletnich platynowych blondynek. Żadna nie poświęciła mi choćby spojrzenia.

Przysnąłem, ale obudziłem się na dźwięk syreny, autobus zwolnił i zjechał na bok. Minął nas radiowóz policyjny z włączonym kogutem. Wóz zero dwa, pomyślałem i poczułem, że jedna z blondynek mi się przygląda. Kiedy napotkałem jej spojrzenie, wiedziałem, że chce odwrócić wzrok, kontakt był zbyt bezpośredni. Uważała, że jestem brzydki. Nie mogła się jednak oderwać. Uśmiechnąłem się do niej krzywo i odwróciłem się do szyby.

Słońce świeciło na rodzinne miasto starego Rogera Browna, kiedy nowy Roger Brown wysiadł z pociągu o godzinie piętnastej dziesiąt. Wiał jednak lodowaty wiatr, który wpadał w szczyżące zęby paszcze okaleczonych kamiennych tygrysów przed Dworcem Centralnym w Oslo, kiedy przechodziłem przez plac i szedłem dalej w stronę Skippergata.

Handlarze narkotyków i dziwki na Tollbugata patrzyli na mnie, ale nie wykrzykiwali ofert, tak jak poprzednio do dawnego Rogera Browna. Przed wejściem do hotelu Leon zatrzymałem się i spojrzałem w górę na fasadę, z której odpadł tynk, pozostawiając po sobie białe rany. Pod jednym z okien wisiał plakat obiecujący pokój za czterysta koron za noc.

Zrobiłem krok i wszedłem do recepcji. A raczej „repecji”, jak było napisane na szyldzie wiszącym nad głową mężczyzny za kontuarem.

– Tak? – rzucił zamiast standardowego „witam”, do którego przyzwyczailem się w hotelach, które odwiedzał dawny Roger Brown. Twarz recepcjonisty pokrywał werniks potu, jakby ciężko pracował, pił za dużo kawy albo był nerwowy z natury. Błądzące spojrzenie wskazywało na to ostatnie.

– Ma pan jedynekę? – spytałem.

– Tak. Na jak długo?

– Na jedną dobę.

– Na całą?

Nigdy wcześniej nie byłem w hotelu Leon, ale kilkakrotnie tędy przejeżdżałem i domyślałem się, że wynajmują tu pokoje na godziny osobom kochającym zawodowo. A więc kobietom, które nie mają dość urody albo rozumu, by wykorzystać ciało do zdobycia domu zaprojektowanego przez Ovego Banga i własnej galerii na Frogner.

Kiwnąłem głową.

– Czteryśta – powiedział mężczyzna. – Płatne z góry.

Miał coś w rodzaju szwedzkiego akcentu, jaki z nieznanego mi powodu lubią wokaliści grup tanecznych i kaznodzieje.

Rzuciłem na ladę kombinowaną kartę bankomatowo-kredytową należącą do Eskilda Monsena. Z doświadczenia wiem, że hotele gwizdzą na podobieństwo podpisu. Ale dla pewności w pociągu poćwiczyłem sobie trochę podrabianie. Problem stanowiło zdjęcie. Przedstawiało faceta o mocnych szczękach, z długimi kręconymi włosami i czarną brodą. Nawet w słabym świetle nie dało się ukryć, że nie wykazywał śladu podobieństwa do mężczyzny o wąskiej twarzy i świeżo ogolonej głowie, który stał teraz przed kontuarem. Recepcjonista przyjrzał się karcie.

– Nie jest pan podobny do tego na zdjęciu – stwierdził, nie odrywając oczu od karty.

Czekałem. W końcu musiał unieść wzrok i spojrzeć na mnie.

– Rak – powiedziałem.

– Co?

– Chemioterapia.

Mrugnął trzy razy.

– Trzy serie.

Jabłko Adama mu podskoczyło, kiedy przełykał ślinę. Widziałem, że zachwiał się w wierze. No, dalej! Czuję, że muszę się położyć, kark bolał mnie jak cholera. Nie uwalniałem jego wzroku. Ale on uwolnił mój.

– *Sorry*. – Podał mi kartę. – Nie stać mnie na żadne kłopoty. I tak mnie obserwują. Ma pan gotówkę?

Pokręciłem głową. Po kupieniu biletu na pociąg został mi banknot dwustukoronowy i dycha.

– *Sorry* – powtórzył i jakby prosząco wyciągnął rękę, dotykając kartą mojej piersi.

Zabrałem ją i wyszedłem.

Nie było sensu próbować w innych hotelach. Skoro nie przyjęli karty w Leonie, to nie przyjmą i gdzie indziej, a w najgorszym razie mogą kogoś zaalarmować.

Przeszedłem do planu B.

Byłem w mieście nowy, obcy. Bez pieniędzy, bez

przyjaciół, bez przeszłości i tożsamości. Fasady, ulice i ludzie, którzy nimi szli, wydawali mi się zupełnie inni niż tamtemu Rogerowi Brownowi. Cienka warstwa chmur przesłoniła słońce i temperatura spadła jeszcze o kilka stopni.

Przy Dworcu Centralnym musiałem zapytać, żeby się dowiedzieć, który autobus dowiezie mnie do Tonsenhagen. A kiedy wsiadłem do autobusu, kierowca z jakiegoś powodu odezwał się do mnie po angielsku.

Z przystanku na Tonsenhagen do domu Owego trzeba było pokonać dwa dość strome wzgórza, a mimo to czułem zimno, kiedy wreszcie minąłem ten dom. Przez kilka minut kręciłem się po okolicy, żeby się upewnić, czy w pobliżu nie ma policji. Potem prędko podszedłem do drzwi i otworzyłem sobie kluczem.

W środku było ciepło. Pracowały piece sterowane termostatem i wyłącznikami czasowymi.

Wstukałem Nataszę, żeby wyłączyć alarm, i wszedłem do salonu połączonego z sypialnią. Cuchnęło tak jak ostatnio. Brudnymi naczyniami, niepraną pościelą, smarem do broni i siarką. Ove leżał na łóżku, tak jak go zostawiłem poprzedniego dnia. Miałem wrażenie, że minął co najmniej tydzień.

Znalazłem pilota, położyłem się obok Owego i włączyłem telewizor. Przejrzałem telegazetę, ale nie pisali nic o zaginionych radiowozach ani martwych policjantach. Oczywiście policjanci w Elverum już dawno zaczęli się niepokoić i wszczęto poszukiwania,

ale z pewnością będą chcieli jak najdłużej się wstrzymać z upublicznieniem informacji o zaginionym radiowozie, na wypadek gdyby chodziło o jakieś banalne nieporozumienie. Jednak prędzej czy później go znajdą. Ile czasu upłynie do momentu, kiedy stwierdzą, że trup w zielonym dresie bez skóry na opuszkach palców to jednak nie aresztowany Ove Kjikerud? Minimum doba. Maksimum dwie.

Nie miałem najmniejszych podstaw do takich przewidywań. Nowy Roger Brown nie wiedział też nic więcej o procedurach policyjnych, ale przynajmniej rozumiał, że sytuacja wymaga zdecydowanych decyzji na podstawie niepewnych informacji. Ryzykownego działania zamiast wahania się i zwlekania, aż będzie za późno. Dopuszczenia do siebie lęku w takiej ilości, by zacząć myśleć, ale nie w takiej, która by paraliżowała.

Dlatego zamknąłem oczy i zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, zegar w telegazecie wskazywał dwudziestą zero trzy. A pod nim na pasku widniała informacja, że co najmniej cztery osoby, w tym trzech policjanci, zginęły w wypadku drogowym pod Elverum. Radiowóz policyjny zaginął rano i odnaleziono go dopiero po południu w zagajniku nad rzeką Trekk. Piąta osoba, również policjant, zaginęła. Przypuszcza się, iż mogła wypaść z samochodu do rzeki, którą wciąż przeszukiwano. Policja prosi mieszkańców o informacje na temat kierowcy skradzionego tira z napisem „Kuchnie Sigdal”, który znaleziono porzucony na leśnej

drodze w odległości dwudziestu kilometrów od miejsca wypadku.

Kiedy zrozumieją, że to aresztowany Kjikerud zniknął, prędzej czy później przyjdą tutaj. Musiałem zapewnić sobie nocleg gdzie indziej.

Wzięłem głęboki oddech, potem nachyliłem się nad zwłokami Ovego, sięgnąłem po telefon na nocnym stoliku i wstukałem jedyny numer, jaki znałem na pamięć.

Odebrała po trzecim dzwonku.

Zamiast swojego zwykłego zawstydzonego, ale ciepłego „cześć” Lotte ledwie słyszalnie szepnęła:

– Tak?

Natychmiast się rozłączyłem. Chciałem jedynie się upewnić, czy jest w domu. Musiałem mieć nadzieję, że będzie w nim i później.

Wyłączyłem telewizor i wstałem.

Po dwóch minutach szukania znalazłem dwa pistolety. Jeden w szafce w łazience, drugi wciśnięty za telewizor. Wybrałem ten mały czarny zza telewizora i z kuchennej szuflady wyjąłem dwa pudełka. Jedno z ostrymi nabojami, a drugie oznakowane *blanks*. Włożyłem do magazynka te ostre, załadowałem pistolet i zabezpieczyłem. Potem wsunąłem go za pasek spodni, tak jak to zrobił Clas Greve. Wróciłem do łazienki i odłożyłem ten pierwszy pistolet. Po zamknięciu szafki przyjrzałem się sobie w lustrze. Delikatny kształt

twarży, wyraźne rysy, brutalna nagość głowy, intensywny, wręcz gorączkowy blask oczu. I usta, rozluźnione i zdecydowane. Milczące i wyraziste.

Bez względu na to, gdzie się zbudzę jutro rano, będę miał na sumieniu zabójstwo. Zabójstwo z premedytacją.

19. ZABÓJSTWO Z PREMEDITACJĄ

Idziesz własną ulicą. Stoisz w wieczornym mroku przy grupce drzew i patrzysz na swój dom, na światła w oknach, na postać poruszającą się za zasłonami, która być może jest twoją żoną. Sąsiad na wieczornym spacerze z seterem angielskim mija cię, spogląda na ciebie i widzi obcego na ulicy, na której wszyscy się znają. Mężczyzna jest podejrzliwy, seter cicho warczy, obaj po zapachu poznają, że nienawidzisz psów. Bo tu, na wzgórzu, gdzie się okopali, wysoko ponad zgiełkiem miasta i chaotycznym przemieszaniem interesów i spraw, zwierzęta tak jak ludzie trzymają się razem przeciwko intruzom i osobom niepowołanym. Tu, na wzgórzu, chcą jedynie, by nic się nie zmieniało, po prostu trwało, bo jest dobrze, wszystko się układa i kart nie trzeba rozdawać na nowo. Nie, niech asy i króle zostaną w tych rękach, w których są. Niepewność szkodzi chęci inwestowania, stałe ramowe warunki zapewniają produktywność, a to z kolei służy wspólnocie. Trzeba coś stworzyć, zanim będzie można się tym dzielić.

Dziwne, gdy się pomyśli, że człowiekiem o najbardziej konserwatywnych poglądach politycznych, z

jakim kiedykolwiek się zetknąłem, był szofer, który woził ludzi zarabiających cztery razy więcej niż on i odnoszących się do niego z pogardą, jaką można wyrazić jedynie przez najdotkliwiej poprawną uprzejmość.

Ojciec powiedział kiedyś, że jeśli zostanę socjalistą, nie będę już miał wstępu pod jego dach. To samo powtarzał matce. Nie był wprawdzie trzeźwy, gdy to mówił, ale tym większe są powody, by przypuszczać, że tak właśnie myślał. Uważał, że system kastowy w Indiach ma w sobie coś, i to wcale nie ma. Że Bóg chciał, abyśmy urodzili się w takim, a nie innym stanie, i naszym przeklętym obowiązkiem jest spędzić w nim całe marne życie. Tak jak dzwonnik, który na propozycję pastora Sigismunda przejścia na ty odpowiada: „Dzwonnik to dzwonnik, a pastor to pastor”.

Dlatego moim buntem, buntem syna szofera stało się wykształcenie, córka zamożnego człowieka, garnitury ze sklepu Fernera Jacobsena i dom na Voksenkollen. To się nie udało. Ojciec bowiem był na tyle bezczelny, że mi wybaczył, i do tego stopnia perfidny, że nawet udawał dumnego. Na pogrzebie, szlochając jak dziecko, wiedziałem, że nie płaczę z żalu za matką, tylko z wściekłości na ojca.

Ciemność pochłonęła setera i sąsiada (dziwne, że nie pamiętałem już, jak się nazywał), przeszedłem więc na drugą stronę ulicy. Nigdzie nie zauważyłem żadnych obcych samochodów, a kiedy przycisnąłem twarz do

szyby w okienku garażu, przekonałem się, że i on jest pusty.

Szybko przekradłem się w wilgotną, wręcz namacalną czerń ogrodu i stanąłem pod jabłonią w miejscu, gdzie, jak wiedziałem, będę niewidoczny z salonu.

Ale ją mogłem widzieć.

Diana chodziła po pokoju tam i z powrotem. Niecierpliwe ruchy w połączeniu z telefonem od Prady przyciśniętym do ucha kazały mi przypuszczać, że dzwoni do kogoś, kto nie odbiera. Była w dżinsach. Nikt nie potrafił nosić dżinsów tak jak Diana. Mimo że miała na sobie biały wełniany sweter, wolną ręką objęła się przez pierś, jakby marzła. Duże domy zbudowane w latach trzydziestych potrzebują czasu, żeby się nagrzać przy gwałtownym spadku temperatury, bez względu na to, ile pieców się włączy.

Zaczekałem, dopóki nie nabrałem całkowitej pewności, że jest sama. Sprawdziłem, czy wciąż mam pistolet za paskiem spodni. Odetchnąłem głęboko. To będzie najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu zrobiłem. Ale wiedziałem, że dam radę. Nowy Roger Brown da radę. Może właśnie dlatego, że rezultat już był znany, wezbrał we mnie płacz. Nie powstrzymałem łez. Ciepłą pieszczotą spływały po policzkach, a ja koncentrowałem się wyłącznie na tym, by być cicho, nie łapać powietrza w niekontrolowany sposób, nie łkać. Po pięciu minutach zapas łez się

wyczerpał i mogłem wytrzeć twarz. Szybko przeszedłem do drzwi wejściowych i najciszej, jak umiałem, otworzyłem je kluczem. Stałem w korytarzu, nasłuchując. Dom jakby wstrzymał oddech. Ciszę przerywał jedynie stukot jej obcasów na parkiecie salonu. Wkrótce i on miał ucichnąć.

Była dziesiąta wieczorem, kiedy w uchylonych drzwiach dostrzegłem bladą twarz i parę piwnych oczu.

– Mogę tu spać? – spytałem.

Lotte nie odpowiedziała. Zazwyczaj nie odpowiadała. Ale teraz wpatrywała się we mnie jak w upióra. A zwykle tak się nie gapiła, nie wyglądała też na tak przestraszona.

Uśmiechnąłem się krzywo i przeciągnąłem ręką po gładkiej czaszce.

– Pozbyłem się... – szukałem słowa – ...wszystkiego.

Mrugnęła dwa razy, w końcu otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka.

20. ZMARTWYCHWSTANIE

Obudziłem się i spojrzałem na zegarek. Ósma. Pora zaczynać. Miałem przed sobą wielki dzień, jak to nazywają. Lotte leżała na boku obrócona do mnie plecami, owinięta w prześcieradła, które zawsze wolała od kołdry. Wysunąłem się po swojej stronie łóżka i szybko się ubrałem. Było zimno jak w psiarni, a ja przemarzłem. Po cichu przeszedłem do przedpokoju, włożyłem kurtkę, czapkę i rękawiczki. W szufladzie w kuchni znalazłem plastikową torbę, którą wepchnąłem do kieszeni spodni. Potem otworzyłem lodówkę, z myślą, że to pierwszy dzień, w którym obudziłem się jako morderca. Mężczyzna, który zastrzelił kobietę. Brzmiało to jak nagłówek w gazecie. Jedną z tych spraw, na które ledwie rzucałem okiem, bo zawsze były tylko przykre i banalne. Wyjąłem karton z sokiem z różowych grejpfrutów i już miałem przyłożyć go do ust, kiedy zmieniłem zdanie i z górnej szafki wziąłem szklanę. Nie wszystko musi się rozpadać tylko dlatego, że człowiek stał się mordercą. Wypiłem, opłukałem szklanę i odstawiłem sok na miejsce. Potem przeszedłem do salonu i usiadłem na kanapie. Nieduży czarny pistolet, który miałem w kieszeni kurtki, dźgnął mnie w brzuch, więc go wyjąłem. Wciąż pachniał prochem, a ja wiedziałem, że ten zapach zawsze będzie mi przypominał o zabójstwie. O egzekucji. Jeden strzał wystarczył. Z bliska. Gdy miała mnie objąć. Strzeliłem w te objęcia i trafiłem ją w lewe oko. Czy celowałem

tam świadomie? Być może. Może chciałem coś jej odebrać, tak jak ona próbowała odebrać mi wszystko. A ta zdradliwa kłamczyni przyjęła ołów, nabój w kształcie fallusa wszedł w nią tak, jak kiedyś ja w nią wchodziłem. Nigdy więcej. Teraz już nie żyła. Myśli napływały właśnie tak. Krótkimi zdaniami, konstatającymi faktyczny stan rzeczy. To dobrze. Dalej muszę tak myśleć. Zachować ten chłód. Nie pozwolić, by przemówiły uczucia. Wciąż miałem coś do stracenia.

Sięgnąłem po pilota i włączyłem telewizor. W telegazecie nie było nic nowego. Pewnie redakcja nie stawiała się tak wcześnie w pracy. Wciąż widniała informacja, że zwłoki czterech osób zostaną zidentyfikowane nazajutrz, czyli dzisiaj, a jedna osoba nadal jest zaginiona.

Jedna osoba. A więc zmienili „policjanta” na „osobę”, prawda? Czy w takim razie już wiedzieli, że zaginionym jest aresztowany? Może tak, może nie. Oficjalnie nikogo jeszcze nie poszukiwano.

Nachyliłem się nad podłokietnikiem i sięgnąłem po słuchawkę żółtego telefonu stacjonarnego. Tego, który zawsze wyobrażałem sobie przy czerwonych wargach Lotte, kiedy dzwoniłem. Czubek jej języka tuż przy moim uchu, gdy zwilżała wargi. Zadzwoiłem do informacji pod 1881, poprosiłem o dwa numery i przerwałem telefonistce, kiedy powiedziała, że zaraz usłyszę nagranie.

– Chciałbym, żeby odczytała je pani osobiście, na

wypadek gdybym miał jakieś zastrzeżenia do niewyraźnej wymowy.

Dostałem te dwa numery, zapamiętałem je i poprosiłem o połączenie z pierwszym. Centrala KRIPOS odpowiedziała po drugim dzwonku.

Przedstawiłem się jako Runar Bratli, krewny Endridego i Eskilda Monsenów. Wyjaśniłem, że rodzina poprosiła mnie o odebranie ich ubrań, jednak nikt mi nie powiedział, gdzie mam się stawić i o kogo pytać.

– Chwileczkę. – Telefonistka z centrali kazała mi czekać.

Słuchałem zaskakująco ładnej wersji *Wonderwall* na fletnię Pana i myślałem o Runarze Bratlim. Był jednym z kandydatów, którego kiedyś nie zarekomendowałem na kierownicze stanowisko, mimo że z całą pewnością posiadał najlepsze kwalifikacje. I był wysoki. Tak wysoki, że podczas ostatniego interview poskarżył się, że musi się garbić w swoim ferrari, inwestycji będącej – jak przyznał z chłopięcym uśmiechem – jedynie dziecinnyim wymysłem, z pewnością mającym związek z kryzysem czterdziestolatka i tak dalej. Zanotowałem: OTWARTY, DOŚĆ PEWNOŚCI SIEBIE, BY EKSPONOWAĆ GŁUPOTĘ. Innymi słowy, wszystko według podręcznika, z wyjątkiem kolejnego komentarza: „Kiedy walę głową w dach samochodu, to prawie zazdrosz...”.

W tym momencie urwał, przeniósł spojrzenie ze mnie na jednego z przedstawicieli klienta i dalej opowiadał,

że zamierza zamienić ferrari na jakiegoś SUV-a, takiego, którego można bez obaw pozwolić prowadzić żonie. Wszyscy przy stole się śmiali, ja też, i nawet jednym grymasem nie zdradziłem, że dokończyłem tamto zdanie za niego: „zazdroszczę panu, że jest pan taki niski”. I że właśnie w tej chwili przekreśliłem jego rekomendację. Niestety, nie posiadał żadnego interesującego dzieła sztuki.

– Są w Instytucie Medycyny Sądowej. – To znów głos telefonistki. – To znaczy w Szpitalu Centralnym w Oslo.

– Tak? – powiedziałem, starając się nie przesadzać z naiwnością. – Dlaczego?

– To rutyna, jeśli są podejrzenia, że mogło dojść do przestępstwa. A wygląda na to, że samochód został staranowany przez tira.

– Aha. Pewnie właśnie dlatego poprosili mnie o pomoc. Bo ja mieszkam w Oslo, rozumie pani?

Kobieta nie odpowiedziała. Wyobrażałem sobie jej wzniesione do góry oczy i długie, starannie pomalowane paznokcie niecierpliwie bębniące o stół. Ale oczywiście mogłem się pomylić. Łowca głów niekoniecznie musi znać się na ludziach czy posiadać wyjątkową zdolność do empatii. A jeśli ktoś chce osiągnąć szczyt w tej branży, chyba może to być nawet wadą.

– Czy mogłaby pani powiadomić właściwe osoby w Instytucie Medycyny Sądowej, że już do nich jadę? –

spytałem. – Nazywam się Runar Bratli.

Słyszałem, że się waha. To zadanie najwyraźniej nie mieściło się w zakresie jej obowiązków. Zakresy obowiązków w instytucjach publicznych z reguły nadają się na przemiał, wierzcie mi, stale je czytam.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego, po prostu próbuję pomóc – dodałem. – Spodziewam się, że ktoś mnie tam przyjmie i szybko uda mi się załatwić sprawę.

– Spróbuję – odparła wreszcie.

Odłożyłem słuchawkę i wstukałem drugi numer. Odebrał po piątym sygnale.

– Tak? – Głos zabrzmiał niecierpliwie, niemal z irytacją.

Po odgłosach w tle usiłowałem się zorientować, gdzie jest – u mnie w domu czy w swoim mieszkaniu.

– Buuu – zabuczałem i odłożyłem słuchawkę.

Clas Greve został zaalarmowany.

Nie wiedziałem, co robi, lecz w każdym razie na pewno włączy GPS i sprawdzi, gdzie jest upiór.

Wróciłem do drzwi. W ciemności sypialni ledwie dostrzegałem zarysy jej ciała pod prześcieradłem. Oparłem się nagłemu impulsowi, by się rozebrać, wsunąć pod okrycie i przytulić do niej. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, że wszystko, co się wydarzyło, nie dotyczyło Diany, tylko mnie. Zamknąłem cicho drzwi do sypialni i wyszedłem. Tak jak wtedy, gdy się tu

pojawiłem, nie spotkałem na klatce nikogo, komu mógłbym powiedzieć „dzień dobry” czy „dobry wieczór”. Na ulicy też nikt nie odpowiadał na moje życzliwe skinienia głową, nikt na mnie nie patrzył ani w żaden inny sposób nie potwierdzał mojego istnienia. Uświadomiłem sobie, co oznaczało to uczucie: nie istniałem.

Najwyższa pora, by znów zaistnieć.

Wzniesiony ponad miastem Szpital Centralny jest położony na jednym z wielu łagodnych wzgórz w Oslo. Zanim go zbudowano, znajdował się tu jedynie nieduży przytułek dla wariatów. Nazwę tę zmieniano później na zakład dla obłąkanych, potem na szpital dla chorych umysłowo, a następnie na oddział psychiatryczny i tak dalej, w miarę jak pospółstwo uczyło się, że nowe określenie również oznacza zwyczajne szaleństwo. Osobiście nigdy nie mogłem pojąć tej zabawy słownej, oprócz tego, że ci, którzy o niej decydowali, musieli być zdania, iż ogół ludzi to banda pełnych uprzedzeń idiotów i należy ich oszukiwać w największym możliwym stopniu. Nie, żebym nie przyznawał im trochę racji, ale i tak miło było usłyszeć, jak kobieta za szklaną ścianą mówi: – Ma pan zejść do trupiarni w piwnicy, Bratli.

Bycie trupem jest najwyraźniej w porządku. Nikt się nie oburza na nazywanie kogoś trupem i nie mówi, że mimo wszystko martwy człowiek ma inne cechy, niż

jedynie tę, że jest martwy, a określenie „trup” redukuje go do kawałka ciała, w którym przypadkiem przestało bić serce. I co z tego? A może wynika to stąd, że trupy nie mogą domagać się statusu mniejszości, stanowią bowiem żalosną większość.

– W dół po tamtych schodach. – Pokazała palcem. – Zadzwoń i uprzedzę, że pan już idzie.

Zrobiłem tak, jak powiedziała. Moje kroki aż huczały wśród pustych białych ścian, bo panowała tu niezwykła cisza. W głębi długiego wąskiego białego korytarza piętro niżej, z jedną nogą w otwartych drzwiach stał mężczyzna w zielonym szpitalnym stroju. Mógł być chirurgiem, ale coś w jego przesadnym wyluzowaniu – może wasy – powiedziało mi, że stoi jednak niżej w hierarchii.

– Bratli? – zawołał tak głośno, że zabrzmiało to jak świadoma obraza śpiących na tym piętrze. Echo groźnie przetoczyło się przez korytarz.

– Tak – potwierdziłem, szybko do niego podchodząc, żeby ukrócić potrzebę dalszych krzyków.

Przytrzymał mi drzwi, wszedłem. Znalazłem się w czymś w rodzaju szatni. Mężczyzna podszedł do jednej z szafek.

– Dzwonili z KRIPOS, uprzedzali, że zgłosi się pan po rzeczy braci Monsenów – powiedział wciąż przesadnie głośno.

Kiwnąłem głową. Puls walił mi mocniej, niż się

spodziewałem. Ale nie tak mocno, jak się bałem. To była przecież krytyczna faza planu, najsłabsze ogniwo.

– A kim pan dla nich jest?

– Kuzynem w czwartej linii – odparłem lekko. – Najbliższa rodzina prosiła mnie o zabranie ich ubrań, samych ubrań, rzeczy wartościowe mam zostawić.

Starannie wybrałem określenie „najbliższa rodzina”. Mogło to zabrzmieć nieco zbyt formalnie, ponieważ jednak nie wiedziałem, czy bliźniacy byli żonaci ani też czy ich rodzice jeszcze żyli, zdecydowałem się na określenie obejmujące wszelkie możliwości.

– Dlaczego pani Monsen nie chciała ich zabrać sama? – spytał sanitariusz. – Przecież i tak będzie tu dzisiaj o dwunastej.

Przełknąłem ślinę.

– Pewnie nie może znieść widoku całej tej krwi.

– A pan może? – zachichotał.

– Tak – odpowiedziałem po prostu ze szczerą nadzieją, że więcej pytań już nie będzie.

Sanitariusz wzruszył ramionami i podał mi kartkę przymocowaną do podkładki do pisania.

– Tu proszę pokwitować wydanie.

Naskrobałem „R” z falującą linią z tyłu, a potem „B” z taką samą falującą linią z przodu i zakończyłem mocną kropką nad „i”.

Sanitariusz w zamyśleniu przyjrzał się podpisowi.

– Ma pan jakiś dowód tożsamości, Bratli?

Właśnie tego się obawiałem. Plan trzeszczał na spojeniach.

Poklepałem się po kieszeniach i uśmiechnąłem przeprasząco.

– Zostawiłem portfel w samochodzie na parkingu.

– Na parkingu na górze?

– Nie, na dole. Stałem przy Centrum Badań Naukowych.

– Aż tam?

Widziałem jego wahanie. Oczywiście ten scenariusz przemyślałem z góry. Gdyby posłano mnie po dowód tożsamości, odmaszerowałbym i już nie wrócił. Żadna katastrofa, ale nie zdobyłbym tego, po co przyszedłem. Czekałem. I już po pierwszych dwóch słowach wiedziałem, że decyzja będzie na moją niekorzyść.

– *Sorry*, Bratli, musimy mieć pewność. Niech pan nie bierze mi tego za złe, ale sprawy zabójstw przyciągają wiele dziwnych indywiduów. O bardzo ekscentrycznych zainteresowaniach.

Udałem zaskoczonego.

– Chce pan powiedzieć, że... że ludzie zbierają ubrania ofiar zabójstw?

– Nie uwierzy pan, co są w stanie wymyślić. A ja nawet nie wiem, czy pan w ogóle kiedykolwiek spotkał braci Monsenów, czy tylko przeczytał o tej sprawie w

gazecie.

– No dobrze, zaraz wracam. – Skierowałem się do drzwi, ale tam się zatrzymałem, jakbym coś sobie przypomniał, i zagrałem ostatnią kartą. A konkretnie: kartą kredytową.

– Dobrze, że mi się przypomniało. Kiedy Eskild ostatnio był u mnie, zostawił kartę. Może mógłby pan ją oddać jego matce, kiedy przyjdzie?

Podąłem kartę sanitariuszowi, który przyjrzał się nazwisku i zdjęciu młodego człowieka z brodą. Nie spieszyłem się, ale byłem już prawie w drzwiach, kiedy wreszcie usłyszałem za plecami jego głos:

– Dobrze, to mi wystarczy, Bratli. Niech pan bierze te łachy.

Odwrociłem się z ulgą. Z kieszeni wyjąłem plastikową torbę i zacząłem upychać w niej rzeczy.

– Ma pan już wszystko?

Obmacałem tylne kieszenie mundurowych spodni Eskilda i przekonałem się, że torebka z moimi zgolonymi włosami wciąż tam jest. Kiwnąłem głową.

Musiałem nad sobą panować, żeby nie zacząć biec. Już zmartwychwstałem, znów istniałem, a to wywoływało we mnie dziwną wewnętrzną radość. Kółka znów się kręciły, serce biło, krew i los krążyły. Pokonałem schody długimi susami, lekkim krokiem minąłem kobietę za szklaną ścianą i już kładłem rękę na kłamce, gdy usłyszałem za plecami znajomy głos: –

Halo, *mister*. Proszę zaczekać.

Oczywiście. To było za proste.

Odwrociłem się powoli. W moją stronę szedł mężczyzna, również znajomy. W rękę trzymał identyfikator. Człowiek, w którym potajemnie kochała się Diana. Pomyślałem błuznierczo: jestem skończony.

– KRIPOS – przedstawił się mężczyzna głębokim głosem kapitana samolotu. Kosmiczny szum, ziarenka *dropouts*. – Mogę chwilę z panem po-ozmawiać, *mister*? – Jak maszyna do pisania ze startą czcionką.

Podobno nasza podświadomość przydaje osobom widzianym na filmie albo w telewizji większych wymiarów niż w rzeczywistości. Z Bredem Sperre to się nie sprawdziło. Był jeszcze większy, niż sądziłem. Zmusiłem się, by stać spokojnie, kiedy szedł w moją stronę. W końcu wzniósł się nade mną jak wieża. Z wysoka, spod jasnej chłopięcej grzywki przystrzyżonej w taki sposób, by wydawała się przypadkowo niesforna, patrzyły na mnie stalowoszare oczy. Kiedy rozpytywałem o Sperrego, dowiedziałem się między innymi, że podobno miał romans z bardzo znanym i bardzo męskim norweskim politykiem. Oczywiście plotki o homoseksualizmie to ostateczny dowód na to, że ktoś stał się gwiazdą, niemal jak herb. Rzecz jedynie w tym, że przekazał mi to jeden z modeli słynnego projektanta Barona von Bulldoga, który wprosił się na wernisaż Diany. Twierdził, że sam pozwolił się zsodomizować temu „policyjnemu bogu”, jak go nazwał

z nabożnym szacunkiem.

– Proszę, proszę – odpowiedziałem ze sztywnym uśmiechem i nadzieją, że w moich oczach nie widać lęku przed penetracją.

– Świetnie, *mister*. Akurat się dowiedziałem, że jest pan kuzynem braci Monsenów w trzeciej czy czwartej linii i dobrze ich pan znał. Może więc pomógłby nam pan w zide-tyfikowaniu zwłok, *mister*?

Przełknąłem ślinę. Grzecznościowa forma „pan” i na poły bezczelne *mister* w jednym i tym samym zdaniu. Ale spojrzenie Sperrego było neutralne. Czy bawił się swoją pozycją, czy robił to automatycznie, niemal w odruchu zawodowym? Usłyszałem, że jękając się, powtarzam: „zidentyfikować”, jakby samo pojęcie było mi totalnie obce.

– Za kilka godzin będzie tu wprawdzie ich matka – dodał Sperre – ale każda chwila, którą możemy zaoszczędzić... Bardzo bylibyśmy wdzię- ni. Załatwimy to w kilka se-und.

Nie chciałem. Całe ciało się przed tym opierało, a mózg żądał, bym odmówił i, do jasnej cholery, wreszcie stąd wyszedł. Bo przecież ożyłem. Ja – a właściwie plastikowa torebka z włosami – stałem się znów osobą poruszającą się na odbiorniku Clasa Greve. Podjęcie polowania było jedynie kwestią czasu, już czułem w powietrzu zapach psa i panikę przestępującą z nogi na nogę. Ale inna część mózgu, ta, która przemawiała moim nowym głosem, tłumaczyła, że nie mogę

odmówić, bo to wzbudziłoby tylko podejrzenia. No i to przecież potrwa zaledwie kilka sekund.

– Oczywiście – powiedziałem i już miałem się uśmiechnąć, ale w porę sobie uświadomiłem, że może to zostać uznane za nieodpowiednią reakcję na wieść o identyfikacji zwłok krewnych.

Wróciliśmy tą samą drogą, którą przyszedłem.

Sanitariusz ze śmiechem skinął mi głową, gdy przechodziliśmy przez szatnię.

– Musi się pan przygotować na to, że zwłoki są zmasakrowane – uprzedził mnie Sperre, otwierając ciężkie metalowe drzwi.

Weszliśmy do kostnicy. Przeszył mnie dreszcz. Wszystko w tym pomieszczeniu kojarzyło się z wnętrzem lodówki. Białe ściany, sufit i posadzka. Do tego zaledwie kilka stopni ciepła i przeterminowane mięso.

Cztery trupy leżały ułożone w rzędzie na metalowych stołach. Spod białych prześcieradeł wystawały stopy i szybko stwierdziłem, że filmowa konwencja jest mocno zakorzeniona w rzeczywistości: każdy miał metalową tabliczkę przyczepioną do dużego palca u nogi.

– Gotowy? – spytał Sperre.

Kiwnąłem głową.

Szybko i elegancko jak iluzjonista ściągnął dwa prześcieradła.

– Wypadki drogowe – oznajmił, kołysząc się na piętach. – Są najgorsze. Identyfikacja bardzo trudna, jak pan widzi.

Wydało mi się nagle, że Sperre mówi nienaturalnie wolno.

– W samochodzie miało być pięć osób, ale znaleźliśmy tylko te cztery ciała. Piąte najpewniej spadło do rzeki i popłynęło z prądem.

Patrzyłem, przełykając ślinę i ciężko oddychając przez nos. Oczywiście udawałem, bo bracia Monsenowie nawet nadzy wyglądali lepiej niż we wraku samochodu. Poza tym tutaj nie czuło się żadnego zapachu, przemieszanych z gazem odchodów, odoru krwi, benzyny, smrodu wnętrza człowieka. Uświadomiłem sobie, że zmysł wzroku jest przeceniany. Dźwięk i zapach terroryzują aparat zmysłów o wiele skuteczniej. Na przykład trzask, kiedy tył głowy martwej kobiety, do której przed chwilą strzelono w oko, uderza o parkiet.

– To są bliźniacy Monsenowie – szepnąłem.

– Tak, tak, do tego sami już doszliśmy. Pytanie tylko...

Sperre zrobił długą, naprawdę długą sztuczną pauzę. Boże!

– ...który z nich to Endride, a który Eskild?

Pomimo zimowej temperatury w pomieszczeniu ciało miałem mokre od potu. Czy on celowo mówił tak

wolno? Jakaś nowa, nieznana mi metoda przesłuchania?

Przesunąłem spojrzeniem po nagich ciałach i odnalazłem znak, który sam pozostawiłem. Rana ciągnąca się od żeber przez brzuch wciąż była otwarta, a na jej brzegach zastygła czarna krew.

– To jest Endride – oświadczyłem, wskazując palcem. – Eskild to ten drugi.

– Hm – mruknął zadowolony Sperre i zanotował. – Musiał pan ich bardzo dobrze znać. Żaden z kolegów, którzy tu byli, nie potrafił mi wskazać różnicy.

Odpowiedziałem pełnym żalu skinieniem głowy.

– Bliźniacy i ja byliśmy ze sobą bardzo blisko. Zwłaszcza ostatnio. Czy mogę już iść?

– Oczywiście – odparł Sperre, ale dalej notował w sposób niepozwalający mi ot, tak po prostu odejść.

Popatrzyłem na zegar ponad jego głową.

– Jednojajowe bliźniaki. – Sperre pisał i pisał. – Co za ironia, prawda?

Co on, u diabła, pisał? Jeden był Endride, drugi Eskild, ilu słów potrzeba, żeby to zanotować?

Wiedziałem, że nie powinienem, ale nie mogłem się powstrzymać od pytania:

– Co jest ironią?

Sperre przestał pisać i podniósł głowę.

– Urodzili się w tej samej sekundzie z tego samego jajeczka. I umarli w tej samej sekundzie w tym samym

samochodzie.

– W tym chyba nie ma żadnej ironii.

– Nie?

– Nie widzę nic takiego.

– Mhm. Ma pan rację, pewnie paradoks to lepsze słowo – uśmiechnął się Sperre.

Czułem, że krew zaczyna mi się gotować w żyłach.

– Paradoksu też w tym nie widzę.

– W każdym razie dziwne. Coś w rodzaju logiki kosmosu, nie sądzi pan?

Straciłem kontrolę. Patrzyłem, jak bieleją mi knykie zaciśnięte na torbie, i słuchałem swojego drżącego głosu.

– To nie jest ironia, parodia ani żadna kosmiczna logika – mówiłem coraz głośniej. – To tylko przypadkowa symetria życia i śmierci, która nie jest nawet wcale taka przypadkowa, bo oni, jak wiele innych bliźniąt jednojajowych, postanowili dużo czasu spędzać ze sobą w bezpośredniej bliskości. Piorun uderzył, byli razem. *End of story.*

Te ostatnie słowa niemal wykrzyczałem.

Sperre przyglądał mi się w zamyśleniu. Przyłożył kciuk i palec wskazujący do kącików ust i teraz ściągnął je w dół. Czułem to spojrzenie. Był jednym z nielicznych obdarzonych spojrzeniem przesłuchującego, wzrokiem będącym w stanie wykryć każde kłamstwo.

– I co, Bratli? – spytał. – Czy coś pana dręczy?

– Przepraszam. – Uśmiechnąłem się nieudolnie, ze świadomością, że muszę teraz wyznać jakąś prawdę, coś, czego nie wykaże wpatrujący się we mnie wykrywacz kłamstw. – Wczoraj wieczorem pokłóciłem się z żoną, a teraz ten wypadek. Jestem trochę wytrącony z równowagi. Bardzo przepraszam. Muszę stąd wyjść.

Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem.

Sperre coś jeszcze powiedział, może kilka słów na pożegnanie, ale zagłuszył je huk metalowych drzwi, który poniósł się drżącym basem.

21. ZAPROSZENIE

Wsiadłem do tramwaju na przystanku przed Szpitalem Centralnym, wręczyłem konduktorowi gotówkę i powiedziałem: „Do centrum”. Uśmiechnął się krzywo, wydając mi resztę. Prawdopodobnie cena była taka sama, bez względu na to, jak daleko zamierzałem jechać. Oczywiście jeździłem już kiedyś tramwajem, w dzieciństwie, ale niezbyt dobrze pamiętałem, co się robi. Wyjście drzwiami z tyłu, przygotować bilet do kontroli, wcisnąć w porę guzik stopu, nie przeszkadzać motorniczemu. Wiele się zmieniło. Hałas szyn mniej ogłuszał, teksty reklam na ścianach ogłuszały bardziej i wychodziły do ludzi, za to ludzie na siedzeniach bardziej zamknęli się w sobie.

W centrum zmieniłem środek transportu, przesiadłem się do autobusu, który zabrał mnie na północny wschód. Powiedziano mi, że mogę jechać na ten sam bilet co tramwajem. Fantastyczne. Za kilka monet mogłem poruszać się po mieście w sposób, o którego istnieniu wcześniej w ogóle nie wiedziałem. Byłem w ruchu, zmieniłem się w migającą kropkę na urządzeniu Clasa Greve i wydawało mi się, że wręcz czuję jego zdezorientowanie. Co oni, do jasnej cholery, robią? Przewożą gdzieś zwłoki?

Wysiadłem z autobusu na Årvoll i ruszyłem przez wzgórze w stronę Tonsenhagen. Mogłem podjechać bliżej domu Ovego, ale wszystko, co teraz robiłem, miało swój cel. W dzielnicy panował przedpołudniowy

spokój. Zgięta w pół staruszka człapała chodnikiem, ciągnąc za sobą wózek na jęczących nienasmarowanych kółkach. A jednak się do mnie uśmiechnęła, jakby to był cudowny dzień, wspaniały świat, piękne życie. Co myślał teraz Clas Greve? Że może karawan wiezie Browna do domu rodzinnego? Tylko dlaczego, cholera, tak wolno? Czyżby korek?

Z naprzeciwka nadeszły dwie żujące gumę mocno umalowane czternastolatki ze szkolnymi plecakami, w obcisłych spodniach upychających problemy z tuszą na górze i z przodu. Przez chwilę zerkały na mnie spod oka, ale nie przestały głośno rozmawiać o czymś, czym były najwyraźniej bardzo poruszone. Gdy się mijaliśmy, dotarło do mnie: „...niesprawiedliwe, no nie?”. Przypuszczałem, że są na wagarach, idą do cukierni na Årvoll, a niesprawiedliwość nie polega na tym, że osiemdziesięciu procent żyjących na ziemi czternastolatków nie stać na drożdżówki z budyniem, które one zaraz spałaszują. Uświadomiłem sobie też, że gdybyśmy mieli wtedy z Dianą to dziecko, to ona – miałem pewność, że to była dziewczynka, mimo że Diana nazwała dziecko Damien – któregoś dnia popatrzyłaby na mnie właśnie takimi ciężkimi od tuszu oczami i krzyknęła, że to niesprawiedliwe, no nie? Bo przecież chciała z przyjaciółką jechać na Ibizę, przecież są już w średniej szkole, a ja... chyba umiałbym z tym żyć.

Droga wiodła przez park z dużą sadzawką pośrodku. Wybrałem jedną z brunatnych ścieżek prowadzących ku

kępie drzew po drugiej stronie. Nie zależało mi na drodze na skróty, ale chciałem, żeby kropka na GPS Grevego poruszała się poza drogami oznaczonymi na mapie. Zwłoki można przewozić samochodem, ale raczej nie po bezdrożach. To miało być potwierdzenie podejrzenia, które moja poranna telefoniczna pobudka z mieszkania Lotte zasiała w głowie holenderskiego łowcy głów: Roger Brown zmartwychwstał. Nie leżał wcale w trupiarni w Szpitalu Centralnym, jak to wskazywał GPS, tylko może w łóżku na sali w tym samym budynku. Ale przecież w telewizji mówili, że wszyscy w samochodzie zginęli, więc jak...

Może nie mam w sobie zbyt wiele empatii, ale potrafię dobrze ocenić inteligencję. Na tyle dobrze, że wykorzystuje się mnie do zatrudniania kadry kierowniczej największych norweskich firm. Chodząc wkoło sadzawki, usiłowałem więc przewidzieć tok myślenia Clasa Greve. Było to dość proste. Musiał tu po mnie przyjechać, musiał mnie zlikwidować, mimo że oznaczało to o wiele większe ryzyko niż poprzednio. Bo ja już nie byłem tym, który mógł wejść w paradę planowanemu przez HOTE przejęciu Pathfindera. Byłem świadkiem zabójstwa Sindrego Aa. Mogłem go zniszczyć. Jeśli oczywiście dane mi będzie przeżyć do czasu, aż sprawa trafi do sądu.

Krótko mówiąc, wysłałem mu zaproszenie, któremu nie mógł odmówić.

Dotarłem już na drugi koniec parku, a mijając grupę

brzóz, dotknąłem palcami cienkiej białej łuszczącej się kory i przycisnąłem je do twardego pnia. Oderwałem palce, drapiąc paznokciami powierzchnię. Powąchałem opuszki, zatrzymałem się i z zamkniętymi oczami wdychałem zapach, czując napływające wspomnienia dzieciństwa, zabawy, śmiechu, zdziwienia, radosnego strachu i satysfakcji odkrywania. Wszystkich tych małych rzeczy, które, jak mi się wydawało, utraciłem, lecz które mimo wszystko istniały zamknięte w kapsułkach i nie znikają. Były wodnymi dziećmi. Dawny Roger Brown nie potrafił ich odnaleźć, ale nowy umiał to zrobić. Jak długo ten nowy pożyje? Raczej niedługo. Ale nic nie szkodzi. Ostatnie godziny przeżyję bardziej intensywnie, niż tamten dawny przeżył trzydzieści pięć lat.

Było mi gorąco, kiedy wreszcie zobaczyłem dom Ovego Kjikeruda. Poszedłem na skraj lasu i usiadłem na pieńku, z którego miałem dobry widok na drogę z szeregowcami i blokami. Stwierdziłem przy tym, że ludzie mieszkający na wschodzie miasta wcale nie mają gorszego widoku od tych na zachodzie. Wszyscy możemy zobaczyć budynek Poczty i hotel Plaza. Miasto od tej strony nie wydawało się ani ładniejsze, ani brzydsze. W zasadzie jedyną różnicą było to, że ze wschodniej strony widziało się zachodnie dzielnice. Przypomniało mi się, że kiedy Gustave Eiffel zbudował swoją słynną wieżę na wystawę w Paryżu w roku 1889, krytycy mówili, że najpiękniejszy widok roztacza się właśnie z wieży Eiffla, ponieważ to jedyne miejsce w

całym mieście, skąd nie widać samej wieży. Pomyślałem, że może właśnie tak jest z Clasem Greve. Jemu świat musiał wydawać się mniej paskudnym miejscem, dlatego że nie mógł się zobaczyć oczami innych. Na przykład moimi. Ja go widziałem. I nienawidziłem. Nienawidziłem z tak zaskakującą mocą i intensywnością, że mnie samego to niemal przerażało. Ale nie była to brudna nienawiść, przeciwnie, czysta, szczerą, prawie niewinna, taka, jaką według mnie musieli czuć krzyżowcy do niewiernych. Dlatego mogłem wymierzyć Grevemu karę śmierci z taką samą chłodną i naiwną niewinnością, z jaką wierny chrześcijanin w Ameryce wysyła swoich skazanych na śmierć bliźnich na krzesło elektryczne.

Dzięki temu na przykład rozumiałem, że do ojca wcale nie czułem nienawiści. Gniew? Tak. Pogardę? Być może. Współczucie? Zdecydowanie. A dlaczego? Zapewne z wielu powodów. Teraz jednak widziałem, że moją wściekłość powodowało głęboko skrywane poczucie, że jestem taki jak on. A przynajmniej, że mam w sobie skłonność, by się takim stać. Zapity, wiecznie splukany damski bokser, przekonany, że wschód to wschód i nigdy nie może stać się zachodem. A teraz już stałem się taki jak on, ostatecznie i w pełni.

Wzbierał we mnie śmiech i nie zrobiłem nic, żeby go powstrzymać. Gruchnął między pniami drzew, a z gałęzi nade mną wzbił się w powietrze ptak. Przestałem się śmiać, dopiero gdy zobaczyłem nadjeżdżający drogą samochód.

Srebrnoszary lexus GS 430.

Zjawił się szybciej, niż się spodziewałem.

Prędko wstałem i zszedłem do domu Ovego Kjikeruda. Kiedy stałem na schodach i miałem włożyć klucz w zamek, popatrzyłem na swoją rękę. Wibracja była ledwie zauważalna, ale ją widziałem.

To instynkt, atawistyczny lęk. Clas Greve był tym rodzajem zwierzęcia, który budzi strach u innych zwierząt.

Trafiłem kluczem w dziurkę przy pierwszej próbie, obróciłem go w zamku, otworzyłem drzwi i prędko wszedłem do środka. Nadal nie było trupiego zapachu. Usiadłem na łóżku, przesunąłem się do tyłu, tak by za plecami mieć zagłówek i okno. Sprawdziłem, czy leżącego obok mnie Ovego okrywa kołdra.

Czekałem. Sekundy mijały, cykając. Serce biło. Dwa uderzenia na sekundę.

Oczywiście Clas Greve był ostrożny. Chciał się upewnić, czy jestem sam. A nawet gdybym był sam, to wiedział już, że nie jestem tak niegroźny, jak sądził na początku. Po pierwsze, najwyraźniej miałem jakiś związek ze zniknięciem jego psa. Po drugie, prawdopodobnie już tam był. Widział jej zwłoki i miał świadomość, że jestem w stanie zabić.

Nie usłyszałem odgłosu otwieranych drzwi. Nie usłyszałem jego kroków. Po prostu nagle zobaczyłem, że przede mną stoi. Głos miał miękki, a uśmiech szczerze

współczujący.

– Przepraszam, że tak cię nachodzę, Roger.

Clas Greve był ubrany na czarno. Czarne spodnie, czarne pantofle, czarny golf, czarne rękawiczki. Na głowie czarna wełniana czapka. Jedyna rzecz, która nie była czarna, to połyskujący srebrzyście glock.

– W porządku – powiedziałem. – To pora odwiedzin.

22. NIEMY FILM

Podobno mucha pojmuje czas zupełnie inaczej niż my i uważa, że płaska dłoń zbliża się do niej w ślimaczym tempie, a to dlatego, że fasetkowe oczy dostarczają jej ogromnej ilości danych, więc natura musiała ją wyposażyć w ekstraszzybki procesor, by mogła opracowywać wszystkie na bieżąco.

Przez kilka sekund w pokoju panowała totalna cisza. Jak długo, nie wiem. Byłem muchą, a dłoń się do mnie zbliżała. Glock Ovego Kjikeruda celował w moją pierś. Wzrok Clasa Greve w moją łysą czaszkę.

– A-ha – odezwał się wreszcie.

To słowo skrywało w sobie wszystko. Wszystko o nas, ludziach, będących w stanie podporządkować sobie Ziemię, władać żywiołami, zabijać istoty przewyższające nas szybkością i siłą. Wszystko o wydajności procesora. „Aha” Clasa Greve wieńczyło lawinę myśli, odsiewanie hipotez, nieubłaganą dedukcję, łącznie prowadzące do nieuniknionej konkluzji: – Obciąłeś włosy, Roger.

Clas Greve był, jak już wcześniej wspomniałem, człowiekiem inteligentnym. Oczywiście stwierdził coś więcej niż tylko banalny fakt zniknięcia moich włosów, ustalił również, kiedy, gdzie i dlaczego się to stało. Usunął tym samym wszelkie zdezorientowanie i odpowiedział na wszystkie pytania. Dlatego dodał, bardziej konkludując, niż pytając: – We wraku

samochoду.

Kiwnąłem głową.

Usiadł w nogach łóżka na krześle i przechylił je tak, że opierało się o ścianę, przy czym lufa pistoletu nie drgnęła nawet o milimetr.

– I co? Umieściłeś włosy przy którymś z trupów?

Wsunąłem lewą rękę do kieszeni kurtki.

– Przestań! – krzyknął, a ja zobaczyłem, jak jego palec wciska spust. Bez kurka w erekcji. Glock 17. Prawdziwa dama.

– To lewa ręka – zauważyłem.

– No dobrze. Powoli.

Wolno wyciągnąłem dłoń i rzuciłem torebkę z włosami na stół. Greve kiwnął głową, nie odrywając ode mnie wzroku.

– A więc zrozumiałeś – stwierdził. – Domyśliłeś się, że nadajniki są umieszczone we włosach. I że to ona umieściła je tam dla mnie. Dlatego ją zabiłeś, prawda?

– Masz poczucie straty, Clas? – spytałem, opierając się o wezglowie. Serce mi waliło, a mimo to czułem dziwne rozluźnienie w tej chwili pożegnania. Cieleśny lęk przed śmiercią i spokój ducha.

Nie odpowiedział.

– A może ona była tylko, jak to nazwałeś, środkiem do osiągnięcia celu? Kosztem uzyskania przychodu.

– Dlaczego chcesz to wiedzieć, Roger?

– Ponieważ chcę wiedzieć, czy tacy jak ty istnieją naprawdę, czy są wyłącznie fikcją.

– Tacy jak ja?

– Ludzie, którzy nie są w stanie kochać.

Greve się roześmiał.

– Gdybyś chciał znać na to odpowiedź, mógłbyś po prostu przyrzeć się sobie w lustrze, Roger.

– Ja kogoś kochałem.

– Być może imitowałeś miłość, ale czy naprawdę kochałeś? Masz na to dowody? Bo ja widzę wyłącznie dowody na coś przeciwnego. Odmówiłeś Dianie jedyne, co chciała mieć oprócz ciebie.

– Dałbym jej to.

Znów się roześmiał.

– A więc zmieniłeś zdanie? Kiedy to się stało? Kiedy stałeś się skruszonym małżonkiem? Gdy się zorientowałeś, że pieprzy się z innym mężczyzną?

– Wierzę w pokutę – powiedziałem cicho. – W pokutę. I w wybaczenie.

– Teraz jest już za późno – stwierdził. – Diana nie otrzymała ani twojego wybaczenia, ani twoich dzieci.

– Twoich też nie.

– Nigdy nie planowałem dać jej dziecka, Roger.

– No tak, bo nawet gdybyś tego pragnął, to i tak nie byłbyś w stanie, prawda?

– Oczywiście, że byłbym w stanie. Sądziłeś, że jestem impotentem?

Powiedział to szybko, tak szybko, że jedynie mucha zauważyłaby nanosekundowe wahanie. Głęboko odetchnąłem.

– Widziałem cię, Clasie Greve. Widziałem cię... z perspektywy żaby.

– Co ty bredzisz, Brown?

– Widziałem twoje organy reprodukcyjne z bliższej odległości, niżbyś sobie tego życzył.

Zauważyłem, jak jego usta powoli się otwierają, więc ciągnąłem:

– W wychodku pod Elverum.

Usta Grevego formowały jakieś słowo, ale bez efektu.

– To w taki sposób zmusili cię do mówienia w tamtej piwnicy w Surinamie? Atak na jądra? Uderzenie, nóż? Nie odebrali ci pożądania, tylko zdolność rozmnażania. Mam rację? To, co zostało ci z jaj, wyglądało na zeszyte grubą nitką.

Usta Grevego były teraz zamknięte. Prosta kreska w skamieniałej twarzy.

– To tłumaczy twój fanatyczny pościg przez dżunglę za człowiekiem będącym, jak sam mówiłeś, nic nieznaczącym przemytnikiem narkotyków. Sześćdziesiąt pięć dni, tak? Bo to on, prawda? To on obciął ci

męskość. Odebrał możliwość spłodzenia kopii samego siebie. Zabrał ci wszystko. Prawie. Więc ty odebrałeś mu życie. Ja to rozumiem.

Tak, to podpunkt trzy w punkcie drugim Inbaua, Reida i Buckleya: zasugeruj moralnie akceptowalny motyw przestępstwa. Ale mnie jego przyznanie się do winy nie było już potrzebne. Zamiast tego dałem mu swoje. Z góry.

– Rozumiem, Clas, ponieważ zamierzam cię zabić z tego samego powodu. Zabrałeś mi wszystko. Prawie.

Z ust Grevego wydobył się dźwięk, który, jak zrozumiałem, miał być śmiechem.

– A który z nas ma pistolet, Roger?

– Zabiję cię tak, jak zabiłem twojego przekłętego kundla.

Zobaczyłem, że mięśnie szczęki mu się napinają, kiedy zaciskał zęby, a knykcie bieleją.

– Nie widziałeś go, prawda? Dokonał żywota jako karma dla wron. Nabity na widły traktora Aa.

– Rzygać mi się chce, Brown. Siedzisz tu i moralizujesz, a sam jesteś zabójcą zwierząt i dzieci!

– Masz rację. Ale pomyliłeś się w szpitalu, mówiąc, że nasze dziecko miało zespół Downa. Przeciwnie, wszystkie badania wykazywały, że jest zdrowe. Namówiłem Dianę na usunięcie ciąży całkiem po prostu dlatego, że nie chciałem się nią z nikim dzielić. Słyszałeś kiedyś coś równie dziecinnego? Czysta

zazdrość o nienarodzone dziecko. Chyba dostałem za mało miłości w dzieciństwie, jak sądzisz? Może i z tobą było podobnie, Clas? Czy raczej byłeś zły od samego momentu narodzin?

Wydaje mi się, że do Grevego nie dotarły wszystkie moje pytania, bo patrzył na mnie z rozdziawionymi ustami, co świadczyło o tym, że mózg znów pracuje na wysokich obrotach. Rekonstruuje, śledzi rozgałęzienia drzewa decyzji od tyłu w stronę pnia, ku prawdzie, i zatrzymuje się tam, gdzie wszystko się zaczęło. Jedno proste zdanie w szpitalu. Coś, co sam powiedział: „...nakłania ją do aborcji, bo dziecko ma zespół Downa”.

– No to powiedz – odezwałem się, widząc, że zrozumiał. – Kochałeś kogoś innego oprócz tego psa?

Uniósł pistolet. Z krótkiego życia nowego Rogera Browna pozostały już tylko sekundy. Lodowoniebieskie oczy zamigotały, a miękki głos zmienił się w szept.

– Zamierzałem ci posłać jedną kulę w głowę w geście szacunku za to, że byłeś zwierzyną godną myśliwego, Roger. Wydaje mi się jednak, że wrócę do pierwotnego planu. Strzelę ci w brzuch. Opowiadałem ci o takich strzałach? O tym, jak kula przebija śledzionę, a kwas żołądkowy wylewa się i spala wnętrzności? Potem zaczekam, aż będziesz mnie błagał, żebym cię dobił. I będziesz mnie błagał, Roger.

– Może powinieneś skończyć z tym gadaniem i zamiast tego strzelić, Clas. Nie zwlekaj tak długo jak w

szpitalu.

Greve znów się roześmiał.

– O, nie sądzę, żebyś zaprosił tu policję, Roger. Zabiłeś kobietę. Jesteś takim samym mordercą jak ja. To sprawa między nami.

– Zastanów się, Clas. Jak myślisz, dlaczego zaryzykowałem wyprawę do Instytutu Medycyny Sądowej i oszustwem zmusiłem personel do wydania mi tej torebki z włosami?

Greve wzruszył ramionami.

– To proste. Dowód w postaci DNA. Najprawdopodobniej jedyny, jaki mogliby wykorzystać przeciwko tobie. Przecież ciągle myślą, że ten, którego szukają, nazywa się Ove Kjikerud. No chyba, że chciałeś odzyskać tę swoją wspaniałą grzywę. Może zrobisz sobie z niej perukę? Diana mi mówiła, że włosy są dla ciebie bardzo ważne. Że kompensujesz sobie nimi wzrost, a raczej małość.

– Rzeczywiście – przyznałem. – Ale się mylisz. Czasami łowca głów zapomina, że ta głowa, na którą poluje, potrafi myśleć. Nie wiem, czy bez włosów myśli lepiej, czy gorzej, ale w tym wypadku zwabiła myśliwego w pułapkę.

Greve zamrugał powoli, jednocześnie zobaczyłem, że spina mięśnie i zaczyna się niepokoić.

– Nie widzę żadnej pułapki, Roger.

– Ona jest tutaj – powiedziałem, odrzucając na bok

kołdrę. Zobaczyłem, że spojrział na zwłoki Ovego Kjikeruda. I na pistolet maszynowy Uzi, który leżał na piersi trupa.

Zareagował błyskawicznie, skierował lufę na mnie.

– Niczego nie próbuj, Brown.

Sięgnąłem po uzi.

– Nie! – wrzasnął Greve.

Uniosłem broń.

Greve strzelił. Huk wypełnił pokój.

Wycelowałem w Grevego. Lekko uniósł się na krzesło i wypalił jeszcze raz. Wcisnąłem spust. Do samego końca. Rozległ się ochrypły ryk ołowiu rozdzierającego powietrze, ściany, krzesło, czarne spodnie Clasa Greve, idealnie umięśnione uda, krocze i prawdopodobnie również członek, który był w Dianie, napięte mięśnie brzucha i chronione przez nie organy.

Greve osunął się na krzesło, a pistolet upadł na podłogę. Nagle znów zrobiło się cicho. Dźwięczała tylko pusta łuska tocząca się po parkiecie. Przechyliłem głowę i popatrzyłem na niego. Odwzajemnił spojrzenie oczami poczerwiałymi z powodu szoku.

– Teraz już nie przejdziesz testu medycznego w Pathfinderze, Greve. *Sorry*. Nigdy nie ukradniesz tej technologii, bez względu na to, jaki jesteś dokładny. Prawdę mówiąc, właśnie ta twoja cholerna dokładność cię zgubiła.

Greve jęknął coś ledwie słyszalnie po holendersku.

– Ta dokładność zwabiła cię tutaj – ciągnąłem. – Na to ostatnie interview. Bo wiesz, jesteś człowiekiem, którego szukałem na to stanowisko. Nie tylko wierzę, ale po prostu wiem, że nadajesz się idealnie do tej pracy. A to oznacza, że praca jest idealna dla ciebie. Może pan mi wierzyć, panie hrabio.

Greve nie odpowiedział. Patrzył tylko na siebie. Od krwi czerń jego swetra jeszcze się pogłębiła. Kontynuowałem więc:

– Niniejszym pan hrabia zostaje zatrudniony jako kozioł ofiarny. Jako ten, który zabił Ovego Kjikeruda, człowieka u mego boku. – Poklepałem Ovego po brzuchu.

Greve jęknął i uniósł głowę.

– Co ty, do cholery, bredzisz? – Jego głos brzmiał rozpaczliwie, a jednocześnie bełkotliwie, sennie. – Zadzwoń po karetkę, zanim kolejny raz zrobisz z siebie zabójcę, Brown. Zastanów się, jesteś amatorem. Nigdy nie wywiniesz się policji. Zadzwoń, a ja też cię oszczędzę.

Popatrzyłem na Ovego. Wyglądał tak spokojnie.

– Ale to nie ja cię zabiję, Greve. Zrobi to Kjikerud, nie rozumiesz?

– Nie. Na Boga, zadzwoń po ambulans. Nie widzisz, że zaraz się wykrwawię na śmierć?

– Przykro mi, ale już za późno.

– Za późno? Chcesz, żebym umarł?

W jego głosie pojawiło się coś nowego. Czy to mógł być płacz?

– Proszę cię, Brown. Nie tutaj i nie tak. Proszę cię, błagam!

Tak. To rzeczywiście płacz. Łzy spływały mu po policzkach. Może nic w tym dziwnego, jeśli mówił prawdę o strzale w brzuch. Widziałem krew spływającą mu z nogawki spodni na wyczyszczone do połysku pantofle od Prady. Błagał mnie. W obliczu śmierci nie zdołał zachować godności, wszystko jedno, czy był hrabią, czy nie. Słyszałem, że nikt tego nie potrafi, a ci, którym pozornie się to udaje, są po prostu w stanie apatii wynikającej z szoku. Najbardziej, rzecz jasna, upokarzało Grevego to, że tylu było świadków jego załamania, no i że miało ich być więcej.

Piętnaście sekund po moim otwarciu drzwi do domu Ovego Kjikeruda i wejściu do pokoju bez wstukania hasła „Natasza” kamery monitoringu zaczęły nagrywać, a jednocześnie w firmie Tripolis rozdzwonił się alarm. Wyobrażałem sobie, jak ochroniarze tłoczą się przed monitorem, jak z niedowierzaniem wpatrują się w niemy film z Grevem w roli jedyne go widocznego aktora. Widzą, jak otwiera usta, ale nie słyszą, co mówi. Widzą, jak strzela i jak sam zostaje trafiony, i przeklinają Ovego za to, że nie ustawił żadnej kamery pokazującej tego, kto siedzi na łóżku.

Spojrzałem na zegarek. Minęły już cztery minuty,

odkąd alarm się uruchomił, i zapewne trzy, odkąd zadzwonili na policję. Tamci z kolei powiadomili grupę Delta, tę wykorzystywaną w akcjach przeciwko uzbrojonym przestępcom. Jej zebranie też wymagało trochę czasu. Tonsenhagen było położone w pewnym oddaleniu od centrum. Oczywiście mogłem jedynie przypuszczać, ale pierwsze radiowozy policyjne powinny się tu zjawić nie wcześniej niż za kwadrans. Z drugiej strony nie było sensu tak tego przeciągać. Greve wystrzelił dwie kule z siedemnastu mieszczących się w magazynku.

– Niech ci będzie, Clas – powiedziałem, otwierając okno za zagłówkiem. – Dostaniesz ostatnią szansę. Podnieś pistolet. Jeśli zdołasz do mnie strzelić, to dasz radę również wezwać karetkę.

Patrzył na mnie pustym spojrzeniem. Do pokoju wpadł lodowaty wiatr. Zdecydowanie przyszła już zima.

– No dalej, co właściwie masz do stracenia?

Wydawało się, że logika przedostaje się w jakiś sposób do jego zszokowanego mózgu. Szybkim ruchem, o wiele szybszym niż podejrzewałbym, sądząc po jego obrażeniach, rzucił się bokiem na podłogę i sięgnął po pistolet. Kule z mojego pistoletu maszynowego – *plumbum*, miękki, ciężki, trujący metal – poderwały drzazgi z parkietu między jego nogami. Kule do niego dotarły, ale zanim podziurawiły mu pierś, wdarły się w serce i przebiły oba płuca, które zapadły się z sykiem, zdołał jeszcze oddać strzał. Pojedynczy strzał. Huk

zadrzał między ścianami. Potem znów zapadła cisza. Grobowa cisza. Słyszeć było jedynie świst wiatru. Niemy film zmienił się w zatrzymany obraz. Zamrożony chłodem wpadającym do pokoju.

To było idealne zakończenie.

Część V

MIESIĄC PÓŹNIEJ, OSTATNIE INTERVIEW

23. REDAKCJA WIECZORNA

Sygnalem programu publicystycznego zajmującego się aktualnymi wydarzeniami był prosty gitarowy riff, kojarzący się widzom z bossa novą, rozkołysanymi biodrami i kolorowymi drinkami, a nie twardymi faktami, polityką i ponurą problematyką społeczną. Albo, tak jak tego wieczoru, przestępczością. Sygnał był krótki, miał sugerować, że *Redakcja Wieczorna* to audycja bez zbędnych ozdobników, w której chodzi o treść i meritum.

Prawdopodobnie właśnie z tej przyczyny program zaczął się od tego, że kamera na wysięgniku w Studiu 3 pokazała uczestników panelu z góry. Następnie została łagodnie opuszczona, kończąc zbliżeniem na prowadzącego Odda G. Dybwada, który, jak zwykle w takiej chwili, oderwał wzrok od papierów i zdjął okulary do czytania. Może był to pomysł reżysera, według którego widz odnosił wrażenie, że dyskutowana dzisiaj sprawa jest tak świeża, iż G. Dybwad sam ledwie zdążył się z nią zapoznać.

Odd G. Dybwad miał gęste, krótko obcięte, posiwiałe na skroniach włosy i jedną z tych twarzy, które nieodmiennie mają czterdzieści lat. Wyglądał na czterdziestkę w wieku trzydziestu lat i tak samo, kiedy miał pięćdziesiąt. Odd G. Dybwad, z dyplomem politologa, umiał myśleć analitycznie, posiadał inteligencję werbalną i doskonale pasował do

tabloidów. Prawdopodobnie o tym, że szefostwo kanału przydzieliło mu program, w którym odbywały się debaty, wcale nie zdecydowały te cechy, tylko jego piętnastoletnie doświadczenie prezentera telewizyjnych wiadomości. Praca ta polegała głównie na odczytywaniu gotowych tekstów z odpowiednią intonacją i odpowiednim wyrazem twarzy w odpowiednim garniturze z odpowiednim krawatem, ale w wypadku G. Dybwada intonacja, wyraz twarzy i krawat były tak odpowiednie, że zapewniły mu wiarygodność większą, niż miała jakakolwiek inna żyjąca osoba w Norwegii. A właśnie wiarygodność była najważniejsza dla programu takiego jak *Redakcja Wieczorna*. O dziwo, wielokrotne powtarzanie, że uwielbia swoje wyniki oglądalności, jak również fakt, że na zebraniach redakcyjnych to on, a nie szefostwo kanału, naciskał na wybór najbardziej komercyjnych spraw, wydawały się jedynie umacniać jego nietykalność. Odd G. Dybwad chciał prezentować poglądy podnoszące temperaturę i budzące emocje, a nie wątpliwości, dzielenie włosa na czworo i chłodne rozważania. Takie rzeczy nadają się do felietonów gazetowych. Gdy pytano go o to w mediach, refren brzmiał: „Dlaczego debatę na temat rodziny królewskiej, prawa homoseksualistów do adopcji czy nadużyć w przyznawaniu zasiłków pozostawiać niepoważnym mediom, skoro można się tym zająć u nas, w *Redakcji Wieczornej*?”.

Program odniósł niezaprzeczalny sukces, a Odd G.

stał się gwiazdą. Gwiazdą błyszczącą tak jasno, że po bardzo brutalnym i bardzo publicznym rozwodzie mógł się ożenić z jedną z młodszych gwiazdek kanału.

– Zajmiemy się dzisiaj dwiema sprawami – oświadczył lekko drżącym od tłumionych emocji głosem, wpatrując się intensywnie w obiektyw kamery. – W pierwszej podsumujemy sprawę zabójstw, jedną z najbardziej dramatycznych w historii Norwegii. Po miesiącu intensywnego śledztwa policja jest zdania, że wreszcie udało jej się połączyć wszystkie wątki w tak zwanej sprawie Grevego. Było w niej łącznie osiem ofiar. Jednego mężczyznę uduszono w jego gospodarstwie pod Elverum. Czterech policjantów rozjechano skradzionym tirem. Jedną kobietę zastrzelono w jej własnym mieszkaniu w Oslo, a następnie dwaj główni aktorzy dramatu zastrzelili się nawzajem w domu na Tonsenhagen, również w Oslo. Ten ostatni akt został, jak wiadomo, uwieczniony na filmie, ponieważ dom był monitorowany, a kopie nagrań wyciekły i od kilku tygodni krążą po Internecie. – G. Dybwad zwiększył dawkovanie patosu: – I jakby jeszcze to nie wystarczyło, w centrum tej niezwyklej sprawy stoi słynny na całym świecie obraz. *Polowanie na dziką kalidońskiego* Petera Paula Rubensa zaginęło podczas drugiej wojny światowej i obawiano się, że przypadło na zawsze. Tak było aż do chwili, gdy cztery tygodnie temu obraz odnaleziono w... – W tym momencie G. Dybwada ogarnęło takie podniecenie, że zaczął się lekko jękać. – ...w norweskim wychodku!

Po tym wstępie przed dalszym lotem musiał zrobić króciutkie międzylądowanie.

– Mamy dzisiaj w studiu gościa, który pomoże nam podsumować sprawę Grevego. Brede Sperre...

G. Dybwad zrobił nieznaczną przerwę, będącą sygnałem dla wydawcy w pomieszczeniu kontrolnym, by przenieść się do kamery numer dwa. Wydawca wybrał półzbliżenie jedyne gościa w studiu, wysokiego, jasnowłosego przystojnego mężczyzny. Drogi jak na funkcjonariusza publicznego garnitur, rozpięta pod szyją koszula, guziki z macicy perłowej – ubiór prawdopodobnie skomponowany przez stylistkę z „Elle”, z którą pieprzył się w tajemnicy, a przynajmniej prawie w tajemnicy. Pewne było, że żadna z kobiet oglądających program nie zmieni kanału tak od razu.

– To pan prowadził w tej sprawie śledztwo z ramienia KRIPOS. Pracuje pan w policji od prawie piętnastu lat. Czy kiedykolwiek miał pan do czynienia z czymś podobnym?

– Każda sprawa jest inna – stwierdził Brede Sperre z niewymuszoną pewnością siebie.

Nie trzeba było być wróżką, by przewidzieć, że po programie jego komórka zapcha się SMS-ami. Młoda kobieta będzie pytać, czy jest wolny i czy chciałby wypić w przyszłym tygodniu kawę z interesującą osobą, samotną matką zamieszkałą pod Oslo, mającą samochód i mnóstwo wolnego czasu. SMS od młodego chłopaka, który lubi starszych zdecydowanych mężczyzn.

Niektórzy rezygnowali z forpoczt i od razu wysyłali zdjęcie. Takie, z którego byli zadowoleni. Ładny uśmiech, tuż po wyjściu od fryzjera, eleganckie ubranie, odpowiedni dekolt. Albo zdjęcie bez twarzy. Albo bez ubrania.

– Ale to oczywiste. Osiem zabitych osób to nie jest rzecz codzienna – powiedział Sperre i dodał, orientując się, że takie niedopowiedzenie graniczy z nonszalancją: – Ani u nas, ani w innych krajach, z którymi w na-uralny sposób się porównujemy.

– Brede Sperre – odezwał się G. Dybwad, który zawsze pilnował, by na wstępie kilkakrotnie powtórzyć imię i nazwisko gościa – miało wryć się widzom w pamięć. – Ta sprawa wzbudziła zainteresowanie międzynarodowe. Ale raczej nie z powodu tragicznej śmierci ośmiu osób, tylko słynnego obrazu, który w całej sprawie odegrał kluczową rolę.

– W każdym razie słynnego wśród znawców sztuki.

– Uważam, że spokojnie możemy powiedzieć, że to dzieło światowej sławy! – zawołał Dybwad, próbując pochwycić spojrzenie Sperrego. Może chciał mu przypomnieć ustalenia sprzed programu – mieli stworzyć team współpracujący ze sobą po to, by przekazać widzom fantastyczną historię, a umniejszanie sławy obrazu równało się z odbieraniem historii jej niesamowitości. – Tak czy owak, obraz Rubensa był istotnym elementem, kiedy się okazało, że KRIPOS bez niczyjej pomocy musi ułożyć te puzzle, bo żadna z ofiar

nie przeżyła, a świadków też nie było. Nie mam racji, Sperre?

– Oczywiście, to prawda.

– Ostateczny raport ze śledztwa przedłożycie dopiero jutro, ale pan może już dzisiaj opowiedzieć naszym widzom, co właściwie zaszło w sprawie Grevego, zaprezentować cały przebieg wydarzeń od startu do mety.

Brede Sperre kiwnął głową, ale zamiast zacząć mówić, sięgnął po szklankę z wodą i wypił łyk. G. Dybwad uśmiechnął się szeroko z prawej strony ekranu. Być może ci dwaj umówili się wcześniej co do tej sztuczki, tej przerwy, która kazała widzom przesunąć się na sam brzeg kanapy, szeroko otworzyć oczy i nastawić uszu. A może to Sperre przejął reżyserię. W każdym razie policjant odstawił szklankę i nabrał powietrza.

– Zanim przeszedłem do KRIPOS, pracowałem, jak pan wie, w Wydziale Napadów i tam zajmowałem się przede wszystkim śledztwem w sprawie licznych kradzieży dzieł sztuki, jakie miały miejsce w Oslo w ostatnich dwóch latach. Podobieństwa tych kradzieży wskazywały, że mamy do czynienia z zorganizowaną szajką. Już wtedy koncentrowaliśmy się na spółce ochroniarskiej Tripolis, ponieważ w większości okradzionych domów zainstalowano alarm właśnie tej firmy. A teraz wiemy już na pewno, że jedna z osób dokonujących kradzieży pracowała właśnie tam. Ove Kjikerud miał dostęp do przechowywanych w firmie

kluczy do domów i mieszkań, mógł też wyłączyć a-arm i najwyraźniej znalazł sposób na usuwanie informacji z raportów o wyłączeniach. Przypuszczamy, że to Kjikerud osobiście dokonał większości włamań. Potrzebował jednak osoby zorientowanej w świecie sztuki, utrzymującej kontakty z innymi znawcami w tej dziedzinie, która mogła go informować o tym, gdzie jaki obraz wisi.

– Właśnie w tym momencie na scenę wkracza Clas Greve?

– Tak. Sam posiadał niezły zbiór w swoim mieszkaniu na Oscars gate, poza tym obracał się wśród kolekcjonerów, szczególnie w środowisku skupionym wokół Galerii E, gdzie zwróciło na niego uwagę wiele osób. Tam rozmawiał z ludźmi, którzy sami mieli na ścianach drogie obrazy albo wiedzieli, kto je ma. Te informacje Greve przekazywał następnie Kjikerudowi.

– A co Kjikerud robił ze skradzionymi obrazami?

– Dzięki anonimowemu informatorowi zdołaliśmy wysledzić dobrze znanego policji pasera w Göteborgu, który już przyznał się do kontaktów z Kjikerudem. Podczas przesłuchania powiedział naszym kolegom z policji szwedzkiej, że jego ostatni kontakt z nim to telefon, w którym Kjikerud informował, że przyjedzie do niego z obrazem Rubensa. Paser nie bardzo w to uwierzył, zresztą ani Kjikerud, ani obraz nie pojawili się w Göteborgu...

– No właśnie – zagrzmał G. Dybwad tragicznym

głosem. – Co się wydarzyło?

Sperre uśmiechnął się krzywo, jakby uznał melodramatyzm prowadzącego za komiczny:

– Wygląda na to, że Kjikerud i Greve postanowili zrezygnować z pasera. Może zamierzali sami zająć się sprzedażą obrazu. Proszę pamiętać, że paser zabiera pięćdziesiąt procent sumy sprzedaży, a tym razem w grę wchodziły kwoty zupełnie inne niż w wypadku pozostałych obrazów. Greve jako szef holenderskiej firmy technologicznej handlował między innymi z Rosją i kilkoma innymi krajami byłego bloku wschodniego, miał więc mnóstwo kontaktów. Zapewne nie wszystkie jednakowo legalne. To była dla Grevego i Kjikeruda szansa na finansowe uniezależnienie się już do końca życia.

– Ale Greve przynajmniej z pozoru sprawiał wrażenie osoby, która nie ma kłopotów finansowych?

– Firma, której był współwłaścicielem, miała problemy, on właśnie stracił dyrektorskie stanowisko, a jego styl życia wymagał dużych pieniędzy. Wiemy między innymi, że ubiegał się o pracę w pewnej norweskiej firmie z Horten.

– A więc Kjikerud nie stawiał się na umówione spotkanie u pasera, ponieważ wspólnie z Grevem postanowili, że sami zajmą się sprzedażą obrazu. I co było dalej?

– Przed znalezieniem kupca musieli ukryć obraz w jakimś bezpiecznym miejscu. Pojechali więc do chaty,

którą Kjikerud od kilku lat wynajmował od Sindrego Aa.

– Pod Elverum.

– Owszem. Sąsiedzi mówią, że z chaty rzadko korzystano, ale od czasu do czasu pojawiało się dwóch mężczyzn. Nigdy jednak nikt ich nie poznał i wyglądało, jakby wręcz się tam ukrywali.

– Uważacie, że to Greve i Kjikerud?

– Byli ekstremalnie ostrożni w kontaktach, jakie utrzymywali. Nie chcieli pozostawiać żadnych śladów wiążących ich ze sobą. Nie mamy świadków, którzy kiedykolwiek widzieliby ich razem, i żadnych billingów telefonicznych wykazujących, że ze sobą rozmawiali.

– Ale wydarzyło się coś nieprzewidzianego?

– Tak. Co dokładnie, nie wiemy. Pojechali tam razem, by ukryć obraz. Gdy w grę wchodzi tak wielkie sumy, niedowierzenie partnerowi, któremu wcześniej w pełni się ufało, nie jest wcale zaskakujące. Może zaczęli się kłócić. Prawdopodobnie byli odurzeni, bo we krwi obydwu znaleźliśmy ślady narkotyków.

– Narkotyków?

– Mieszanki ketalaru z dormicum. To substancje silnie działające i raczej niespotykane wśród narkomanów w Oslo. Przypuszczamy więc, że Greve przywiózł ten specyfik z Amsterdamu. Być może połączenie obu tych środków sprawiło, że zaczęli być nieostrożni, a w końcu całkowicie stracili kontrolę i

skończyło się na zabiciu Sindrego Aa. Później...

– Chwileczkę – przerwał mu G. Dybwad. – Czy może pan wyjaśnić widzom, co się wydarzyło w związku z tym pierwszym zabójstwem?

Sperre uniósł brew, jakby chciał wyrazić pewne niezadowolenie z oczywistej krwiożerczości prowadzącego. W końcu jednak uległ.

– No cóż. Możemy jedynie się domyślać. Być może Kjikerud i Greve przenieśli imprezę do Sindrego Aa i pochwalili się słynnym obrazem, który skradli, a Aa zareagował jak przyzwoity obywatel, próbując zaalarmować policję lub grożąc, że to zrobi. Clas Greve zabił go więc garotą.

– A garota to...

– Cieniutki drucik albo nylonowa żyłka, którą zaciska się na szyi ofiary, by powstrzymać dostarczenie tlenu do mózgu.

– Ofiara umiera?

– Hm... Tak.

W pomieszczeniu kontrolnym wciśnięto guzik, a na ekranie pokazującym, jaki obraz jest wysyłany do tysięcy odbiorników telewizyjnych, Odd G. Dybwad wolno skinął głową, wpatrując się w Sperrego z wystudiowaną mieszanką obrzydzenia i powagi. Odczekał, by ostatnie słowa zapadły widzom w pamięć. Jedną, dwie, trzy sekundy. Trzy telewizyjne lata. Wydawca prawdopodobnie już się pocił, a Odd G.

Dybwad w końcu przerwał ciszę.

– Skąd wiecie, że to Greve zabił?

– Ślady kryminalistyczne. Później przy zwłokach Grevego znaleźliśmy garotę, a na niej krew Sindrego Aa i cząsteczki naskórka Grevego.

– I wiecie, że zarówno Greve, jak i Kjikerud przebywali w pokoju Sindrego Aa w czasie, kiedy nastąpił zgon?

– Tak.

– A skąd to wiecie? Macie więcej dowodów tego typu?

Sperre poruszył się niespokojnie.

– Tak.

– Jakich?

Brede Sperre chrząknął i przelotnie zerknął na G. Dybwada. Może wcześniej omawiali ten punkt. Sperre być może prosił, by pominęli pewne szczegóły, ale G. Dybwad nalegał, twierdząc, że są ważne, by dać tej historii mata.

Sperre zebrał się w sobie.

– Znaleźliśmy ślady wokół zwłok Sindrego Aa i na samym ciele. Ślady ekskrementów.

– Ekskrementów? – przerwał mu G. Dybwad. – Ludzkich?

– Tak. Przekazaliśmy je do analizy DNA. W większości odpowiadały DNA Ovego Kjikeruda, ale

niektóre również DNA Clasa Greve.

G. Dybwad rozłożył ręce.

– Co tam się, na miłość boską, działo?

– Oczywiście trudno mówić o szczegółach, ale może wyglądać na to, że Greve i Kjikerud... – Sperre znów zbierał się w sobie – ...wysmarowali się własnymi odchodami. Przecież niektórzy ludzie tak robią.

– Innymi słowy mamy do czynienia z bardzo zaburzonymi osobowościami?

– Jak już mówiłem, byli pod wpływem narkotyków. Ale też bez wątpienia byli... hm... odchyleni od normy.

– Bo to jeszcze nie koniec?

– Nie.

Sperre nie powiedział nic więcej, ponieważ G. Dybwad uniósł do góry palec. Umówiony znak, że Sperre ma zrobić króciutką przerwę, jedynie taką, by widzowie zdążyli przetrwać tę ostatnią informację, otrząsnąć się i przygotować na to, co dopiero miało nadejść. Śledczy kontynuował: – Ove Kjikerud w oszołomieniu narkotycznym wpadł na pomysł, że rozpocznie sadystyczną zabawę z psem, którego zabrał ze sobą Clas Greve. Nabił zwierzę na zęby umocowanych do traktora wideł. Ale to był pies bojowy i w gorączce walki dotkliwie ugryzł Kjikeruda w kark. Następnie złoczyńca zaczął jeździć po okolicy traktorem z psem nadzianym na widły. Był tak odurzony, że ledwie zdołał trzymać się drogi. Zatrzymał go w końcu

kierowca samochodu, który nie miał pojęcia, w co się wplątuje, i zrobił to, do czego poczułby się zobowiązany każdy sumienny obywatel, a mianowicie zapakował Kjikeruda do swojego wozu i zawiózł go do szpitala.

– Cóż za kontrast... w jakości człowieczeństwa – wtrącił G. Dybwad.

– Rzeczywiście można tak to określić. Właśnie ten kierowca powiedział nam, że Kjikerud był wysmarowany odchodami, kiedy go znalazł. Mężczyzna uznał, że Kjikerud wpadł do gnojówki, ale personel szpitala, który zajął się umyciem pacjenta, twierdził, że to były ludzkie odchody, nie zwierzęce. Oni, zdaje się, mają pewne doświadczenie z... z...

– Co zrobiono z Kjikerudem w szpitalu?

– Był nieprzytomny, ale umyto go pod prysznicem, opatrzono mu rany i położono do łóżka.

– I właśnie w szpitalu znaleziono ślady narkotyków we krwi?

– Nie. Co prawda pobrano mu tam krew do zbadania, ale zgodnie z obowiązującymi procedurami wszystkie próbki zniszczono, zanim śledztwo znalazło się na tym etapie. Narkotyki odkryto we krwi pobranej w trakcie sekcji zwłok.

– No dobrze. Cofnijmy się jednak trochę w czasie. Mamy sytuację, w której Kjikerud jest w szpitalu, a Greve wciąż w gospodarstwie Sindrego Aa. Co się

dzieje dalej?

– Kiedy Kjikerud nie wraca, Clas Greve oczywiście zaczyna się niepokoić. Odkrywa brak traktora, idzie po własny samochód i zaczyna jeździć po okolicy, szukając kompana. Przypuszczamy, że Greve odbierał w samochodzie radio policyjne. Z niego właśnie się dowiedział, że policja odnalazła traktor, a rano również zwłoki Sindrego Aa.

– Greve ma więc problem. Nie wie, gdzie jest jego kompan, policja odkryła zwłoki Aa, gospodarstwo jest miejscem zabójstwa, istnieje więc niebezpieczeństwo, że policja, szukając narzędzia zbrodni, natrafi na obraz Rubensa. Co sobie myśli Greve?

Sperre się wahał. Dlaczego? W policyjnych raportach zawsze unika się opisywania domysłów dotyczących cudzych myśli. Trzeba się trzymać tego, co się da udowodnić, słów i czynów. Co najwyżej wspomina się, że ktoś mówił, że o czymś myślał. Ale w tej sprawie nikt nic nie powiedział. Z drugiej jednak strony Sperre wiedział, że musi coś zaproponować, dopomóc tej historii nabrać życia, żeby... żeby... Nigdy nie pozwolił sobie na dokończenie tej myśli, bo wiedział, co jest na tym końcu. Że lubi być tym, do którego dzwonią media, tym, z którym chciały rozmawiać, kiedy trzeba było coś skomentować albo wyjaśnić. Lubił skinienia głową na ulicy, zdjęcia przesyłane MMS-em na komórkę. A gdyby przestał mówić, media przestałyby dzwonić. Co więc robić?

Niezależność kontra sława. Szacunek kolegów kontra popularność wśród społeczeństwa.

– Greve myśli... – zaczął Brede Sperre – że sytuacja jest trudna. Jeździ w koło i szuka. Jest już rano. Nagle w radiu policyjnym słyszy, że Ove Kjikerud ma zostać aresztowany, zabrany ze szpitala przez policję i przewieziony na przesłuchanie. Teraz już rozumie, że sytuacja z trudnej zmieniła się w rozpaczliwą. Wie bowiem, że Kjikerud nie jest wcale filmowym twardzielem, a policja będzie mocno naciskać i być może zaproponuje mu złagodzenie kary w zamian za wydanie partnera. Wie też, że Kjikerud z pewnością nie będzie chciał wziąć na siebie winy za zabójstwo Sindrego Aa.

– To logiczne – skinął głową G. Dybwad, pochylony do przodu i czujny.

– Greve rozumie więc, że jedynym wyjściem jest uwolnić Kjikeruda z rąk policji, zanim przesłuchanie się rozpocznie. Albo...

Sperre nie potrzebował dyskretnego kiwnięcia palcem prowadzącego, by wiedzieć, że to kolejny moment na króciutką przerwę.

– Albo podczas próby uwolnienia po prostu go zabić.

Mogło się wydawać, że sygnał telewizyjny w studiu dosłownie trzeszczy w powietrzu tak wysuszonym przez reflektory, że w każdej chwili mogło się zapalić. Sperre kontynuował:

– Greve zaczyna więc szukać samochodu, z którego mógłby skorzystać, i na parkingu natyka się na opuszczonego tira. Jako były członek holenderskiego oddziału specjalnego wie, jak uruchomić silnik. Wciąż ma radio odbierające policyjne komunikaty i najwidoczniej dokładnie sprawdził na mapie trasę, którą radiowóz z Kjikerudem będzie jechał ze szpitala do Elverum. Czeka w tirze na bocznej drodze.

G. Dybwad wtrącił się, dramatycznie unosząc rękę:

– I właśnie w tym momencie dochodzi do największej tragedii w tej sprawie?

– To prawda – odparł Sperre, spuszczać wzrok.

– Wiem, że akurat to jest dla pana bardzo bolesne, Brede.

Brede. Imię. To było hasło.

– Zbliżenie na Sperrego – usłyszał głos wydawcy operator obsługujący kamerę numer jeden.

Sperre głęboko odetchnął.

– W zderzeniu zginęło czterech dobrych policjantów. Wśród nich mój bliski kolega z KRIPOS, Joar Sunded.

Ściągnięcie zoomem nastąpiło bardzo ostrożnie; przeciętny widz nawet się nie zorientował, że twarz Sperrego stopniowo wypełniała coraz większą część ekranu telewizora. Wyczuł jedynie zagęszczoną atmosferę, intymność, odnosząc wrażenie, że przenika pod skórę tego dumnego, wzruszonego w tym momencie

policjanta.

– Uderzenie wyrzuciło radiowóz ponad barierę ochronną, spadł w dół między drzewa nad rzeką – podjął G. Dybwad. – Ale Ove Kjikerud cudem ocalał?

– Tak. – Sperre znów był gotowy. – Wydostał się z wraku, albo o własnych siłach, albo z pomocą Grevego, i samochodem Grevego dotarł do Oslo. Kiedy policja później odnalazła radiowóz, w którym brakowało jednej osoby, uznała, że ciało wpadło do rzeki. Poza tym Kjikerud przebrał za siebie jednego z policjantów, co na pewien czas wprowadziło zamieszanie, i nie wiadomo było, kto tak naprawdę zniknął.

– Ale mimo że Greve i Kjikerud są akurat w tym momencie bezpieczni, i tak ogarnia ich paranoja?

– Tak. Kjikerud ma świadomość, że kiedy Greve wjeżdżał tirem w radiowóz, musiało mu być obojętne, czy jego kompan przeżyje wypadek, czy nie. Kjikerud zrozumiał więc, że jego życie jest zagrożone, a Greve ma co najmniej dwa ważne powody, by się go pozbyć. Po pierwsze, Kjikerud był świadkiem zabójstwa Aa, a po drugie, gdyby zginął, Greve zgarnąłby dla siebie cały zysk ze sprzedaży Rubensa. Wie, że Greve zaatakuje, kiedy tylko nadarzy się okazja.

G. Dybwad wychylił się przejęty.

– Tym samym dochodzimy do ostatniego aktu tego dramatu. Dotarli do Oslo, Kjikerud pojechał do siebie. Ale nie po to, by odpocząć. Wie, że musi działać pierwszy, zjeść albo zostać zjedzony, więc ze swojego

bogatego arsenału wyciąga nieduży czarny pistolet...

– Rohrbaugh R9 – uzupełnił Sperre. – Dziewięć milimetrów, półautomatyczny, sześć nabojów w magazynie...

– I ten pistolet – przerwał mu G. Dybwad – zabiera ze sobą tam, gdzie, jak sądzi, znajduje się Clas Greve, a mianowicie... do jego kochanki, prawda?

– Nie jesteśmy pewni, jaki związek łączył Grevego z tą kobietą. Wiemy tylko, że utrzymywali regularny kontakt, że się spotykali, a odciski palców Grevego zostały między innymi znalezione w jej sypialni.

– A więc Kjikerud jedzie do kochanki i trzyma pistolet w pogotowiu, kiedy ta mu otwiera – podsumował G. Dybwad. – Kobieta wpuszcza go do przedpokoju, a wtedy Kjikerud do niej strzela, następnie przeszukuje mieszkanie, ale Clasa Greve tam nie ma. Kjikerud układa jej ciało w łóżku i wraca do siebie. Stara się mieć broń przy sobie bez względu na to, gdzie jest, nawet kiedy idzie spać. A potem pojawia się Clas Greve.

– Tak. Nie wiemy, w jaki sposób dostaje się do środka, być może za pomocą wytrychu. W każdym razie nie zdaje sobie sprawy, że wchodząc do domu, włącza bezdźwięczny alarm i jednocześnie uruchamia kamery monitoringu rozmieszczone w domu Kjikeruda.

– Co oznacza, że policja posiada nagranie całego zdarzenia, a mianowicie ostatniego porachunku tych dwóch przestępców. A czy może pan osobom, które nie

znalazły w sobie dość siły, by zajrzeć do Internetu, opowiedzieć, co się stało?

– Zaczynają do siebie strzelać. Greve pierwszy oddaje dwa strzały ze swojego glocka siedemnaście. Niewiarygodne, ale dwa razy pułkuje.

– Niewiarygodne?

– Z tak bliska, owszem. Greve był przecież świetnie wytrenowanym komandosem.

– To znaczy, że trafia w ścianę?

– Nie.

– Nie?

– Nie. W ścianie przy wezglowiu łóżka nie znaleźliśmy żadnej kuli. Greve trafia w o-no, a raczej nie w okno, bo ono jest otwarte na oścież. Po prostu strzela przez okno.

– Przez okno. Skąd to wiecie?

– Ponieważ znaleźliśmy kulę na zewnątrz.

– Tak?

– W lesie za domem. Konkretnie w budce dla sów zawieszanej na drzewie. – Sperre uśmiechnął się półgębkiem, jak często uśmiechają się mężczyźni, kiedy sami uważają, że nie podkreślają zanadto swojego sukcesu.

– Rozumiem. I co dalej?

– Kjikerud zaczyna strzelać z pistoletu maszynowego Uzi, który trzyma w łóżku. Na filmie widać, że kule

trafiają Grevego w krocze i w brzuch. Pistolet wypada mu z ręki, ale udaje mu się go podnieść i oddać trzeci, ostatni strzał. Trafia Kjikeruda prosto w czoło nad prawym okiem. Kula wywołuje rozległe obrażenia mózgu, ale nie jest tak jak w filmach, w których każdy strzał w głowę oznacza natychmiastową śmierć. Kjikerud przed śmiercią puszcza jeszcze ostatnią serię. Ta seria uśmierca Clasa Grevego.

Długa chwila ciszy. Szef nagrania pokazał prawdopodobnie Oddowi G. Dybwadowi jeden palec, sygnalizując, że według planu została jeszcze minuta, pora więc na podsumowanie i gładkie zakończenie.

Prowadzący odchylił się w fotelu, teraz już bardziej rozluźniony.

– A więc KRIPOS nie miała żadnych wątpliwości co do przebiegu wydarzeń?

– Żadnych. – Sperre popatrzył z mocą na G. Dybwada, potem rozłożył ręce. – Oczywiście zawsze pozostaną pewne wątpliwości co do szczegółów i kilka niepewnych kwestii. Jako przykład mogę podać, że zdaniem patologa sądowego przeprowadzającego badania na miejscu zdarzenia temperatura zwłok Kjikeruda spadła dziwnie szybko i według obowiązujących tabel stwierdziłby, że ten człowiek zmarł prawie dobę wcześniej. Ale policjanci powiedzieli, że kiedy przyszli, okno za łóżkiem było otwarte, a to był przecież pierwszy mroźny dzień w Oslo. Takie niejasności pojawiają się przez cały czas,

ale są one nieodłącznym elementem naszej pracy.

– No tak, bo na nagraniu nie widać Kjikeruda, jednak kula w jego głowie...

– Pochodziła z glocka, z którego strzelał Greve. – Sperre znów się uśmiechnął. – Dowody kryminalistyczne są – jak wy z mediów lubicie określać – przytłaczające.

G. Dybwad uśmiechnął się umiarkowanie szeroko, jednocześnie zbierając rozłożone przed sobą kartki, co stanowiło sygnał do zakończenia. Teraz miał jeszcze tylko podziękować Bredemu Sperre, wbić wzrok w obiektyw kamery numer jeden i zapowiedzieć drugą sprawę zaplanowaną na ten wieczór, a mianowicie kolejną rundę walki o subsydia dla rolnictwa. Nagle jednak znieruchomiał z półotwartymi ustami, jakby spoglądał w głąb siebie. Czyżby przekazano mu przez słuchawkę jakąś wiadomość? O czymś zapomniał?

– Już na sam koniec, Sperre – odezwał się spokojnie, zręcznie i z rutyną. – Co właściwie wam wiadomo o tej zastrzelonej kobiecie?

Sperre wzruszył ramionami.

– Niewiele. Jak już mówiłem, sądzymy, że była kochanką Grevego. Jeden z sąsiadów zeznał, że widział, jak Greve do niej przychodzi. Nie miała żadnej kartoteki w policji, ale za pośrednictwem Interpolu zdołaliśmy się dowiedzieć, że była zamieszana w pewną sprawę narkotykową, kiedy mieszkała jeszcze z rodzicami w Surinamie. Była wtedy dziewczyną

jednego z tamtejszych baronów narkotykowych, ale gdy został zabity przez holenderskie oddziały specjalne, pomogła w identyfikacji reszty gangu.

– Nie została skazana?

– Była wtedy nieletnia, a poza tym w ciąży. Władze odesłały całą rodzinę do ojczyzny.

– Czyli do...

– Danii. Od tamtej pory tam mieszkała, wiedząc, z tego co wiemy, spokojne życie. Trzy miesiące temu przyjechała do Oslo. I tutaj spotkał ją tragiczny koniec.

– À propos końca bardzo dziękujemy, Brede Sperre.
– G. Dybwad zdjął okulary i spojrzał w kamerę numer jeden. – Czy Norwegia za wszelką cenę musi hodować własne pomidory? W *Redakcji Wieczornej* spotkamy się wkrótce z...

Obraz w telewizorze zgasł, kiedy wcisnąłem lewym kciukiem guzik „Off” w pilocie. Normalnie zrobiłbym to prawym, ale tę rękę miałem zajętą. I chociaż mi drętwiała, bo krążenie zakłócał nacisk, za nic w świecie bym nią nie poruszył. Opierała się bowiem na niej najpiękniejsza według mnie głowa na świecie. Obróciła się teraz do mnie, a ręka odsunęła kołdrę, żebym był lepiej widoczny.

– Naprawdę spałeś w jej łóżku? Po tym, jak ją zastrześliłeś tamtej nocy? Obok niej? Mówiłeś, że ile to łóżko miało szerokości?

– Sto jeden centymetrów. Według katalogu Ikei.

Wielkie niebieskie oczy Diany patrzyły na mnie z przerażeniem. Ale, jeśli się nie myliłem, był w nich również pewien podziw. Miała na sobie cieniusieńki peniuar od Yves’a Saint Laurenta, chłodny, gdy ocierał się o mnie tak jak teraz, ale parzący, gdy moje ciało do niej przylegało.

Uniosła się na rękach.

– Jak ją zastrzeliłeś?

Z jękiem zamknąłem oczy.

– Diano, ustaliliśmy, że nie będziemy o tym rozmawiać.

– Owszem, ale jestem już na to gotowa, Roger. Obiecuję.

– Ależ, moja droga, posłuchaj...

– Nie. Jutro raport policyjny zostanie opublikowany, a wtedy i tak poznam szczegóły. Wolę usłyszeć je od ciebie.

– Na pewno?

– Z całą pewnością.

– Strzeliłem jej w oko.

– W które?

– W to. – Dotknąłem palcem wskazującym jej pięknie zarysowanej lewej brwi.

Zamknęła oczy i zaczęła oddychać głęboko i powoli.

Wdech, potem wydech.

– A czym ją zastrzeliłeś?

– Takim małym czarnym pistolecikiem.

– Skąd...

– Znalazłem go u Ovego w domu. – Przeciągnąłem palcem wzdłuż brwi i skroni, pogładziłem mocno zaznaczoną kość policzkową. – I tam też go zostawiłem. Oczywiście bez moich odcisków palców.

– A gdzie byliście, kiedy do niej strzeliłeś?

– W przedpokoju.

Oddech Diany wyraźnie przyspieszył.

– Mówiła coś? Bała się? Rozumiała, co się dzieje?

– Nie wiem. Strzeliłem od razu, gdy tylko wszedłem.

– I co czułeś?

– Żal.

Uśmiechnęła się lekko.

– Żal? Naprawdę?

– Tak.

– Mimo że próbowała cię zwabić w pułapkę Clasa?

Mój palec się zatrzymał. Nawet teraz, miesiąc po tym wszystkim, nie lubiłem, kiedy Diana używała jego imienia. Ale oczywiście miała rację, zadaniem Lotte było zostać moją kochanką. To ona miała mnie przedstawić Clasowi Greve i namówić na zaproszenie go na interview dla Pathfindera, a następnie

dopilnować, żebym udzielił mu rekomendacji. Ile czasu potrzebowała, żeby złapać mnie na haczyk? Trzech sekund? Wiłem się bezradnie, kiedy ona kręciła kołowrotkiem. A potem nastąpiła rzecz zdumiewająca. Porzuciłem ją. Mężczyzna kochał żonę tak mocno, że dobrowolnie zrezygnował z oddanej i niemającej absolutnie żadnych wymagań kochanki. Bardzo zdumiewające. To ich zmusiło do zmiany planów.

– Chyba było mi jej szkoda – powiedziałem. – Wydaje mi się, że byłem ostatni z szeregu mężczyzn, którzy skrzywdzili Lotte w życiu.

Poczułem, że Diana drgnęła na dźwięk jej imienia. To dobrze.

– Porozmawiamy o czymś innym?

– Nie, chcę rozmawiać o tym.

– Zgoda. Wobec tego pomówmy o tym, jak Greve cię uwiódł i nakłonił do przejścia roli osoby, która będzie mną manipulować.

Roześmiała się cicho.

– Dla mnie może być.

– Kochałaś go?

Odwróciła się i długo mi się przyglądała.

Powtórzyłem pytanie.

Westchnęła i przytuliła się do mnie.

– Byłam zakochana.

– Zakochana?

– On chciał mi dać dziecko, więc się zakochałam.

– Tak po prostu?

– Tak. Ale to nie jest proste, Roger.

Oczywiście miała rację. To nie było proste.

– I poświęciłabyś wszystko dla tego dziecka? Nawet mnie?

– Tak. Nawet ciebie.

– Chociaż to oznaczało, że musiałbym rozstać się z życiem?

Lekko trąciła skronią moje ramię.

– Nie, aż tak nie. Dobrze wiesz, myślałam, że on chce cię jedynie nakłonić do napisania tej rekomendacji.

– Naprawdę w to wierzyłaś, Diano?

Nie odpowiedziała.

– Naprawdę, Diano?

– Tak. Tak mi się przynajmniej wydaje. Musisz zrozumieć, że chciałam w to wierzyć.

– Na tyle, że zgodziłaś się umieścić tę gumową piłeczkę z dormicum na siedzeniu samochodu?

– Tak.

– A do garażu zeszłaś po to, żeby... zawieźć mnie w miejsce, w którym on miał mnie przekonywać?

– O tym już rozmawialiśmy, Roger. Powiedział, że to najmniej ryzykowny sposób dla wszystkich stron.

Oczywiście powinnam była zrozumieć, że to szaleństwo, i może nawet rozumiałam. Nie wiem, co jeszcze mogę dodać.

Leżeliśmy, snując dalej myśli i wsłuchując się w ciszę. Latem moglibyśmy słuchać deszczu i wiatru szumiącego w liściach drzew w ogrodzie, ale nie teraz. Teraz wszystko było nagie. I ciche. Jedyłą pociechę przynosiła myśl o tym, że wiosna kiedyś nadejdzie. Być może.

– I jak długo byłaś zakochana?

– Dopóki nie uświadomiłam sobie, co robię, tamtej nocy, kiedy nie wróciłeś do domu.

– Tak?

– Wtedy miałam tylko ochotę umrzeć.

– Nie chodziło mi o zakochanie w nim – powiedziałem – tylko we mnie.

Roześmiała się cicho.

– Tego nie umiem powiedzieć, dopóki nie przestanę być zakochana.

Diana prawie nigdy nie kłamała. Nie dlatego, by nie umiała, była cudownym kłamcą. Ale jej się nie chciało. Piękni ludzie nie potrzebują skorupy. Nie muszą się uczyć wszystkich tych mechanizmów obronnych, jakie rozwijamy my, inni, by chronić się przed odrzuceniem i rozczarowaniami. Jednak gdy kobiety takie jak Diana już raz zdecydują się na kłamstwo, to kłamią dobrze i skutecznie. Nie są moralnie bardziej elastyczne niż

mężczyźni, ale lepiej panują nad tą częścią zdrady. I właśnie dlatego w tamten ostatni wieczór pojechałem do Diany. Wiedziałem, że jest idealną kandydatką do tego zadania.

Kiedy otworzyłem sobie drzwi kluczem, przez chwilę stałem w korytarzu, słuchając jej kroków na parkiecie. A potem poszedłem na górę do salonu. Usłyszałem, że kroki się zatrzymują. Telefon upadł na stolik, a potem rozległ się zduszony od płaczu szept: – Roger. – Z oczu popłynęły jej łzy. I nie zrobiłem nic, by ją powstrzymać, kiedy rzuciła mi się na szyję. – Dzięki Bogu, żyjesz! Próbowałam do ciebie dzwonić cały dzień, wczoraj i dzisiaj. Gdzie byłeś?

Diana nie kłamała. Płakała, bo myślała, że mnie straciła, ponieważ usunęła mnie i moją miłość ze swego życia, wysłała ją jak psa do weterynarza na uspienie. Nie, nie kłamała. Tak mi podpowiadała intuicja. Ale, jak już mówiłem, niezbyt dobrze znam się na ludziach, a Diana jest wyśmienitym kłamcą. Kiedy więc wyszła do łazienki umyć twarz, na wszelki wypadek sprawdziłem w jej telefonie, czy faktycznie to do mnie usiłowała się dodzwonić. Tak na wszelki wypadek.

Kiedy wróciła, opowiedziałem jej wszystko. Absolutnie wszystko. O tym, gdzie byłem, kim byłem, co się wydarzyło. O kradzieżach dzieł sztuki, o jej komórce znalezionej pod łóżkiem Clasa Greve, o Duncie Lotte, która złapała mnie na haczyk. I o rozmowie z Grevem w szpitalu. O tej rozmowie, podczas której zrozumiałem,

że Greve znał Lotte, że to ona była jego najbliższym sprzymierzeńcem, a osobą, która wtarła mi we włosy żel z nadajnikami, nie była wcale Diana, tylko blada piwnooka dziewczyna o magicznych palcach, tłumaczka, która znała hiszpański i która wolała cudze historie od własnej. Żel we włosach miałem już wieczorem przed znalezieniem Kjikeruda w samochodzie. Diana patrzyła wielkimi oczami, ale milczała, kiedy opowiadałem.

– Greve powiedział mi w szpitalu, że nakłoniłem cię do aborcji, ponieważ nasze dziecko miało się urodzić z zespołem Downa.

– Downa? – To było pierwsze słowo, jakie wypowiedziała od wielu minut. – Skąd mu się to wzięło? Ja nie mówiłam...

– Wiem. Sam to wymyśliłem, opowiadając Lotte o aborcji. Mówiła mi, że rodzice zmusili ją do usunięcia ciąży, kiedy była nastolatką. Posłużyłem się więc argumentem z zespołem Downa, bo sądziłem, że to mnie postawi w lepszym świetle.

– Więc ona... ona...

– Tak. Jedynie ona mogła to powtórzyć Clasowi Greve.

Czekałem. Chciałem, żeby ta informacja ułożyła jej się w głowie.

A potem przedstawiłem Dianie, co się będzie działo dalej.

Patrzyła na mnie przerażona, aż w końcu krzyknęła:

– Nie mogę tego zrobić, Roger!

– Możesz. Możesz i musisz, kochanie. – Powiedział to nowy Roger Brown.

– Ale... ale...

– On cię okłamał, Diano. Nie może ci dać dziecka. Jest bezpłodny.

– Bepłodny?

– Ja ci dam to dziecko. Obiecuję. Bylebyś tylko to dla mnie zrobiła.

Odmówiła. Płakała. Prosiła. A w końcu obiecała.

Zanim później tamtego wieczoru pojechałem do Lotte, żeby stać się mordercą, udzieliłem Dianie instrukcji i miałem pewność, że poradzi sobie z tym zadaniem. Wyobraziłem sobie, jak przyjmuje Grevego, kiedy ten przyjdzie. Widziałem jej olśniewający kłamliwy uśmiech. Koniak już przygotowany w kieliszku, toast za zwycięstwo, za przyszłość, za jeszcze niespłodzone dziecko, na którego jak najszybsze spłodzenie nalegała. Jeszcze tej nocy, już.

Drgnąłem, kiedy Diana uszczypnęła mnie w brodawkę sutkową.

– O czym myślisz?

Podciągnąłem kołdrę.

– O tamtej nocy. O tym, że Greve przyszedł i leżał z tobą, tu, gdzie ja teraz leżę.

– I co z tego? Ty spędziłeś tamtą noc obok trupa.

Unikałem tego pytania, ale teraz już nie mogłem się powstrzymać:

– Uprawialiście seks?

Zaśmiała się cicho.

– Długo się powstrzymywałeś, kochany.

– Więc jak?

– Pozwól, że powiem tak: te kropelki dormicum, które zostały w gumowej piłeczce i które wcisnęłam mu do powitalnego drinka, podziałały znacznie szybciej, niż sądziłam. Zanim się odpowiednio przygotowałam i w końcu tutaj przyszedłam, on już spał jak dziecko. Natomiast następnego dnia rano...

– Cofam pytanie – wtrąciłem szybko.

Diana pogłaskała mnie po brzuchu i znów się roześmiała.

– Następnego dnia rano był bardzo podniecony. Ale nie mną, tylko telefonem, który go obudził.

– Moim ostrzeżeniem.

– Tak. W każdym razie natychmiast się ubrał i wyszedł.

– A gdzie miał pistolet?

– W kieszeni marynarki.

– Sprawdził broń przed wyjściem?

– Nie wiem. I tak nie zauważyłby różnicy. Pistolet ważył mniej więcej tyle samo. Przecież zamieniłam

tylko trzy górne naboje w magazynku.

– Ale te ślepe naboje, które ci dałem, miały na końcu czerwone „B”.

– Nawet jeśli sprawdził, pewnie pomyślał, że to znaczy tył, *back*.

Śmiech dwojga ludzi wypełnił sypialnię. Napawałem się nim. Jeśli wszystko poszło dobrze i test nie kłamał, to już niedługo mógł tu rozbrzmiewać śmiech trzech istot, który zagłuszy ten inny dźwięk, to echo, które wciąż potrafiło mnie budzić nocą. Huk, kiedy Greve strzelił. Ogień z lufy. Ułamek sekundy, w którym pomyślałem, że Diana jednak nie podłożyła ślepaków, że znów zmieniła drużynę. A potem brzęk pustych łusek na parkiecie, już wcześniej zasypanym pustymi łuskami, starymi i nowymi, po nabojach ostrych i ślepych, w takiej ilości, że policja nigdy nie byłaby w stanie odnaleźć tych właściwych. Nawet gdyby powzięła podejrzenia, że nagranie na filmie opowiada nieprawdziwą historię.

– Bałeś się? – spytała.

– Czy się bałem?

– Tak. Nigdy mi nie mówiłeś, co czułeś, a ciebie przecież nie ma na tych zdjęciach...

– Na zdję... – Odsunąłem się trochę, żeby móc widzieć jej twarz. – Chcesz powiedzieć, że wchodziłaś do sieci i oglądałaś to nagranie?

Nie odpowiedziała. A ja pomyślałem, że wciąż nie

wiem wielu rzeczy o tej kobiecie. Że ona ma w sobie tajemnice, których wystarczy na całe życie.

– Tak – odparłem. – Bałem się.

– Czego? Przecież wiedziałeś, że w jego pistolecie nie ma...

– Jedynie trzy pierwsze naboje były ślepe. Musiałem zadbać o to, żeby wystrzelił wszystkie trzy, a policja nie znalazła niez użyt ych ślepaków w magazynku i nie zrozumiała całego planu, prawda? Ale on przecież mógł zdążyć z wystrzeleniem i kilku ostrych. Mógł też wcześniej wymienić magazynek. Mógł przyprowadzić jeszcze kogoś, o kim nie wiedziałem.

Zapadła cisza. W końcu Diana spytała cicho:

– Więc o nic więcej się nie bałeś?

Wiedziałem, że myśli o tym samym co ja.

– Owszem – powiedziałem, odwracając się do niej.
– Bałem się jeszcze o jedno.

Zaczęła oddychać szybciej, czułem ciepło oddechu na twarzy.

– Bałem się, że on tej nocy może zabić ciebie. Greve nie miał zamiaru zakładać z tobą rodziny, byłaś niebezpiecznym świadkiem. Wiedziałem, że narażam cię na śmiertelne niebezpieczeństwo, prosząc, żebyś była przynętą.

– Zdawałam sobie sprawę, że cały czas jestem zagrożona – szepnęła. – Właśnie dlatego podałam mu

drink powitalny zaraz, gdy tylko przyszedł. I nie budziłam go, dopóki nie zadzwoniłeś na jego telefon. Wiedziałam, że słysząc głos ducha, zacznie się spieszyć. A poza tym wymieniłam przecież trzy pierwsze kule w pistolecie, prawda?

– Prawda.

Diana jest, jak już mówiłem, kobietą, która ma swobodny stosunek do liczb pierwszych i logiki.

Przesunęła ręką po moim brzuchu.

– Poza tym cenię sobie to, że w pełni świadomie naraziłeś moje życie...

– Jak to?

Przesunęła rękę jeszcze niżej ku genitaliom. Objęła jądra. Zważyła je w dłoni i delikatnie uściśnęła te dwa woreczki z nasieniem.

– Równowaga jest rzeczą absolutnie konieczną – stwierdziła. – To dotyczy wszystkich dobrych, harmonijnych związków. Równowaga winy, równowaga wstydu i wyrzutów sumienia.

Próbowałem to rozgryźć, przeżuć, chciałem, żeby mózg przyswoił sobie tę dość trudną do przetrawienia myśl.

– Chcesz powiedzieć... – zacząłem, zrezygnowałem i zacząłem jeszcze raz: – Chcesz powiedzieć, że naraziłaś się na niebezpieczeństwo dla mnie... że to...

– Było właściwą ceną za to, co ci zrobiłam.

Owszem. Tak jak Galeria E była dla ciebie właściwą ceną za tę aborcję.

– Długo o tym myślałaś?

– Oczywiście. Tak jak ty.

– No tak – przyznałem. – Pokuta...

– Pokuta, właśnie. To bardzo niedoceniony sposób na spokój ducha. – Ścisnęła mi jądra trochę mocniej, a ja próbowałem się rozluźnić i napawać się bólem. Wciągnąłem jej zapach. Był cudowny. Ale czy kiedykolwiek będę w stanie poczuć jakiś zapach, który przytłumi smród ludzkich ekskrementów? Czy kiedykolwiek usłyszę dźwięk, który zagłuszy odgłos przebitych płuc Grevego? Wydawało mi się, że patrzy na mnie z urazą, gdy zaciskałem zimne palce Ovego na rękojeści i spuście uzi, a także na małym czarnym pistolecie Rohrbaugh, z którego zastrzeliłem Lotte. Czy kiedykolwiek zdołam zjeść coś, co pozwoli mi zapomnieć o smaku martwego ciała Ovego? Nachyliłem się nad nim i zatopiłem zęby w jego karku. Zacisnąłem szczęki, aż kły przebiły skórę i w ustach poczułem smak trupa. Prawie nie było krwi. Kiedy wreszcie powstrzymałem odruch wymiotny i wytarłem ślinę, przyjrzałem się rezultatowi. Prawdopodobnie powinno ująć za ugryzienie psa w oczach śledczego, który właśnie czegoś takiego szuka. Potem wyczołgałem się przez otwarte okno za łóżkiem Ovego, żeby nie było mnie na filmie. Prędko wszedłem w las, szukałem ścieżek i dróg. Życzliwie witałem spacerowiczów.

Powietrze stawało się tym chłodniejsze, im wyżej wchodziłem. Chłodziło mnie, dopóki nie wspiąłem się na szczyt Grefsentoppen. Tam usiadłem, przyglądając się barwom jesieni, które zima już zaczęła wysysać z lasu rozciągającego się pode mną. Patrzyłem na miasto, na fiord i na światło. Na światło, które zawsze zwiastuje nadejście ciemności.

Poczułem krew napływającą do członka, pulsującą.

– Chodź – szepnęła mi do ucha.

Wziąłem ją. Systematycznie i dokładnie, jak człowiek mający do wykonania pracę, którą lubi, ale i tak traktuje jak pracę. I pracuje, dopóki nie zawyje syrena. Syrena wyje, a ona delikatnie zasłania mu uszy, on wtedy wie, że już fajrant, i wtryskuje w nią ciepłe, życiodajne nasienie, mimo że miejsce jest już zajęte. Ona później śpi, a on leży i słucha jej oddechu, i czuje zadowolenie z dobrze wykonanej roboty. Wie, że nigdy już nie będzie tak jak kiedyś. Ale może być podobnie. Może być jakieś życie. Będzie mógł się nią opiekować. Nimi. Będzie mógł kogoś kochać. I jakby to samo w sobie nie było dostatecznie przytłaczające, znajduje nawet sens w kochaniu, jakieś echo uzasadnienia meczu w londyńskiej mgle: „Ponieważ oni mnie potrzebują”.

EPILOG

Pierwszy śnieg spadł i zniknął.

Przeczytałem w Internecie, że opcja zakupu i prawo ekspozycji *Polowania na dzika kalidońskiego* zostały sprzedane na aukcji w Paryżu. Kupującym była galeria Getty z Los Angeles, która mogła teraz wystawiać obraz, a jeśli w ciągu dwuletniego okresu opcji nie zgłosi się jakiś nieznany do tej pory właściciel, który przedstawi roszczenia do obrazu – przejąć dzieło na własność już na stałe. Było kilka krótkich zdań o pochodzeniu obrazu, informacja o tym, że przez lata trwały spory, czy jest to kopia, czy oryginał innego malarza, nie znaleziono bowiem potwierdzenia w źródłach, by Rubens kiedykolwiek namalował dzika kalidońskiego. Teraz jednak eksperci byli zgodni, że to dzieło Rubensa. Nie wspomniano nic o tym, gdzie zostało znalezione ani że sprzedającym jest państwo norweskie, nie podano też ceny.

Diana zrozumiała, że teraz, gdy ma zostać matką, trudno jej będzie samodzielnie prowadzić galerię, i dlatego – po naradzeniu się ze mną – postanowiła znaleźć współnika, który mógłby się zająć bardziej praktycznymi sprawami, na przykład finansami, aby ona mogła się skupić na sztuce i artystach. Poza tym nasz dom został wystawiony na sprzedaż. Ustaliliśmy, że nieduży szeregowiec na obrzeżach miasta będzie

lepszym miejscem do dorastania dla naszego dziecka. Już otrzymałem bardzo wysoką ofertę. Złożyła ją osoba, która zadzwoniła od razu, gdy tylko zobaczyła ogłoszenie w gazecie, i poprosiła o prywatne pokazanie domu jeszcze tego samego dnia wieczorem. Rozpoznałem go, gdy tylko otworzyłem drzwi. Garnitur od Cornelianiego i nerdy.

– Może nie najlepsze dzieło Ovego Banga – skomentował, gdy przebiegł po pokojach, ciągnąc mnie za sobą. – Ale biorę. Ile pan chce?

Wymieniłem sumę podaną w ogłoszeniu.

– Plus milion – oświadczył. – Termin do pojutrze.

Powiedziałem, że się zastanowimy, i odprowadziłem go do drzwi. Podał mi wizytówkę. Bez stanowiska, tylko nazwisko i numer komórki. Nazwa firmy rekrutacyjnej wypisana tak maleńkimi literami, że pozostawała praktycznie nieczytelna.

– Niech mi pan powie – rzucił w progu. – Czy to nie pan był królem?

A zanim zdążyłem mu odpowiedzieć, dodał:

– Będziemy się rozrastać, może do pana zadzwonimy.

My. Malutkie literki.

Pozwoliłem, żeby termin minął, nie wspominając o tej ofercie ani agentowi nieruchomości, ani Dianie. „My” też się nie odezwali.

Ponieważ z zasady nie zaczynam pracy, dopóki nie zrobi się jasno, akurat tego dnia tak jak w większość innych dni przyjechałem na parking przed siedzibą Alfę jako ostatni. „Ostatni będą pierwszymi”. To przywilej, który sam sformułowałem i wdrożyłem, przywilej, który może zostać przyznany jedynie najlepszemu łowcy głów w firmie. Pozycja ta oznacza również, że nikt nie próbuje zaparkować na twoim miejscu, mimo że formalnie podlega ono zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”, jak wszystkie inne firmowe miejsca.

Ale tego dnia mimo wszystko stał na nim samochód. Obcy passat. Z pewnością należący do jednego z naszych klientów, który uznał, że może tu zaparkować, bo na łańcuchu przy miejscu parkingowym wisiała tabliczka z napisem „Alfa”. Jakiś ćwierćidiota, niebędący w stanie zobaczyć wielkiej tablicy z napisem „PARKING DLA KLIENTÓW” przy wjeździe.

Mimo to poczułem lekką niepewność. Czyżby ktoś w Alfie doszedł do wniosku, że nie jestem już... Nawet nie dokończyłem tej myśli.

Kiedy zirytowany szukałem sobie innego miejsca, z biurowca wyszedł mężczyzna, kierując się mniej więcej w stronę passata. W każdym razie wyglądało mi to na chód właściciela passata. Odetchnąłem z ulgą, bo to zdecydowanie nie był konkurent do miejsca, tylko klient.

Demonstracyjnie ustawiłem swój samochód przed passatem i czekałem z nadzieją. Może to jednak będzie

dobry początek dnia. Może będę mógł nawrzeszczyć na idiotę.

I rzeczywiście. Mężczyzna zastukał w boczną szybę i przed oczami ukazał mi się płaszcz gdzieś na wysokości brzucha.

Odczekałem chwilę, zanim nacisnąłem przycisk otwierania okna, i szyba zaczęła sunąć w dół, powoli, lecz i tak nieco szybciej, niżbym sobie życzył.

– Proszę posłuchać... – zaczął, zanim przerwało mu moje wystudiowanie powolne:

– Ach, czym mogę panu służyć? – Nie poświęciłem mu nawet spojrzenia, szykując się na orzeźwiająca lekcję czytania znaków.

– Może mógłby pan przes-awić samochód, bo zatarasował mi pan wyjazd?

– To raczej pan zatarasował mi wyjazd, mój pa...

Kosmiczne zakłócenia nareszcie dotarły do mojego mózgu. Wyjrzałem przez okno i podniosłem wzrok. Serce prawie mi się zatrzymało.

– Oczywiście – powiedziałem. – Momencik.

Jak oszalały zacząłem macać, szukając przycisku zamknięcia szyby, ale moja mała motoryka jakby wyparowała.

– Chwileczkę – powstrzymał mnie Brede Sperre. – Czy myśmy się już kiedyś nie spotkali?

– Wątpię. – Starłem się, żeby mój głos zabrzmiał

jak spokojny rozluźniony bas.

– Jest pan pewien? A ja uważam, że musieliśmy się gdzieś spotkać.

Cholera, jak on mógł rozpoznać fałszywego kuzyna braci Monsenów widzianego w Instytucie Medycyny Sądowej? Tamta wersja była łysa i ubrana jak koleś od agrotuningu, ta miała gęste włosy, garnitur Ermenegilda Zegny i odprasowaną koszulę od Borellego. Wiedziałem jednak, że nie mogę zaprzeczać zbyt gwałtownie, nie mogę stawiać Sperrego w pozycji obronnej, pobudzać do grzebania w pamięci. Wziąłem głęboki oddech. Byłem śpiący, bardziej śpiący, niż powinienem dzisiaj. To był dzień, w którym musiałem dostarczyć właściwy towar. Pokazać, że jestem godny sławy, którą kiedyś miałem.

– Kto wie – odparłem. – Prawdę mówiąc, ja też dostrzegam w panu coś znajomego.

W pierwszej chwili zdumiała go ta kontrofensywa, zaraz jednak na twarzy pojawił się czarujący chłopięcy uśmiech, dzięki któremu Sperre tak świetnie się nadawał do wszelkich mediów obrazkowych.

– Na pewno po prostu widział mnie pan w telewizji. Stale to słyszę.

– No właśnie, mnie pewnie też pan widział właśnie tam.

– Tak? – zainteresował się. – A w jakim programie?

– To musiał być pana program, skoro uważa pan, że

się spotkaliśmy. Bo przecież ekran telewizora to tak naprawdę szybka, przez którą widzimy się nawzajem, prawda? Po pańskiej stronie kamery jest prawie... lustrem.

Sperre wyglądał na zdezorientowanego.

– Żartuję – powiedziałem. – Już się odsuwam. Życzę miłego dnia.

Zamknąłem szybę i cofnąłem samochód. Krążyły plotki, że Sperre pieprzy się z nową żoną Odda G. Dybwada. Że pieprzy się również z byłą, a jeśli chodzi o ścisłość, to z samym Dybwadem też.

Wyjeżdżając z parkingu, Sperre zatrzymał się jeszcze, zanim wykręcił, więc przez dwie sekundy staliśmy maska w maskę. Widziałem jego spojrzenie. Patrzył na mnie tak, jakby właśnie został oszukany i zrozumiał to dopiero teraz. Przyjaźnie skinąłem mu głową. Dodał gazu i zniknął. A ja popatrzyłem we wsteczne lustro i szepnąłem: – Cześć, Roger.

Wszedłem do Alfy i ryknąłem ogłuszająco:

– Dzień dobry, Oda!

Już biegł do mnie Ferdinand.

– I co? – spytałem. – Przyszli?

– Tak, są gotowi. – Ferdinand podreptał za mną korytarzem. – Był tu zresztą policjant. Wysoki, jasnowłosy i bardzo... hm... atrakcyjny.

– Czego chciał?

– Dowiedzieć się, co Clas Greve opowiadał o sobie podczas interview.

– Przecież on już dawno nie żyje. Ciągłe prowadzą to śledztwo?

– Nie chodzi o zabójstwo, tylko o tego Rubensa. Nie mogą odkryć, komu go ukradł, bo nikt się nie zgłasza. Ustalają teraz, z kim się kontaktował.

– Nie czytałeś dzisiejszych gazet? Znow zaczynają mieć wątpliwości, czy to oryginalny Rubens. Może on wcale go nie ukradł, tylko odziedziczył.

– Aha, na pewno.

– I co powiedziałeś policjantowi?

– Dałem mu oczywiście nasz raport z interview. Chyba nie znalazł w nim nic ciekawego. Powiedział, że się skontaktuje, jeśli coś go zainteresuje.

– A ty pewnie masz nadzieję, że tak będzie?

Ferdinand zaśmiał się piskliwie.

– Wszystko jedno. Ty się tym zajmiesz. Mam do ciebie zaufanie, Ferdy.

Widziałem, jak urósł i zmałał. Jak odpowiedzialność sprawiła, że zrobił się większy, a pod wpływem zdrobnienia się skulił. Równowaga jest najważniejsza.

Doszliśmy do końca korytarza. Zatrzymałem się przed drzwiami i sprawdziłem węzeł krawata. Tam, w środku, siedzieli gotowi na ostatnie interview. Na

posypanie piaskiem. Bo kandydat już był zarekomendowany, już był zatrudniony, jedynie klient nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy i uważał, że ma coś do powiedzenia.

– Przyślesz kandydata dokładnie za dwie minuty, licząc od teraz – powiedziałem. – Za sto dwadzieścia sekund.

Ferdinand skinął głową, spojrział na zegarek i rzucił:

– Jeszcze tylko jedno. Ona ma na imię Ida.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

Zaszurały krzesła, kiedy wstawali.

– Przepraszam za spóźnienie, panowie. – Ucisnąłem trzy dłonie, które się do mnie wyciągnęły. – Ale ktoś zajął mi miejsce na parkingu.

– To rzeczywiście denerwujące – przyznał prezes zarządu Pathfindera i odwrócił się do swojego rzecznika, który z zapalem przytaknął, mocno kiwając głową. Był tam również mąż zaufania, facet w czerwonym sweterku z wycięciem w serek, spod którego wystawała tania biała koszula. Niewątpliwie inżynier z rodzaju tych nawet na chwilę nietracących powagi.

– Kandydat ma posiedzenie zarządu o dwunastej, więc może zaczniemy – zaproponowałem, siadając u szczytu stołu. Drugi koniec był przygotowany dla męzczyzny, co do którego za półtorej godziny będą zgodni, że musi zostać nowym dyrektorem Pathfindera.

Światło było ustawione w taki sposób, by prezentował się jak najlepiej, krzesło tego samego rodzaju co nasze, ale na odrobinę wyższych nogach, a poza tym kazałem przy nim położyć skórzaną teczkę z jego inicjałami, którą sam mu kupiłem, i złote pióro Mont Blanc.

– Oczywiście – zgodził się prezes zarządu. – Muszę jednak najpierw coś wyznać. Jak pan wie, Clas Greve bardzo nam się podobał po tamtym interview.

– No właśnie – dodał rzecznik prasowy. – Myśleliśmy, że znaleźliście idealnego kandydata.

– Był wprawdzie cudzoziemcem – prezes poruszał szyją, jakby był wężem – ale przecież mówił po norwesku jak tubylec i kiedy pan go odprowadzał, powiedzieliśmy sobie, że, koniec końców, Holendrzy zawsze mieli lepsze pojęcie o rynkach eksportowych niż my tutaj, w kraju.

– I że może czegoś się nauczymy od kogoś z zagranicznym stylem zarządzania – uzupełnił rzecznik.

– Więc kiedy pan wrócił i oświadczył, że mimo wszystko nie jest pan pewien, czy to właściwy człowiek, byliśmy bardzo zaskoczeni, Roger.

– Ach tak?

– Uznaliśmy wręcz, że brak panu zdolności oceny. Nie mówiłem o tym wcześniej, ale rozważaliśmy nawet, czy nie wycofać zlecenia z agencji i nie skontaktować się z Grevem bezpośrednio.

– Doprawdy? – powiedziałem z kwaśnym

uśmiechem.

– Zastanawiamy się teraz – rzecznik porozumiał się wzrokiem z prezesem i uśmiechnął przelotnie – w jaki sposób zorientował się pan, że coś jest nie tak.

– Jak to możliwe, że instynktownie widział pan coś, na co my byliśmy ślepi? – Prezes zaczął chrząkać. – Jakim cudem można tak świetnie znać się na ludziach?

Wolno skinąłem głową. Przesunąłem swoje papiery na stole o pięć centymetrów i dotknąłem plecami wysokiego oparcia. Odchyliło się, ale nie za dużo, tylko trochę. Wyrzałem przez okno, popatrzyłem na światło, na ciemność, która miała nadejść. Sto sekund. W pokoju było teraz zupełnie cicho.

– Na tym polega moja praca.

Kątem oka zobaczyłem, jak ci trzej znacząco kiwają do siebie głowami. I dodałem:

– Poza tym już wtedy zacząłem myśleć o kandydacie, który byłby jeszcze lepszy.

Odwrócili się do mnie. Byłem gotowy. Wyobrażam sobie, że właśnie takie wrażenie musi mieć dyrygent na kilka sekund przed rozpoczęciem koncertu, kiedy czuje spojrzenia wszystkich muzyków orkiestry symfonicznej przyklejone do swojej batuty i słyszy powoli cichnące szepty pełnej wyczekiwania publiczności.

– Właśnie dlatego poprosiłem dzisiaj panów o przybycie. Człowiek, którego poznacie, jest nową gwiazdą nie tylko na norweskim, ale i na

międzynarodowym firmamencie zarządzania. W poprzedniej rundzie wydawało mi się kompletnie nierealne odciążenie go od stanowiska, które obecnie zajmuje. Jest przecież w firmie Jezusem, Bogiem i Duchem Świętym. – Przenosiłem spojrzenie z jednej twarzy na drugą. – Nie chcę obiecywać za wiele, lecz chyba mogę powiedzieć, że udało mi się go namówić. A jeśli go dostaniemy... – Przewróciłem oczami, sugerując mokry sen, utopię... Prezes zarządu i rzecznik prasowy, tak jak przewidywałem, odruchowo przysunęli się nieco bliżej. Nawet mąż zaufania, który siedział ze skrzyżowanymi rękami, położył dłonie na stole i wychylił się do przodu.

– Kto to jest? Kto? – wyszeptał rzecznik prasowy.

Sto dwadzieścia.

Drzwi się otworzyły. Stał w nich trzydziestodwuletni mężczyzna w garniturze z Kamikaze na Bogstadveien, gdzie Alfa ma piętnaście procent rabatu. Ferdinand tuż przed przysłaniem go oprószył mu prawą dłoń talkiem w kolorze skóry, ponieważ, jak wiemy, bardzo pocą mu się dłonie. Ale kandydat sam wiedział, co ma robić, bo go odpowiednio poinstruowałem. Wyreżyserowałem to przedstawienie aż do najdrobniejszego szczegółu. Ledwie zauważalnie przyprószył siwizną skronie, a kiedyś był właścicielem litografii Edvarda Muncha zatytułowanej *Broszka*.

– Poznajcie, panowie, Jeremiasa Landera.

Jestem łowcą głów. To niezbyt trudne. Ale to ja
jestem królem.

Notatki

1

Greve (norw.) – hrabia (przyp. tłum.).

2

KRIPOS – Kriminalpolisentralen, Centrala Policji Kryminalnej (przyp. tłum.).

Spis treści

PROLOG	3
Część I PIERWSZE INTERVIEW	5
1. KANDYDAT	6
2. TRZECI SEKTOR GOSPODARKI	25
3. WERNISAŻ	37
4. ANEKSJA	60
5. PRZYZNANIE SIĘ DO WINY	71
Część II OKRĄŻENIE	87
6. RUBENS	88
7. CIAŻA	98
8. G11SUS4	109
Część III DRUGIE INTERVIEW	119
9. DRUGIE INTERVIEW	120
10. WADA SERCA	137
11. KURARA	154
12. NATASZA	159
13. METAN	174
14. MASSEY FERGUSON	191
15. GODZINY ODWIEDZIN	203
16. RADIOWÓZ ZERO JEDEN	220
17. KUCHNIE SIGDAL	233
Część IV WYBÓR	245

18. BIAŁA KRÓLOWA	245
19. ZABÓJSTWO Z PREMEDITACJĄ	255
20. ZMARTWYCHWSTANIE	259
21. ZAPROSZENIE	276
22. NIEMY FILM	283
Część V MIESIĄC PÓŹNIEJ, OSTAT- NIE INTERVIEW	295
23. REDAKCJA WIECZORNA	296
EPILOG	332